

ANDRZEJ JANICKI

PORWANY
W PRZESTRZEŃ

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA



NAKŁADEM KATOLICKIEGO OŚRODKA
WYDAWNICZEGO „VERITAS”
W LONDYNIE

Ilustrowała : Janina Chrzanowska

CZEŚĆ II

POŚCIG

ROZDZIAŁ I

PRZED ŚWIĘTEM AKALELI

Otworzyłem oczy. Wiktor pochylał się nade mną i targał mnie za ramię.

— Jak długo można spać, bohaterze? — przywitał z uśmiechem moje przebudzenie.

Zerwałem się półprzytomnie z pryczy i stuknąłem głową o pułap kamiennej niszy. To mnie otrzeźwiło natychmiast.

— Stało się coś nowego? — spytałem.

— Nic szczególnego. Z nasłuchu radiowego wydaje się, że Niemcy uważają wybuch wulkanu za autentyczny. Budzę cię, bo dochodzi południe i nieprzyzwoicie jest wylegiwać się dłużej, a ponadto chciałem się z tobą naradzić nad dalszym działaniem. Osobiscie uważam, że należałoby jak najszybciej uderzyć na miasto Lejlę, zanim nieprzyjaciel nie otrzyma drogą morską posiłków i póki w naszych wojownikach tkwi zapał do

dalszej walki. Jeśli będę zwlekał, to mi się byli jeńcy rozejdą po swoich wioskach. A gdy już się znajdą na łonie rodzin, będzie ich trudno zebrać z powrotem. Teras przedstawiamy siłę ponad czterystu chłopów, a to, jak na Wenus, poważna liczba. Sami Niemcy, według moich obliczeń, nie mają na Lejli więcej, niż trzystu żołnierzy.

— Tylko, że ci nasi w większości nie są wyćwiczeni w użyciu broni palnej i w taktyce walki z regularnym wojskiem.. Trzeba by ich przedtem przeszkolić.

— Czy ty myślisz, że zamierzam szturmować Lejlę z rozwiniętymi sztandarami i biciem w bębny?... Zaskoczenie, podstęp, oto nasza partyzancka broń, a w tym ostry nóż najczęściej lepszy, niż karabin. Mam pewien pomysł, który powinien „zagrać”. Za tydzień odbywają się na wyspie doroczne uroczystości w dniu „Kwitnącej Akaleli“, legendarnej królowy kuwilińskiej, przemienionej przez wróżkę w kwiat o tejże nazwie. Zawsze do Lejli w tym dniu ciągnęły rozbawione tłumy. Odkąd jednak Niemcy połączyli to święto z obchodem urodzin gubernatora, którego bojkotowaliśmy, uroczystości obchodzono się poza miastem. Tego roku wszakże królowa Akalela może nam się świetnie przy-

dać. Postaramy się, żeby do Lejli znowu napływały tłumy, a wtedy wiele nieoczekiwanych rzeczy może się wydarzyć. Zmianę nastrojów ludności powiążemy „szeptaną pocztą” z wybuchem wulkanu Zygryda, który po kuwilińsku nosi miano Akbarosza, okrótnego ojca królowny. Czekam tylko na wiadomość, kiedy nadejdzie okręt z posiłkami wojskowymi dla garnizonu w Lejli. Jego przedwczesne przybycie może nam popsuć szyki. Co sądzisz o tym wszystkim?

--- Co mam sądzić? Już wszystko sam obmyśliłeś, mogę więc tylko złożyć pokorny hołd podziwu dla twego geniuszu militarnego. Poczekam jednakże z tym, dopóki mnie nie wtajemniczysz w szczegóły akcji a przede wszystkim nie zdradzisz, jakie dla mnie przeznaczyłeś zadanie.

— Dla ciebie? Ty nie jesteś pod moją komendą ale zależysz od swego łysego szefa...

-- Nie. Moja służba dla Nary skończyła się ze zdobyciem wulkanu. Teraz czuję się wolny i zostaje z wami na Lejli. Tutaj postanowiłem zapuścić korzenie na stałe.

-- Imla? Hę?...

-- Nie gadaj głupstw. Ona nie ma nic wspólnego z moją decyzją. Zresztą Paciorkowi lepiej

się nie narażać.

— Kiedy już mówimy o Paciorku... może byś udał się teraz do osady Oremangów i zobaczył co się dzieje z nimi i innymi rannymi. A potem jeśli Nara nie odbierze ci zaraz Takili, wpłynij pod wodą do portu w Lejli i nakreśl szkic sytuacyjny. Chcę wiedzieć, w którym dokładnie miejscu budują ten nowy fort. Zorientuj się też, jak daleko są zaawansowane prace przy nim. Ja tu na razie muszę zostać.

-- Rozkaz. Zjem coś i zaraz ruszam w drogę.

Dopiero późnym wieczorem dotarłem do osady na moczarach. Ciemniało już. Siąpił ciepły deszczyk. Pomiedzy konarami drzew przemykały się platy mgieł. Powietrze było jak w łaźni. Wyskoczyłem z czołna na brzeg ociekając wodą. Wybiegł mi na spotkanie Aba.

-- Jak się czuje Paciorek? - zapytałem niepokojnie.

-- Czuje się dobrze, bo go Imla pielęgnuje ale ma silną gorączkę i skarży się na ostre bóle w całej głowie. Tata jednak mówi, że powinien wyżyć.

-- Chodźmy do niego!

Cała osada zamieniła się w szpital. Było kilku ciężko rannych oraz cała gromada tych, którzy z walki wynieśli mniej poważne obrażenia. Bari, naczelnik Oremangów, pełnił funkcje naczelnego znachora, dwoił się i troił. Z ojcowską troskliwością i niemałą umiejętnością starał się nieść ulgę i ratunek pokaleczonym ludziom.

Wspiołem się po drabince do wnętrza szałas, gdzie leżał Jacek Piec alias Paciorek. Gdy moje oczy oswoiły się z ciemnością panującą wewnątrz, zobaczyłem rannego leżącego na macie. Obok niego siedziała w kucki Imla i wielkim wachlarrzem z piór starała się go chłodzić. Chory miał gorączkę, mamrotał coś i rzucać się niecierpliwie, uspakajał się jednak natychmiast pod dotknięciem dziewczęcej ręki.

Skinąwszy głową Imla, bez słowa wycofałem się z szałas. Odszukałem naczelnika plemienia Bari. Nie obawiał się o życie Paciorka, było natomiast dwu innych, których śmierć mogła nastąpić w każdej chwili. Jeden z nich miał nogę tak poszarpaną granatem, że amputacja zdawała się nieunikniona. Bari wszakże nie miał odwagi się na nią zdecydować.

— O, jak bardzo przydałby się nam teraz

Araru — westchnął. — To był lekarz cudowny.

Minęła nas Magda z dzbanem czystej wody ze źródła. I ona zmieniło się w sanitariuszkę.

— Idz, Andrzeju, na Takilę — powiedziała — i połącz się radiem z Nara. Prosił, byś się z nim natychmiast skomunikował, gdy wrócisz.

Posłuchałem polecenia.

— Jesteś już? — zabrzmiało w słuchawce retoryczne pytanie. — Zaraz jadę do was. Zaszły poważne komplikacje...

— Jakie znowu komplikacje? — pomyślałem zaniepokojony. — Czyżby mu Kobra uciekł?

Tak, Kobra przechytrzył swego brata bliźniaka i zbiegł. Opowiadał mi to w godzinę później Nara. Siedzieliśmy w kabinie Takili. Starzec miał twarz zmęczoną; wielkie sińce pod oczami nadawały mu jeszcze bardziej sowi wygląd: Zewnętrznie panował świetnie nad sobą, ale w głosie wyczuwało się drżenie napiętych nerwów.

— W parę sekund — mówił — doznałem balon. Mój brat był niewidzialny, ale założyłem uwidzialniające okulary. Wstrzymałem pęd mojej wany i sunąłem ze dwa metry za balonem. Podniosłem klosz i zawołałem na Kobrę, żeby wypuścił gaz z balonu i lądował. Dodałem, że jeśli nie posłucha, poprzedziurawiam mu po-

włokę balonu. On mi na to: „Dobrze, ląduję, nie mam innego wyjścia... Lecz w tejże chwili wysunął spoza ściany gondoli pistolet promieniowy i strzelił mi w twarz. Po sześciu godzinach ocknałem się na podłodze mego dysku paręset kilometrów od Lejli. Całe szczęście, że padając nie zawadziłem o dźwignię wysokościową. Gdybym tak powędrował w górę, to tym się udusił z traku tlenu. Po balonie nie było wokół oczywiście ani śladu. Dzisiaj cały dzień szukaliśmy go wanami w strefie, gdzie go mogły zanieść wiatry. Wszystko na próżno. Tyle jest różnych wysp. Wylądował na którejkolwiek i teraz szukaj wiatru w polu, jak to mówicie po polsku. Niestety się stało, bo ten człowiek może jeszcze wiele zrobić zamieszania.

— Na pewien przynajmniej czas jest unieszkodliwiony — odpowiedziałem. — Zanim będzie się mógł zabrać do budowy nowej „Wieży Babel", wiele wody w Oru upłynie.

— To prawda — odparł Nara. — Niemniej musimy go za wszelką cenę dostać w ręce i proszę, żebyś się podjął tego zadania...

Zapadła cisza, słuchać było tylko krople deszczu bijące w dach kabiny. Westchnąłem niechętnie. Nara przekreślał moje plany i rzucał

mnie w nową awanturę. Miałem się podjąć zadania, czy odmówić? Taki pościg za człowiekiem choćby był złoczyńcą, zupełnie nie leżał w moim usposobieniu.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Nara, z wahaniem, jakby pod wpływem wewnętrznego przymusu, rozpoczął opowiadanie:

— Jak już wiesz. Kobra jest moim bratem, bliźniakiem. Kochaliśmy się zawsze bardzo, jak tylko bracia mogą się kochać. Choć fizycznie byliśmy tak bardzo podobni, że tylko nasza matka mogła nas rozróżnić duchowo stanowiliśmy krańcowe przeciwieństwo. Ja jestem raczej człowiekiem myśli, wiedzy, skupienia. Kiedy trzeba działać, działam, ale wybieram drogi utarte, lubię rozwałę, spokój. Nie mam od życia wielkich wymagań. Wystarczyła mi na mieszkanie beczka Diognesa lub grota na pustyni jak chrześcijańskiemu pustelnikowi. Kobra odwrotnie, to w całym tego słowa znaczeniu człowiek czynu, który nie potrafi długo usiedzieć na jednym miejscu, to urodzony reformator, burzący jedną ręką, budujący drugą. Człowiek przygody, ryzyka, o temperamentach gwałtownym, namiętnym, ni syconych ambicjach osobistych, kruszący bezwzględnie wszelkie prze-

szkody na drodze do celu, a zarazem świetny przywódca, który potrafi naginać innych do ślepego posłuszeństwa.

— Od samego dzieciństwa zawojował mnie zupełnie i wciągnął w wir swojego burzliwego życia. Wspólnie, pośród tysiącznych przygód, przemierzyliśmy wzdłuż i wszerz całą Wenus. Potem zdobywaliśmy przestrzeń. Jedni z pierwszych lądowaliśmy potajemnie na Ziemi. To Kobra zwrócił uwagę naszym władzom na wasz szybki rozwój techniczny. Jego pomysłem była kolonizacja Wenus przybyszami z Ziemi. On zorganizował niezwykle sprytnie owe porwania i to się na nim zemściło. Żyliśmy dotąd obaj w stanie bezzennym. W ciągłym ruchu i przygodzie nie było czasu ani sposobności na założenie rodziny. Aż wreszcie Kobra zakochał się na śmierć w pięknej Niemce Emmie. Zakochał się sercem, głową, krwią i kośćcami i wbrew temu, że sam kiedyś postawił jako nienaruszalną zasadę zakaz wenuzjańsko-ziemskich małżeństw, przekreślił ją i ożenił się mimo oporu naszych władz.

— Na pewien czas ustatkował się — ciągnął dalej swą opowieść Nara — mieszkał w Kamiru żył jedynie żoną i córką, śliczną Dorti. Jednakże

z biegiem lat jego czynna, niespokojna natura znowu wzięła górę. Zaczął odbywać podróże z rodziną po całej planecie, zabierał też z sobą Lenę i Palego. Snuł nowe pomysły na skalę przynajmniej systemu słonecznego. Palił się do urzędu gubernatora Wenus, który miał niedługo zawakować. Trzeba przyznać, że się świetnie nadawał na to stanowisko i w pewnej mierze należało mu się ono. Wszyscyśmy się spodziewali tej nominacji i chcieli jej. Kobrą był niesłychanie popularny w Kamiru. Zgłosił, jak to jest u nas w zwyczaju, swoją kandydaturę. Tymczasem nasze najwyższe władze, znajdujące się poza systemem słonecznym, przysłały kogoś zupełnie obcego i mniej zdolnego. Memu bratu opowiedziano, że nie może otrzymać tej funkcji ze względu na jego małżeństwo z „Ziemianką”.

— Wtedy Kobra wściekł się po prostu. Chciał najprzód ogłosić niezależność Wenus, wziąć władzę siłą w swoje ręce. Znalazł sobie garść zapaleńców gotowych pójść za nim nawet do piekła, ale większość miłujących prawo Wenauzjan nie zgodziła się na bant. Nowy gubernator mianował mnie, wbrew moim chęciom i skłonnością, szefem bezpieczeństwa publicznego. Przyjąłem tę funkcję z zamiarem ratowania Ko-

bry przeciw niemu samemu. Aresztowałem go. Na kolanach błagałem, żeby zaniechał rokoszu, nie występował przeciw prawu, które musimy szanować ponad wszelkie świętości, na naszą braterską miłość, całowałem jego ręce... - Głos Nary, dotąd suchy, sprawozdawczy, załamał się. Po twarzy przebiegał mu skurcz z trudem dławionej boleści. Odetchnął kilka razy głęboko, opanował się i powrócił do poprzedniego, matowego, beznamietnego tonu:

— Mógłbym być tak samo przemawiać do ściany... Sprytny Kobra oszukał czujność straży i zbiegł. Było to trzy lata temu. Emma zabrała córkę i małego synka Vili i połączyła się ze swą rodziną na wyspach niemieckich. Nie zatrzymałem jej. Dowiedziałem się wkrótce, że Kobra jest z nimi. Machnąłem na to ręką. Niech żyje w spokoju. Aż wreszcie zaczęły mnie dochodzić wieści, że na Lejli w kraterze coś się buduje w wielkiej tajemnicy. Od razu podejrzewałem w tym rękę Kobry... i tu muszę się przyznać do słabości. Nie działałem tak stanowczo, jak być może powinienem. Chciałem za wszelką cenę utrzymać zdradę mego brata w tajemnicy. Jeszcze dotąd nikt z Wenuzjan o niej nie wie... Jesteś jedyną osobą, przed którą od-

kryłem całą. sprawę.

— Dziękuję za zaufanie — odparłem — ale teraz, kiedy już poznałem dzieje Kobry, tym bardziej nie mam ochoty udawać się w pościg za nim. Nie posiadam w sobie ani skłonności, ani uzdolnień do funkcji policyjnych i to szczególnie wobec człowieka tak przebiegłego, i tak świetnie znającego teren miejscowy, dla mnie zupełnie obcy. Podejrzewam, że umyślnie chcesz wysłać człowieka, który nie ma prawie żadnych szans złapania zbiega...

Kara nie wydawał się urażony moimi słowami. Wpatrzył się gdzieś w dal dziwnie zamglonym spojrzeniem.

— Nie broń się — odezwa! się po chwili tonem pełnym powagi. — Wiem, że podejmiesz się tego zadania i dokonasz go. Kie ma w tobie nic z policjanta i właśnie dlatego pragnę cię wysłać. Masz w sobie naturalną życzliwość dla ludzi, lubisz ludzi. Już w tej chwili czujesz pewną sympatię do Kobry i chęć dopomożenia mu do powrotu na właściwą drogę. Bronisz się przed tą misją, ale wewnętrznie jej pragniesz... Mój drogi, ja nieraz widzę rzeczy, których oczami nie można dojrzeć. Na Lejli nastanie niedługo spokój. Możesz tu pozostać i w wygodzie i dostatku

obracać w tłuszcz, ale to nie jest twoja ścieżka...
Nie, Andra!

Nara powstał, zbliżył się do mnie i położył mi serdecznie dłoń na ramieniu. Zdawało mi się, że dziwny prąd przeszedł przeze mnie.

— Musisz mnie posłuchać.

Tak, widziałem, że powinienem się zgodzić na jego prośbę. Czy był to rodzaj hipnozy, czy też intuicja wskazywała mi drogę mego przeznaczenia? Nie odpowiedziałem „tak”, lecz popatrzyłem Narze prosto w oczy. — Porozumieliśmy się bez słów.

Starzec usiadł.

— Na razie zostań tu na Lejli jeśli chcesz. Dam ci znać, gdy dowiem się czego o moim bracie, lub będę cię potrzebował. Teraz natomiast chciałem omówić z tobą jeszcze jedną sprawę. Za dotychczasową służbę należy ci się wynagrodzenie...

Zachnąłem się i otworzyłem usta, żeby zaprotestować, ale Nara nie dopuścił mnie do głosu.

— Wiem — rzekł z uśmiechem — że jak większość młodych Polaków jesteś arcyidealista, gotowym bezinteresownie umierać dla sprawy. Zamierzam jednak coś ci zaproponować, czego

na pewno nie odmówisz.

— Lenę?... — pomyślałem i uczułem, że się rumienię.

— Nie, nie to — odpowiedział na moją nieśmiałą myśl. — Nie mogę ci dawać tego, co moje, natomiast ofiarowuję ci Takilę na własność. Jest ona moim prywatnym jachtem, na którym odbyłem wiele podróży. Czuję wielkie przywiązanie do tego statku, i pragnę, żeby się znalazł właśnie w twoich rękach. Przyjmujesz? Prawda?

— Tak. I serdecznie dziękuję.

Nara zabierał się do odejścia. Wstrzymałem go.

— Drogi szefie! — powiedziałem. — Mam wielką prośbę. Jest tu kilku ciężko rannych wojowników, którym grozi śmierć lub kalectwo. Otrzymali rany w walce o wspólną sprawę. Czy nie można by ich zabrać do Kamiru i tam wyleczyć?

— Prowadź mnie do nich! — odparł.

Wyszliśmy z Takili na ląd. Wysłałem małego chłopca, kręcącego się mimo późnej pory dnia jeszcze po wybrzeżu, żeby zawiadomił wodza o naszej wizycie.

Bari czekał na nas przed szałasami, zamienionymi na szpital. Weszliśmy wpierw do miej-

sca, gdzie leżał wojownik z poszarpaną nogą.

— Uśpiłem go hipnotycznie, żeby nie czuł bólu — objaśnił Bari — ale mogę go zaraz zbudzić.

— Nie, nie potrzeba — odpowiedział Nara. Nachylił się nad chorym i począł wodzić dłonią nad okaleczoną nogą.

— Tak. tego zabieram natychmiast. Już najwyższy czas.

Podszedł do drugiego z przestrzelonym piecem. Znowu wyciągnął dłoń. Skupił się. Dotknął ręką rany. Chory drgnął, jakby po nim przebiegł prąd elektryczny.

— Ten będzie zdrów niezadługo — zapewnił Nara.

Przeszliśmy do Paciorka W dalszym paliła go wysoka gorączka. Bredził. Imli z trudem udawało się utrzymać go na posłaniu. Powtórzyła się scena z poprzedniego szałas. Gdy Nara dotknął Jacka, ten drgnął i od razu się uspokoił.

Następnie Nara schwycił rękę Imli i wodził nią przez chwilę ponad raną.

— Czujesz co? — spytał dziewczynę.

— Tak — odparła. — Takie dziwne szczypanie w palcach i w dłoni.

— Świetnie. Od czasu do czasu zataczaj

dłonią takie koła nad raną, póki czujesz reakcję ręki. Masz w sobie dużo siły leczniczej. Wykorzystuj ją dla dobra innych. Wielu ludzi posiada taką naturalną moc, lecz nie wiedzą o tym.

Umieszczono ostrożnie rannego z poszarpaną nogą na tylnym siedzeniu latającego dysku. Zatrzasnął się szklany klosz. Aparat zniknął w ciemnościach nieba. Udałem się na spoczynek.

Sen nadszedł szybko. Uśpił mnie deszcz bijący monotonnie o ściany szalasu. Nie spałem jednak długo. Zbudził mnie znów ten przeklęty Bibi, wąż Kiniego. Rozłożył się bezceremonialnie na mojej piersi. Nie bałem się go, ale jego obecność drażniła mnie i nie pozwalała ponownie zapaść w sen.

Nadeszły myśli; nie o Kobrze, jakby nasuwało skojarzenie z wężem, lecz o święcie Akaleli. Rozporządzając teraz Takilą mogłem z łatwością zatopić okręt niemiecki, płynący z posiłkami. Jednak szkoda okrętu, który mógłby się nam przydać, szkoda też życia ludzkiego. Co prawda to nieprzyjaciel, ale zawsze... Może by tak „nie siłą, lecz sposobem?” Przez głowę przebiegały mi jeden po drugim coraz to bardziej fantastyczne i nierealne pomysły. Wreszcie przyszła myśl, wy-

glądająca naiwnie i zbyt prosto, ale, ale... postanowiłem pogadać o tym z Wiktoorem.

Zbudziłem się nazajutrz bardzo późno. Gdy zsunąłem się po drabince szałasu w dół, osada już dawno wrzała życiem. Z trzciniowych chat, gdzie leżeli chorzy, dochodziły głośnie śmiechy. Właśnie szedł stamtąd Bari z rozweseloną miną.

— Vajni! — pozdrowiłem go. — Co się tam dzieje?

— Imla według wskazówek twego Nary leczy naszych rannych machaniem rąk. Wiele jest z tego radości, a ten śmiech więcej im pewnie pomoże, niż jej rzekome zdolności lecznicze. Ale Nara jest rzeczywiście wielkim czarownikiem. Paciorek i Garu czują się znacznie lepiej.

— Słuchaj, Bari — przerwałem. — Już dawno chciałem cię zapytać, dlaczego w czasie walki w kraterze czekałeś tak długo ze swoim usypiającym dymkiem. Gdybyś go wcześniej użył, łatwiej odnieśliśmy zwycięstwo i z mniejszymi stratami.

— Ach, Andra — odparł z głębokim westchnieniem. — Miałem wielką pokusę uczynić to na samym początku walki. Niestety nasze tradycje nie pozwalają nam używać „karapy” do celów zaczepnych, lecz dopiero wtedy, gdy sy-

tuacja jest beznadziejna i nie ma innego wyjścia. Jest to prawo przestrzegane przez wszystkie plemiona kuwilińskie.

— Może to i mądre prawo — odpowiedziałem bez przekonania — lecz wątpię, czy powinno być stosowane wobec Niemców. I tak walka z nimi nierówna i niesprawiedliwa: zabijają nas bez żadnych skrupułów, a my ich tylko obezwładniamy na krótki czas. Ale zmierzam w tej chwili do czegoś innego. Czy nie masz pośród swoich tajemnych ziół i proszków środka, który dodany do jedzenia lub napoju usypia równie skutecznie jak ten dymek?

— A co? Cierpisz na bezsenność?

— Jeśli ten wąż Kinie go będzie do mnie co noc przychodził, to na pewno będę musiał brać środki nasenne; teraz wszakże pytam z innego powodu.

— Mam taki proszek. Działa dopiero po jakiejś godzinie od chwili zażycia, ale potem żadnym sposobem nie można człowieka dobudzić przez dłuższy okres czasu.

— A w smaku się go nie czuje?

— Nie. Dlaczego pytasz?

— Dowiesz się później. Niech i ja raz będę tajemniczy. Na razie idę się kąpać.

Kiedy zbliżałem się do kąpieliska, dobiegła mnie wrzawa i śmiechy. Dziecięce głosy wołały: „Dagu! Dagu!“, co znaczy „szybciej! szybciej!“ Za chwałę stałem się świadkiem wyścigów na „zurari“, krokodylach-dziobakach. Było ich trzy. Na ich pomarańczowych, czarno nakrapianych grzbietach siedziało trzech brązowych nagusków. Małe pięty biły boki potworów, dla pobudzenia ich do szybszego ruchu. Lecz one i tak sunęły jak torpedy po wodzie. Dotąd żaden z nich nie miał wyraźnej przewagi nad współzawodnikami. Dopłynęły do wielkiego pała, wystającego z wody i wtedy jeden z krokodyli, z jeźdźcem o włosach barwy ognia, pokazał prawdziwą klasę. Przepluwając koło słupa uchwycił go końcem olbrzymiego ogona i zawrócił prawie na miejscu szybkim jak myśl skrętem. Dwa inne przy opływaniu słupa pozostały w tyle i teraz dobywały wszystkich sił, by



Stałem się świadkiem wyścigów na „zurari”, krokodylach
dziobakach. (Str. 15)

dognać zręczniejszego współzawodnika.

Dziatwa na brzegu i w wodzie szalała z emocji, krzykiem, tupaniem bosych stóp o piasek i pluskaniem rąk o fale starając się podniecić swych faworytów do większego wysiłku. Dziobak z rudym, jeźdźcem pierwszy wyprysnął z wody u naszych stóp. Posypały się wiwaty, oklaski. Mała, śliczna czarnulka podała zwycięskiemu rumakowi wielki soczysty owoc. Rudy dżokej trzymał wieniec z kwiatów na szyję. Mały promieniał dumą. Pokonane zwierzaki dostały mniejsze owoce pocieszenia, ale ich jeźdźcy odeszli z pustymi rękami. *Vae victis!*

Dopiero teraz gromadka dzieci uświadomiła, sobie swoją obecność. Ponieważ już dawniej i zawarliśmy przyjaźń, powitały mnie okrzyki radości. Wtem ktoś rzucił pomysł, żeby i mnie nauczyć jazdy na zurari. Mimo moich protestów, że jestem za stary i za ciężki na takie zabawy, kazano mi usiąść na grzbiecie zwycięzcy. Nie miałem żadnego zaufania do tych krokodylich rumaków, lecz „*nec Hercules contra plures*” ścisnąłem jego boki mocno kolanami, jak przy konnej jeździe. Pochyliłem się do przodu i zgodnie ze wskazówkami uchwyciłem za chropowate występy po obu stronach paszczy. Kie-

rowało się dziobakiem zakrywając jego lewe lub prawe ślepie.

Popędzono gada. Ruszył prosto przed siebie jak strzała. Po moich bokach sunęły dwaj inne z małymi instruktorami. Jazda była całkiem przyjemna. Rozluźniłem pierwszy kurczowy chwyt rąk. Zakryłem prawe oko jaszczura. Ten zrobił prawie prostopadły skręt w prawo, a mnie jak z procy wyrzuciło z jego grzbietu.

Znalazłem się pod wodą ale wypłynąłem zaraz prychając i łapiąc powietrze. Do zalanych wodą uszu nie od razu przeniknął wybuch gwałtownego śmiechu rozbawionej tą przygodą gromady. Trzeba przyznać krokodylowi, że okazał się istotą rycerską. Zrzucił mnie, to zrzucił, lecz podpłynął zaraz i przyjął z powrotem na swój chropowaty grzbiet. Objasniono mnie, że sam spowodowałem katastrofę, zbyt raptownie zasłaniając mu ślepie. Należy to czynić powoli, a wtedy skręca łagodniej. Spróbowałem... tym razem udało się.

Wtem tuż koło mnie wychyliło się z żółtawej wody łobuzerskie oblicze Aby.

— A teraz, Andre — zawołał — zasłoń mu od razu oba oczy!

Przeczuwałem, że nowa z tego wyniknie

przygoda, ale czego się nie robi dla ubawienia dzieci? Posłuchałem. Krokodyl dał głębokiego nurka w wecie. Tym razem nie zsunąłem się z jego grzbietu. Trzymałem się mocno. Wypląnął gładko na powierzchnie i dowiózł mnie do brzegu. Chciałem już odejść, gdy jaszczur wydał z siebie śmieszny pisk i uderzył ogonem w wodę opryskując mnie od stóp do głowy.

— A nieładnie, Andra — zwrócił mi uwagę Abą — jeździć to jeździłeś, a gdzie zapłata?

— Słusznie. Zawróciłem więc, a złotowłosa dziewczuszka podała mi czerwony owoc "anadru". Ostrożnie wsunąłem go do wielkiego dzioba. Zurari plasnął ogonem, tym razem w podzięcie i dał nurka w wodę.

Otoczony wesołą gromadą wracałem do osady. Obok mnie szedł Aba.

— Słuchaj, Aba — zwróciłem się do niego — czy masz ochotę zostać bohaterem?

— Co to znaczy „bohaterem”? — zapytał. — Hm jak to będzie „bohater” po kuwilińsku? A, mniejsza o to. Zaraz ci powiem, o co mi chodzi: czy gotów byś był do spółki ze mną zdobyć okręt niemiecki? Mam pewien plan, a ty odgrywałbyś w nim najważniejszą rolę. Tylko, że jest to związane z dużym niebezpieczeństwem...

— Ja się nie boję żadnego niebezpieczeństwa.

— To niedobrze. Trochę strachu jest rzeczą pożyteczną, bo trzyma nas w granicach rozsądku. Chcę ci powierzyć pewne zadanie, bo wydaje mi się, że jesteś chłopcem rozsądnym. Gdybyś był tylko odważny, wcale bym z tobą nie gadał o tym. Pierwszy punkt do wykonania: Udasz się do Lejli i tam będziesz myszkował po porcie, jak wtedy, kiedy poznaliśmy się. Dowiedz się dokładnie, czy w najbliższych dniach jaki statek nie udaje się w kierunku wysp niemieckich, a może jaki niedawno wyszedł. Podwożę cię dziś w nocy pod ruiny starego miasta i jutro o tej samej porze będę czekać tam na ciebie. Dobrze?

Chłopakowi aż się oczy zaiskrzyły z radości, że go obarczam odpowiedzialnym zadaniem. Przypomniałem sobie, co to było za tragedia, gdy nie chcieliśmy go zabrać na wyprawę do Krateru Zygryda.

Po południu postanowiłem uciąć sobie drzemkę. Zza przepierzenia szalasu dochodził głęboki oddech Imli. Po dwóch nocach, spędzonych bezsennie przy chorych, dzielna dziewczyna odpoczywała. Ledwo rozciągnąłem się wygodnie na macie, gdy rozległy się głośnie powitalne

okrzyki. Cóż tam nowego?

W kilka chwil później w otworze wejściowym ukazała się głowa Kiniego:

— Andra! — zawołał. — Wrócił Nada Piri, ojciec Piotr! Chodź go powitać!

— Nie wrzeszcz! — odparłem szorstko. — Obudzisz Imlę. Tyle nocy nie spała.

Chodziło mi o sen Imli, to prawda, ale byłem też zły na Kiniego, że mi spać nie daje i na ojca Piotra, że przyszedł właśnie w tej chwili.

— Kiedy Imla śpi, to jej i pioruny nie zbudzą — odpowiedział Kini, ścisząc jednak głos — Idziesz, czy nie?

— No dobrze, idę — westchnąłem z rezygnacją.

Od barwnego zbiegowiska krajowców odciłała się białą plamą wysoka postać ojca Piotra. Za moim zbliżeniem rozstąpiła się hałaśliwa gromada. Spotkało mnie dobrotliwe i mądre, choć nieco zmęczone spojrzenie czarnych oczu, spod silnie zarysowanych brwi. W kruczej czuprynie i takiej że brodzie widniały srebrne nitki siwizny, ale ogorzała twarz o ostrym wydatnym nosie zachowała jeszcze młodość i siłę. Na białej koszuli i spodniach znać było uciążliwą wędrówkę przez dżunglę.

— Więc to jest ten słynny Andra? — zawołał na mój widok ojciec Piotr. Żyłasta, sucha dłoń uchwyciła serdecznie moją prawicę.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzuciłem w odpowiedzi bardziej duchowne powitanie. — Od dawna oczekiwaliśmy Ojca, a ja szczególnie: jest Ojciec pierwszym księdzem, którego spotykam na Wenus.

-- Na wieki wieków! — odparł. — Kiedy się dowiedziałem, że szykujecie szturm na krater, chciałem natychmiast wracać. Niestety zapuściłem się zbyt głęboko w dżunglę. W dodatku powódź odcięła mnie na kilka dni, a skrzydła mi jeszcze nie urosły. Pogadamy sobie później, dobrze? Teraz chorzy mają pierwszeństwo...

Było już dobrze po zachodzie słońca, gdy zastukałem do szałasów ojca Piotra. Zastałem go otoczonego gromadką dzieci, którym coś opowiadał. Najmłodszy Nuru spał smacznie na jego kolanach, ale reszta słuchała z zapartym oddechem. Na mój widok ksiądz przerwał gawędę:

— Idźcie spać! — zwrócił się do dzieciarni — Nada Piri będzie teraz rozmawiał z Andrą.

Mała gromadka też słowa protestu zniknęła — cieniu nocy. Ojciec Piotr wskazał mi trzcinowy fotel naprzeciw siebie? Usiadłem. Niewielki

szała słabo oświetlała lampka, sporządzona z pręcików świecących kwiatów. Blask jej padał głównie na wielki krucyfiks, wykonany artystycznie z drzewa. W białej sutannie i w skąpym oświetleniu ojciec Piotr wydał mi się jakoś bardziej eteryczny, niż za dnia. Stwarzało to lepszą atmosferę do duchowej rozmowy.

A oczekiwałem tej pogawędki z upragnieniem. Nie, żebym miał jakieś powikłane zagadnienia duchowe... Byłem zbyt prosty na to. Brałem życie takim, jakie nadchodziło dzień po dniu. Czasem tylko dziwiłem się, że właśnie tak się układa, że wbrew memu spokojnemu usposobieniu tak często barwiła je przygoda, porywany w swój wir sprawy i zadania do których może nie dorastałem. Dlaczego moje życie popłynęło tak niezwykłym torem? Byłem tuż zdumiony przyjazdem do Ameryki, a teraz to porwanie w przestrzeń i nieustanny ciąg burzliwych wydarzeń... Dlaczego? Nie wierzyłem, żeby mi ktośkolwiek mógł odpowiedzieć na to pytanie, ale czułem potrzebę wywewnętrzenia się, pogadania z kimś starszym i mądrzejszym.

Gdy się ma dwadzieścia pięć lat, podobno jest się dorosłym, lecz i wtedy jeszcze potrzebuje się ojca, pragnie się kogoś, komu można z całym

zaufaniem powiedzieć o sobie wszystko. A ojciec Piotr budził zaufanie...Patrzył na mnie badawczo, przenikliwie, ale jakoś inaczej, niż zgadujący myśli Nara. Była w tym spojrzeniu ojcowska życzliwość, zachęta. Sam nie wiem, kiedy zacząłem mówić. Mówiłem długo, szczerze. Nie będę tego opisywał, to zbyt osobiste i nie ważne dla nikogo poza mną samym. Byłem tam i pytania i twierdzenia i spowiedź z własnych przewinień, słabości, ale i z tego, co mi się w sobie wydawało dobre, co chciałem, żeby ktoś potwierdził, uznał. Najtrudniej było mi wyznać, jak mi zabrakło odwagi by umrzeć za przyjaciela w Kraterze Zygryda. Wykrztusiwszy to z siebie zamilkłem.

--- Mój drogi - rozpoczął z powagą ojciec Piotr – są ludzie, którzy niejako ukradli niebo i świętość niemal w jednej sekundzie, jak łotr na krzyżu lub ci męczennicy, co ledwie wydobyli z duszy wyznanie wiary, a już padli pod ciosem miecza lub kłami dzikich bestii. Zwykła jednak droga do heroizmu jest długa i nie łatwa, znaczą ją całe lata wysiłku i przełamywania siebie. Araru taką drogę odbył, a wiem, jaka ona była ciężka i chropowata. Brzydkiemu człowiekowi nie łatwo jest kochać ludzi, bo ma do nich

podświadomy żal, że są od niego ładniejsi, szuka na nich rewanzu za własną szpetotę i upokorzenia. Araru zdołał się wznieść ponad to. Początkowo równoważył może swe poczucie niższości władza czarownika, który dzierżył nad swym plemieniem, potem z przyjęciem chrześcijaństwa, otwarły się przed nim przestrzenie ducha, gdzie jedyne znaczenie ma uroda wewnętrzna, to nadprzyrodzone piękno łaski w nas. Było to długie i mozolne wspinanie się, bolesne dojrzewanie. Wreszcie doszedł do kresu...

Ojciec Piotr zamyślił się przez chwilę, po czym podjął znowu:

--- Twoja ścieżka jeszcze daleka od końca. Nie stać cię dziś na szczyt heroizmu, lecz Bóg pracuje w tobie, wyciąga z tej skorupki, w której chciałbyś się ukryć. Pozwól Mu działać. Ma On swój plan i wie, gdzie cię prowadzi, choć tego nie rozumiesz dzisiaj. Przyjdzie czas, że pojdziesz.

— Popatrz na moje życie — ciągnął dalej. — Od wielu lat byłem proboszczem w Lejii. Dobrze mi było w ładnym mieście, przy pięknym kościele i w wygodnej plebani. Zdawało mi się, że czynię dużo dobrego, prowadząc ku Bogu tych, którzy się ku mnie garnęli. Aż, przyszła inwazja i

okupacja. Ostrzeżony przed aresztowaniem musiałem uciekać, zostawiając za sobą wszystko, co mi było drogie. Wydawałem się sam sobie bardzo nieszczęśliwy. Tymczasem stanąłem u progu najpiękniejszego okresu mego życia. Parafia rozszerzyła mi się na całą dżunglę. Dotarłem do tych, o których istnieniu nie wiedziałem nic przedtem. Szedłem od osady do osady, nauczałem i chrzcilem. Wchodziłem w życie mych dzieci, poznawałem ich bolączki, radości, problemy wielkie i małe ich dzień zwykły i świąteczny. Teraz jestem jednym z nich. Stałem się pełniejszym człowiekiem i, jak mi się zdaje, prawdziwym księdzem. Tak. Bóg wie, co robi...

— Ale czemu, Ojczy — wtrąciłem — stawia przed nami zadania, które nas przerastam, do których nie dorośliśmy? Jeśli się moją wyprawa na Lejlę udała ostatecznie, to przecież tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności i współpracy z innymi.

— Gdyby ci, Andrzej. Opatrzność stawiała zadania na tym własnym poziomie, nie bardzo byś mógł urósć duchowo. Nie pobudzałyby cię one do większego wysiłku, nie musiałbyś Boga prosić o pomoc, szukać wsparcia u innych.

Byłbyś „sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem”. Wydawałoby ci się, że jesteś czymś, a byłbyś tylko przeciętnym zarozumialcem. Czy to nie dobrze, że odczuwasz swą słabość? Trzyma cię to mocno w granicach realizmu...

— Robi się, Ojczy, już późno... A chciałem jeszcze prosić o spowiedź.

— Czy masz coś do dodania prócz tego, co dotąd powiedziałeś?

— Nie, właściwie to już wszystko.

— Więc dobrze, klękniij, wzbudź serdeczny żal za swoje przewinienia, szczerze obiecaj Bogu poprawę, a udzieli ci rozgrzeszenia.

— A pokuta?

— Zrób jutro coś przyjemnego dzieciom. Misereatur tui...

Kiedy opuszczałem szalas ojca Piotra, z ciemności wyłonił się Aba.

— Czy zapomniałeś, że masz mnie podwieźć Takilą pod stare miasto? Już czas. Przyszła też przed chwilą wiadomość, że okręt z posiłkami dla Niemców wpłynie do portu w samo święto Akaleli...

ROZDZIAŁ II

BUMERANG, STRZAŁA I DOROTA

Świtało. Po spokojnych falach morskich mknęła Takila. Siedziałem przy kole sterowym, wzdając sennym okiem po niewyraźnym jeszcze widnokręgu. Wtem na wschodzie mrugnęło fioletowe światło, — raz — drugi raz — trzeci...

Latarnia morska? — pomyślałem zdziwiony. Mapa nie wskazywała w tej stronie żadnego lądu.

Coraz silniejsze błyski powtarzały się regularnie. Wreszcie spoza horyzontu wypłynął świetlisty półokrag fioletowego koloru. Rosnąc szybko, obe mował coraz większy obszar nieba, lecz zgasł, nim dotknął zenitu. Za nim szły już nowe, migotliwe łuki. Jak kamień, gdy uderzy w wodę, tworzy na niej rozchodzące się koła. tak tu najwidoczniej wstające słońce powodowało świetlne falowanie nieba. Dotychczasowy fiolet przeszedł po chwili w czerwień, a ta z kolei ustąpiła miejsca pomarańczowej barwie. Robiło się coraz jaśniej. Wreszcie zza widnokregu wychyliła się ognista plama słońca, świetlane drgania ustały.

Podziwiając zjawisko, którego fizycznej przyczyny nie mogłem dociec, rzucałem jednocześnie częste spojrzenia na mały ekran radarowy. Oczekiwałem ukazania się na nim sylwetki żaglowego statku. Statek ten, o nazwie "Bumerang", wyszedł trzy dni temu z portu na Lejli i zmierzał z ładunkiem orzechów „amru” ku wyspom niemieckim. Chcieliśmy go doścignąć.

Prócz mnie na Takili znajdowali się: Zbyszek z

Magdą, Kini, Aba i dziesięciu wojowników oremandzkich. Choć nie powiewała nad nami czarna bandera z czaszką i puszczelami, stanowiliśmy załogę korsarską.

Kontur ściganego statku pojawił się na ekranie w godzinę po wschodzie słońca. Zaalarmowałem załogę Takili. Magda i Zbyszek przejęli ode mnie służbę na mostku kapitańskim. Wraz z Abą wyszedłem na pokład. Byłem zasadniczo spokojny o przebieg korsarskiej operacji, niepokoiła mnie jedynie myśl, czy na żaglowcu nie znajduje się radiostacja nadawcza. Zależało mi bardzo, żeby o tym, co się miało stać za chwilę, nie poszła żadna wieść w fale eteru.

Nie jestem znawcą żaglowców, więc nie mogę użyć fachowej marynarskiej nazwy na określenie "Bumeranga". Był to rodzaj dużej barki o czworokątnych żaglach. Nasze zbliżenie się do statku, który już było widać gołym okiem, nie wywołało na żadnej nerwowości. Nie było zresztą ku temu powodów. Takila była wyraźnie jachtem z Kamiru, a Wenuzjanie nie rozbijali po morzach.

Podpływaliliśmy do statku.

— Ten młody jegomość w słomianym kapeluszu — mruknął Aba — to właściciel i kapitan

żaglowca.

Choć "Bumerang" płynął pod banderą niemiecką, był własnością Australijczyka, porwanego z Ziemi kilka lat temu. Uświadomił mnie o tym Wiktor prowadzący dokładną ewidencję wszystkich okrętów, wchodzących i wychodzących z Lejli. Wiedząc o tym, pozdrowiłam kapitana po angielsku. Odpowiedział grzecznym "Howdo you do?" i zapytał, czego byśmy chcieli.

— Czy macie radiostację na statku? — zagadnąłem. — Nasza się zepsuła, a chcemy przesłać pewną wiadomość do Lejli.

— Sorry, nie mamy — odparł.

Płynęliśmy równolegle do Bumeranga, do tykające niemal jego burty. W czasie mej rozmowy z Australijczykiem wysunął się spod pokładu Kini i reszta wojowników, uzbrojonych po zęby i gotowych do „abordażu”. Na pokładzie żaglowca widziałem tylko dwóch marynarzy krajowców oraz ubranego po „ziemsku” chudego oberwańca, stojącego przy sterze. Na widok moich wojaków oraz skierowanych ku statkowi luf Takili. Australijczyk zaniepokoił się. Po jego sympatycznej, spalonej przez wiatry i słońce twarzy przemknął cień. Szare oczy błysnęły nieufnie.

— Don't get scared (nie bój się) — powiedziałem mu. — Ani twoja załoga, ani twój statek nie poniosą szkody, jeśli będziesz z nami współpracował. Żądam od ciebie jednej łodzi ratunkowej... o, tej. na dziobie Bumeranga. Zabierzemy ci też, ile się da, beczek, desek i pewną ilość orzechów. W dodatku musisz zmienić kurs i zatoczyć wielki łuk, który ci wyznaczę no mapie...

— To jest akt rozboju — zachnął się kapitan Bumeranga — protestuję...

— Możesz protestować, ile chcesz — odparłem — lecz musisz spełnić moje żądania. Należymy do wojsk partyzanckich Lejli, walczących przeciw niemieckiemu okupantowi. Płyniesz pod wrogą flagą i możemy śmiało cały twój statek postać na dno. Nie czynimy tego tylko dlatego, że jesteś Australijczykiem; a nawet za twoją stratę zapłacę ci coś niecoś...

— Ej, to ty może jesteś Sieger? — przerwał kapitan, obrzucając mnie rozjaśnionym i zaciekawionym spojrzeniem.

— Nie Sieger, tylko Andra — odparłem. — Walczę pod rozkazami Siegera. Ale szybciej, proszę, bo nie mamy czasu Kapitan nie oponował więcej. Nasi wojownicy w jednej chwili zna-

leżli się na pokładzie Bumeranga, siejąc tam niemałe spustoszenie. Zabrali łódź ratunkową i kilkanaście worków orzechów. Powyrywali szereg desek i zagarnęli moc przedmiotów, jakie mogły się utrzymać na wodzie. W niedługim czasie pokład Takili, na który przeniesiono zagrabione rzeczy, zamienił się w rupieciarnię.

Wręczyłem Australijczykowi kilka drogich kamieni, których Oremangowie mieli mnóstwo w swoim posiadaniu. Wydawał się zadowolony. Zapytał się, po co to wszystko robimy, ale nie udzieliłem mu wyjaśnienia. Natomiast wskazałem mu na mapie trasę, którą miał się udać. Dodałem też groźbę, że go wyślę na dno przy pierwszej okazji, jeśli nie posłucha.

Kiedy opuszczaliśmy jego kajutę, natknęliśmy się na Abę. Kapitan rzucił na niego badawcze spojrzenie.

— Ależ to ten sam łobuz — wykrzyknął — co mi się w porcie wiercił po statku i wtykał wszędzie swój nos. Musiałem go wreszcie posłać do wszystkich diabłów.

Aba nie znał angielskiego. lecz domyślił się, o czym mowa i pokazał Australijczykowi język. Była to niewinna zemsta za kopnięcie, jakie otrzymał od niego w czasie swej akcji zwiadow-

czej w porcie Lejli.

— Good bye, skipper! — pożegnałem właściciela Bumeranga. — życzę pomyślnych wiatrów.

Oderwaliśmy się od boku żaglowca, który od razu zmienił kierunek, udając się wprost na południe. Takila ruszyła szybko naprzód w kierunku południowo-wschodnim.

Zabraliśmy się z miejsca do przygotowań, które dla osoby niewtajemniczonej wydawali się mogły dziwne i niezrozumiałe. Wojownicy przypalali zabrane deski i beczki. Łódkę przedziurawiono a otwór zatkano szmatami. Aba ujął swoje spadające na ramiona, włosy na czubku głowy rogową klamrą. Pod nią ukrył dwie małe torebki ze skóry. Wyglądał teraz jak chłopiec z plemienia Taranajów w głębi lejlijskiej puszczy. Wykapaliśmy się następnie obaj w wodzie morskiej aż po czubki głów i wdzialiśmy nadarte i nasyczone solą krótkie „pople”. Kini dorobił jeszcze na naszych ciałach ślady zadrapań i mniejszych skaleczeń. Byliśmy gotowi do maskarady.

Dobrze już po południu nasz radarowy ekran złapał obraz zbliżającego się dużego okrętu. Była to niemiecka „Strzała” (Pfeil), cel naszej wypra-

wy. Po dokładnym ustaleniu jej trasy, kierunku wiatru i prądu morskiego zaczęliśmy ciskać za burtę, rupiecie z Bumeranga, Gdy przynajmniej ich połowa znalazła się w morzu, spuszczo łódkę bez wiosł do której wsiedli rzekomi rozbitkowie: Aba i ja. Następnie Takila porzuciła w dużym promieniu resztę dowodów „rozbicia się” Bumeranga i zanurzyła się pod wodę. Nie miałem tym razem ze sobą mikroskopijnego aparatu radiowego do porozumiewania się z przyjaciółmi. Nie chciałem ryzykować na wypadek rewizji. Pozostaliśmy więc osamotnieni wśród morskiego oddechu w małej łupince. Niedolnie zatkana szmatami dziura przepuszczała wodę. Wylewaliśmy ją skorupami rozłupanego orzecha. Trzeba było szybko pracować, żeby rzeczywiście nie ulec katastrofie. Miało to wszakże tę dobrą stronę, że zmniejszyło napięcie oczekiwania.

Ujrzyliśmy nieprzyjacielski okręt dopiero po dwóch godzinach. Była to dziwna mieszanina prymitywu z nowoczesnością.

Podczas, gdy przybysze z Ziemi mogli podziwiać w Kamiru wspaniale rozwiniętą technikę wenuzjańską, sami znajdowali się w położeniu nowoczesnych Robinsonów. Posiadali zaawan-

sowaną wiedzę, ale nie mieli odpowiednich środków do jej zastosowania. Wszystko trzeba było tworzyć od podstaw, bez węgla i ropy naftowej, których dotąd nie odkryto na Wenus, bez gotowych narzędzi i odpowiedniej siły roboczej. To, co dostarczali Wenuzjanie ze swoich fabryk, było ograniczone ilościowo i nie mogło stanowić podstawy do budowy przemysłu na wielką skalę. Stąd po morzach pływały w większości żaglowce lub statki parowe, pędzone... drzewem. Okręt, który zamierzaliśmy zdobyć, należał do wyjątków, poruszany był bowiem siłą dwu motorów, skonstruowanych w Kamiru. Posiadał więc stosunkowo dużą szybkość i nie potrzebował żadnego paliwa. Kształty miał przesadnie opływowe, ultranowoczesne, tymczasem wykonany był przeważnie z drzewa. Uzbrojenie jego stanowiły 75 mm. działa i ciężkie karabiny maszynowe. Jednym i drugim daleko było do precyzji i zasięgu ziemskiej broni tego rodzaju, niemniej Strzała stanowiła na warunki wenuzjańskie groźną jednostkę bojową.

Na jej widok zabiły nam żywiej serca. Staliśmy w łódce, dając znaki, jak gdybyśmy wzywali pomocy. Z okrętu musiano nas zauważyć, ale czy zatrzymają się? Decydowały się tu

zresztą nie tyle nasze losy, co raczej „być lub nie być“ samej Strzały. Gdyby mój plan się nie powiódł i okręt minął nas obojętnie. Takila musiałyby go posłać na dno. Lecz nie. Zwolnili biegu, zatrzymali się. Po chwili skierowała się ku nam łódź ratunkowa.

— Za ich dobry uczynek odpłacimy się im podstępem — mruknął posepnie Aba, zdjęty skrupułami moralnymi.

— Nieprawda — odpowiedziałem — za swój dobry uczynek zachowają życie. Inaczej musielibyśmy ich zatopić.

Łódź okrętowa dopłynęła do nas. Przesiedliśmy się na nią. Naszą własną dziurawą szalupę pozostawiono jej losowi. Marynarze mieli jednak okazję przeczytać napis, świadczący o jej przynależności do Bumeranga.

— Bumerang się rozbił? — wykrzyknął po niemiecku jeden z nich.

— Ja, ja — przyświadczyłem tragicznym tonem — kaput!

Dopływając do boku okrętu ujrzeliśmy nad sobą mnóstwo ciekawych twarzy, przyglądających się akcji ratunkowej. Wyławianie rozbitków musiało być wydarzeniem mile urozmaicającym monotonię podróży.

Poprzez tłum marynarzy i żołnierzy poprowadzono nas na najwyższy pomost przed oblicze kapitana okrętu. Wzbudziło ono we mnie otuchę. Była to twarz szczerą, energiczną, przeciętą na policzku pionową szramą. Stalowe oczy patrzyły badawczo, lecz wyzierała z nich ludzka życzliwość.

Kapitana otoczyła grupa oficerów, kilku cywilów i parę kobiet. Wśród tych ostatnich przykuwała spojrzenie swą urodą młoda dziewczyna o ślicznych zielonych oczach i włosach koloru ciemnego złota. Nie w niej przecież utkwilem wzrok ze szczególną uwagą. Obok kapitana stał postawny oficer z odznakami pułkownika na zielonym mundurze. Odgadłem w nim dowódcę transportowanych na Lejlę wojsk. Biło od niego butą i bezwzględnością. Szczególnie w układzie warg było coś antypatycznego, odpychającego. Patrzył na mnie podejrzliwie spod bardzo jasnych brwi.

--- Ten może być niebezpieczny - przebiegło mi przez głowę.

— To Bumerang uległ katastrofie? — zapytał kapitan. - Jak to się to stało?... przy tak pięknej pogodzie?

-- Jaka była przyczyna, nie wiem — odpar-

łem, starając się mówić pewnym głosem. - Dziś w nocy nastąpił w tyle statku straszliwy wybuch który mnie rzucił za burtę. Przez dobrą godzinę trzymałem się na wodzie. uczepiwszy się deski aż wyłowił innie chłopiec okrętowy. Szczęśliwym trafem znalazł tę łódkę, choć nieco uszkodzoną. Tak pływaliśmy dotąd... Innych rozbitków nie dostrzegliśmy nigdzie, ale może się ktoś jeszcze utrzymuje na falach..

— Niestety nie mamy czasu na szerszą akcję ratunkową... Ale coś ty robi: na pokładzie "Bumeranga? Jakiej jesteś narodowości?

Uf... tuśmy doszli do kulminacyjnego punktu.

— Po przybyciu z Ziemi mieszkałem na jednej z wysp w pobliżu Nowego Krakowa. Dowiedziałem się niedawno, że moja ciotka, która jest Niemką, przebywa na Wyspie Bismarcka i jechałem do niej. To jedyny członek mej rodziny na Wenus. Dostałem się do Lejli, a tam wsiałem na Bumerang...

— Jesteś Volksdeutschem?

— Nie. Mam w rodzinie Niemców, ale sam wychowałem się w Polsce ...

Przysłuchujący się badaniu pułkownik nie pozwolił mi skończyć. Na jego twarzy pojawił się wyraz nienawiści, skoczył ku mnie:

— Bist du Pollack? — wrzasnął.

Skinałem głową twierdząco. Jakżeż zresztą mogłem udawać kogo innego ?

— Wrzucić to polskie bydlę do wody — zarzącał — Schnell, schnell ! Byłem w Polsce i znam to pieskie nasienie. Każdy z nich to szpieg i bandyta... Panie kapitanie, nie ma co się z tym co cackać... do wody!

W obliczu kapitana wyczytałem niesmak, ale i zakłopotanie. Nie bardzo widać wiedział, jak ma zareagować na ten wybuch wyższego rangą oficera. Zanim wszakże zdążył powziąć jakąkolwiek decyzję, rozległ się w powietrzu dźwięk, przypominający pisk kota, gdy mu kto nastąpi na łapę. Wydała go z siebie dziewczyna o włosach barwy dukatowego złota.

— Krwiopijco... bestio bez ludzkich uczuć... morderco!... — dziewczyna zbliżała się do oficera, tupiąc nogą i parskając jak kotka. Jej mocno zarysowane brwi ściągnęły się gniewnie, policzki zabarwił krwisty rumieniec. Było jej bardzo ładnie z tym oburzeniem, tym bardziej, że w drżącej z gniewu pysznej fali włosów słońce zapalało migotliwe błyski.

— Tobie by kamień uwiązać u szyi — wołała dalej — i wrzucić cię w morze, albo lepiej po-

wiesić za nogi nad ogniem i podpalać ze wszystkich stron. Z rozkoszą słuchałabym twoich jęków. Jesteśmy na Wenus, gdzie człowiek człowieka szanuje, a nie...

Speszony oficer cofał się krok za krokiem przed tą złocistą furia.

Kapitan, z trudem utrzymując powagę, przerwał dziewczynie potok słów;

— Ależ, Fraulein Dorota, Herr pułkownik z pewnością tylko żartował, proszę się zaraz tak nie unosić. Jest rzeczą oczywistą, że przygaraniemy tych rozbitków.

— Panie poruczniku — zwrócił się do jednego z oficerów — proszę się zaopiekować tym małym, niech mu dadzą zaraz coś zjeść w kuchni na dole, a ja sam się zajmę tym młodym Polakiem, co ma niemiecką ciotkę.

Rzuciłem wdzięczne spojrzenie na Fraulein Dorotę, która już ochłonęła z gniewu i przyglądała mi się badawczym i nieco zmarszczonym spojrzeniem. Była w jej wzroku wielka pewność siebie i coś nieokreślonego, co mnie zaniepokoiło.

— Niebezpiecznie jej wchodzić w drogę — pomyślałem, udając się za kapitanem.

Ten zaprowadził mnie gościnnie do swojej

własnej kajuty.

— Nie wszyscy między nami należą do pola-kożerców — odezwał się z uśmiechem, klepiąc ramię po ramieniu. — Ja sam byłem rozbitkiem i wiem, co to znaczy. Przez dwa dni i dwie noce utrzymywałem się na wodzie w pasie ratunkowym. Było to na Morzu Północnym na Ziemi, kiedy nas storpedowała łódź podwodna. Byłbym zczezł, gdyby mnie nie wyłowili wenuzjański dysk i nie przywiózł tutaj. Brrrrr... to było straszne. W porównaniu ze mną miałeś komfortowe warunki... Tu jest łazienka. Obmyj się ze soli, a ja zaraz przygotuję ci coś przyzwoitego do ubrania.

Kapitan był tak przyjemny, że coraz bardziej nieswojo czułem się w swej roli. Lecz cóż robić? Przecież mu się nie przyznam, po co się tu naprawdę znalazłem. "A la guerre, comme a la guerre". Dostałem od kapitana białe spodnie, także koszulę i nieco przyduże sandały. Śmiesznie się czułem z powrotem w ubiorze europejskim; przywykłem już do wenuzjanskich lekkich strojów. Polacy i ludzie innych narodowości przyjęli od razu modę miejscową, jako bardziej dostosowaną do klimatu Wenus. Jednakże konserwatywni Anglicy, a także Niemcy, trzymali się wiernie ubioru ziemskiego.

Po przebraniu się poszedłem za kapitanem do jadalni oficerskiej. Dzielny wilk morski towarzyszył mi w trakcie jedzenia, wypytywał o moją historię. Opowiedziałem mu ją dość wiernie aż do porwania z Ziemi; potem musiałem puścić wodze fantazji. Nie ukrywałem, że byłem w A.K. i walczyłem w Powstaniu Warszawskim.

— I ja też walczyłem przeciw wam --- powiedział kapitan. — Pełniłem służbę na pancerniku, który bombardował Westerplatte. Tutaj na Wenus moglibyśmy żyć w przyjaźni; "lebensraum" aż za dużo dla wszystkich. Niestety Wenuzjanie niepotrzebnie nabrali sporo hitlerowców i ci mącą wodę. Pułkownik Forster, który chciał cię utopić to były oficer S.S. Z tą Lejlą to niepotrzebna awantura. Słyszałem, że tam wasza partyzantka dała nam niezłą szkołę?

— Nic mi nie wiadomo na ten temat - odpowiedziałem wymijająco. — Mówiono mi tylko o wybuchu jakiegoś wulkanu. Podobno przy tym dużo Niemców zginęło...

--- Tak, słyszałem o tym. Co najgorsze, dostałem dziś depeszę, że zgineli tam bliscy dwóch z tych kobiet, które mam na pokładzie. Jak im to powiem? A... jeszcze poczekam.

Po posiłku kapitan zabrał mnie ze sobą. Miał

on do rozporządzenia dwie kabiny, połączone drzwiami. Dobry człowiek kazał mi położyć się w jednej z nich na kozetce, mniemając, że muszę być bardzo zmęczony. Udawałem, że śpię, ale mi się wcale na sen nie zbierało, zbyt byłem podniecony dotychczasowymi wydarzeniami i niespokojny o dalszy rozwój sytuacji. Kapitan przed udaniem się na spoczynek zamknął mojąabinę na klucz. Gościnność gościnnością ale ostrożność nigdy nie zawadzi.

* * *

Obudziłem się nazajutrz ze świadomością, że *jest to wigilia święta Akaleli*. Czy Lejla będzie obchodziła ten dzień na zawsze jako rocznicę wyzwolenia, czy klęski?

Kapitan zaprowadził mnie do kuchni oficerskiej. Po śniadaniu wyszedłem na pomost i zatopiłem wzrok w rozległym obszarze wód. Wszędzie morze. Żadnego punktu, według którego można by się zorientować gdzie jesteśmy. "Pfeil" mimo wenuzjańskich motorów nie szedł bardzo szybko. W porównaniu z chryzą Takilą był żółwiem. Nie powinniśmy się zjawić w porcie w Lejli wcześniej, niż jutro koło południa - kalku-

lowałem. Nasze wpłynięcie do portu miało być hasłem do powstania.

Statkowi towarzyszymy wielkie czerwone ryby wielkości małych rekinów, ścigały się z nami, baraszkowały. Wyskakiwały do góry, łapiąc w locie kęski pożywienia, rzucając im przez marynarzy. Tak się na nie zapatrzyłem, iż nie zauważyłem czyjś zbliznienia się. Odwróciłem się dopiero gdyż poczułem dłoń rur ramieniu.

— Dżendobry. Czy dobrze spałeś?

Przedemną, z miłym uśmiechem na urodzawej twarzy, stała Fraulein Dorota, która z taką energią przyszła mi wczoraj na pomoc.

— Dzień dobry — odparłem, odpłacając uśmiechem za uśmiech. — O, to pani mówi po polsku? Chciałem serdecznie podziękować za wczorajszy ratunek.

— Proszę od razu skończyć z tą „panią“ — przerwała mi krótko — tu na Wenus mówimy sobie wszyscy per „ty“. Moje imię Dorti.

Podaliśmy sobie ręce. Dorota mówiła powoli, jakby szukając właściwych wyrazów, miała też pewną trudność z wymową miękkich spółgłosek. Przyglądała mi się teraz badawczo. Uroczy uśmiech, którym mnie przywitała, ustąpi, miejsca surowemu grymasowi, nie pasującemu do

wdzięcznej buzi.

— Dlaczego skłamałeś wczoraj? — zapytała. Uczułem, że nogi uginają się pode mną. Czy odkryła coś naprawdę, czy mnie tylko próbuje? Może jej wczorajsze oburzenie na pułkownika było z góry ukartowaną grą?

Wzruszyłem ramionami:

— Co za pomysł? Skąd takie brzydkie podejrzenie?

Dziewczyna nadal patrzyła na mnie przenikliwie swymi wielkimi, zielonymi oczami.

— Ja zawsze od razu wyczuwam — odparła — czy kto mówi prawdę, czy kłamie. Nie wiem, po co się tu zjawiałeś, ani jaki jest twój plan, ale jestem pewna, iż coś knujesz.

— Jeśli tak sądzisz, czemu broniłaś mnie przed tym morderczym pułkownikiem?

— Jestem Wenuzjanką i nie pozwolę na żadną niehumanność — odpowiedziała, wydymając dumnie czerwone wargi. — Wychowałam się w Kamiru i dopiero od niedawna muszę być między tymi... — tu zatoczyła niechętny ruch ręką. — wolę już was, Polaków. Pomagałam kiedyś was przyjmować w obozie przygotowawczym, na wyspie Mua... Nie odbiegajmy jednak od tematu. Wczoraj przy kolacji kapitan Manteufel opo-

wiadał, że byłeś w czasie wojny w A.K. Tym bardziej jestem pewna, że twoje rozbicie to nie prawda.

Pół nocy myślałam, jakie możesz mieć zamiary ale nic nie mogłam wykombinować. Nie chcesz chyba tego okrętu wysadzić w powietrze, bo jak? Bomby ze sobą nie przywiozłeś. Do magazynu amunicji się nie dostaniesz, bo zamknięty i strzeżony. Sprawdziłam rano. Na noc kapitan cię zamyka. Nic też nie wyszpiegujesz, bo jak prześlesz wiadomości? Więc po co tu jesteś? Na twarzy młodej dziewczyny pojawiło się nadaśanie małego dziecka, przed którym ukrywają coś, czego bardzo pragnie się dowiedzieć.

Na ten widok roześmiałem się szczerze.

— Czy wobec tego — powiedziałem — nie prościej jest przyjąć, że jestem autentycznym rozbitkiem, a nie tajnym agentem lejlofskich partyzantów?... — Uf, powiedziałem troszeczkę za dużo, oznajmił mi to od razu błysk w zielonych oczach.

Toteż czym prędzej dodałem:

— Ale czy można wiedzieć, po co to panna Dorti jedzie wojennym okrętem na Lejle?

— Mój ojciec prowadzi tam pewne prace dla Niemców. Bardzo się z nim liczą, a przez to i ze

mną muszą się liczyć — dodała butnie. — Mój ojciec jest Wenuzjaninem. To niezwykle mądry, nawet genialny człowiek. Tylko w Kamiru nie poznali się na nim. Skrzywdzili go za małżeństwo z moją matką która pochodzi z Ziemi. — Na twarzy dziewczyny odbił się ból. Westchnęła ciężko. — Jadę teraz do niego w odwiedziny.

Jasny błysk światła rozświetlił mi mózgowicę: Toż to na pewno córka Kobry. Co za zbieg okoliczności!

Tymczasem Dorota w zamyśleniu, jakby oglądając jakieś odległe obrazy, ciągnęła dalej:

— Jakim wspaniałym człowiekiem jest mój ojciec! Szalenie go kocham! Szkoda, że musiał przystać do tych... boję się tego.

W tej chwili otrząsnęła się z zamyślenia i spojrzała na mnie:

--- E, co masz taką niemądrą minę? - rzuciła bezceremonialnie. - Ty coś musisz o moim ojcu wiedzieć. Pamiętaj! Niemców możesz sobie drzeć w kawały, ten okręt możesz wysadzić w powietrze i sto razy, byle beze mine, ale gdybyś kiedy stanął przeciw memu ojcu, biada ci!

— Widzę, że Friaulein Dorota spiskuje z tym polskim szpiegiem — zabrzmiał nagle nad nami suchy głos SS-mańskiego pułkownika — będzie

trzeba i ją powiesić na maszcie...

— Sam się powieś! — odburknęła niechętnie po niemiecku, ale zaraz się zreflektowała i zmieniając ton na uprzejmy, a nawet trochę zalotny powiedziała:

--- Panie pułkowniku, wydaje mi się, że to czas na drugie śniadanie, może mnie pan zaprowadzi na kawę.

--- Z przyjemnością - odparł oficer i elegancko podał dziewczynie ramię, które przyjęła nie rzuciwszy mi nawet spojrzenia przy odejściu.

Odetchnąłem z ulgą. Panna Dorotka miała zgrabny, ale zbyt wścibski nosek. Mogło to być niebezpieczne. Po co palnąłem o "agencje lejlowskich partyzanyów"? - dziewczyna tak ściśle nie sprecyzowała swych podejrzeń. Po drugim śniadaniu widziałem ją znowu na pomoście. Przechadzała się z pułkownikiem. Opowiadał jej zapewne coś zabawnego, bo raz po raz śmiała się głośno. Oficer miał minę rozanieloną, najwidoczniej był bardzo zajęty przystojną panną.

Wkrótce na pomoście ukazała się reszta pasażerów cywilnych.

Trzymali się z dala ode mnie a i ja stroniłem od nich. Podeszła jednak do mnie pulchniutka kobietka o kasztanowych włosach i rozkosznych

dołkach w policzkach. Jej bladoniebieskie oczy miały wyraz ujmującej dobroci i naiwności.

--- Do you speak English? - zapytała.

Nawiązaliśmy rozmowę. Była to Miss McGuire, Amerykanka z Bostonu, która jechała do swego brata. Miał na nią czekać w Lejli i zabrać jachtem na jedną z wysp, gdzie prowadził podobno ogromną plantację. Niedawno "wyrekłamał" swą siostrę z Ziemi.

Było to trochę śmieszne stworzenie straszliwie zdziwione swą międzyplanetarną przygodą. Zadawała mi mnóstwo pytań na temat tutejszego życia. Ubawiłem się miło w jej towarzystwie i byłem serdecznie wdzięczny za pomoc w zabiciu czasu, który włókł się tego dnia żółwim tempem.

Po objedzie Dorota znowu mnie zaczepiła. Widząc niespokojne spojrzenie, jakim przyjąłem jej nadejście, roześmiała się i rzekła:

— Nie bój się, Andra. Już nie będę z ciebie nic wyciągać. Nie chcesz nic powiedzieć, dobrze. Sam na tym stracisz, bo moja pomoc mogła by ci się przydac...

--- Czy my wiemy - odrzekła poważnie – dlaczego bu- dzi się w nas sympatia dla tego czy innego człowieka? Poczulem dla ciebie życli-

wość od pierwszej chwili. Ponadto w konflikcie między Lejlą a Niemcami jestem całym sercem po stronie tej pierwszej. Kuwilińczycy to przecież moi współbracia Wenuzjanie i walczą o swoją wolność. Tych trzystu żołnierzy jedzie dla zgniecenia powstania. Domyślam się, że znalazłeś się na pokładzie strzały po to, żeby do tego nie dopuście. Tymczasem zamiast działać, siedzisz tutaj na pomoście i gapisz się godzinami bezmyślnie w wodę. Strach cię obleciał? Jeśli trzeba w czymś pomóc, jestem gotowa.

— Takiej bujnej fantazji jeszcze w życiu nie spotkałem — odparłem z wymuszonym uśmiechem, bo mnie w tej chwili rzeczywiście strach ogarnął. Ma dziewczyna intuicję, niech ją... Sprzymierzeniec taki bardzo by się przydał, ale nie wolno ryzykować. Podstawowa zasada konspiracji, to trzymać język za zębami, szczególnie wobec nieznanym i przystojnym kobiet. Przypomniała mi się piosenka:

*Bo konspiracja, to konspiracja,
i swoje twarde prawa ma:
kto szepnie słówko, to degradacja
a, kulka w łeb, kto szepnie dwa...*

Nie wiedziałem, jak mam się zachować. Nie mogłem zaufać Dorocie, lecz znów dalsze wypieranie się mogło ją rozgniewać. Niech się podzieli swymi podejrzeniami z pułkownikiem, lub nawet z sympatycznym kapitanem, a będzie „klapa”.

— Droga Dorotko — odezwałem się po chwili wahania. — Jeśli jestem autentycznym rozbitkiem, to wszy stko, co masz, może mnie tylko śmieszyć, względnie napawać obawą, by kto inny nie uwierzył w twoje fantastyczne podejrzenia. Jeśli zaś, jak mniemasz, jestem tajnym emisariuszem i sabotażystą, to też ci nic nie powiem choćbyś się i najmilej do mnie uśmiechała. A więc najlepiej porzućmy ten temat i popadajmy sobie o czymś innym.

— Dobrze — odpowiedziała z westchnieniem wścibska dziewczyna. — Już nie będę się o nic pytała, tylko proszę o jedno: jak będziesz wysadzał okręt w powietrze, uprzedź mnie na trzy minuty przedtem.

— Na to zgoda — odparłem.

Dorota rzeczywiście przeszła na inny temat. Opowiadała mi o Ava-Nari (Wyspie Ognia), gdzie po opuszczeniu Kamiru spędzała co roku wakacje pośród dzikich plemion, bardzo oddanych

jej ojcu.

— Tam się zawsze czułam najlepiej — mówiła - na łonie dzikiej natury pośród zacnych krajowców. Na wyspach niemieckich było mi obco, a Kamiru mi zbrzydło, gdy surzywdzono mego ojca. Słyszałam, że Lejla jest też bardzo ładna? Cieszę się, że tam jadę.

W tej chwili podszedł do nas kapitan. Miał minę poważną i smutną.

— Fraulein Dorota — powiedział cicho — chciałem z panią porozmawiać.

Wstaliśmy z ławeczki. Korzystając z okazji zwróciłem się do kapitana:

— Panie kapitanie, czy mógłbym zobaczyć tego chłopca okrętowego, który był ze mną razem w łodzi? Chciałbym wiedzieć, jak się czuje.

— Proszę bardzo — odpowiedział i wezwał jednego z marynarzy, by mnie zaprowadził do kuchni w dole okrętu.

— To Aba wkroczył się do kuchni — pomyślałem z zadowoleniem.

W parę minut później zobaczyłem go, jak pracowicie, szorował wielki gar.

— Jak ci się powodzi? — zapytałem po kuwiliańsku.

— Abranga (świetnie) — odpowiedział uś-

miechając się od ucha do ucha. Mrugnął przy tym prawym okiem co miało oznaczać, że wszystko idzie jak z płatka.

— Dobry pomocnik — pochwalił go kucharz — bardzo pracowity.

— A macie teraz mnóstwo roboty — dorzucilem. — Wykarmić nie tylko załogę okrętu, ale i wojsko, to nie byle co.

— Ja, ja — odparł — nie to. co w oficerskiej kuchni na górze. Tamci to hrabiowie. Kilkanaście osób wszystkiego do obsłużenia.

Ponieważ marynarz, który mnie przyprowadził, czekał na mnie, skinąłem głową kucharzowi i Abie na pożegnanie i wróciłem na górny pomost, uspokojony, że wszystko idzie według planu.

Czas teraz na mnie przygotować się do akcji. Poszedłem do kajuty i wyciągnąłem z kieszeni wielką agrafę — zdjąłem ją z podartej popli, kiedy kapitan dawał mi nowe ubranie. Przyglądałem się teraz dokładnie jej ostrzu: na szczęście zielonkawy jad pajęczy nie starł się. Była to jedyna broń, jakiej miałem użyć tej nocy.

Przy kolacji czułem bardzo słaby apetyt: napięcie przed akcją wzrastało z każdą chwilą. Ledwo też co przełknąwszy, wyszedłem z kuchni.

Znalazłem się w korytarzu, który prowadził z pomostu do jadalni pierwszej klasy. Dochodziły z niej głosy rozmów i brzęk naczyń. Chciałem wyjść na świeże powietrze, ale przechodząc obok kajuty, należącej do Doroty, stwierdziłem, że drzwi są nieco uchylone i dochodzi spoza nich stłumiony szloch. Wsunąłem głowę do środka. Dorota leżała na łóżku z twarzą skryta w poduszkach. Ramionami jej wstrząsało łkanie.

Pchnięty wewnętrznym impulsem podszedłem do niej, położyłem rękę na ramieniu i spytałem:

--- Mój ojciec nie żyje... Zginął w wybuchu wulkanu... Kapitan mi powiedział... Była depe-sza... Mój biedny ojciec...

Znowu zanosila się płaczem. Przysiadłem na skraju łóżka. Gładziłem delikatnie jej jedwabiste włosy i nagle postąpiłem wbrew wszelkim zasadom konspiracji, narażając za jednym zamachem całe przedsięwzięcie na klęskę. Było to karygodne, nieroztropne, ale chyba bardziej ludzkie.

--- Pochyliłem się nad Dorotą i powiedziałem cicho:

— Nie płacz! Twój ojciec żyje. Szlochanie ustało. Dziewczyna leżała czas jakiś bez słowa. Wtem szybkim ruchem usiadła na łóżku.

--- Żyje???

Jej zaczerwienione od płaczu oczy patrzyły na mnie z niedowierzaniem i trwożną nadzieją.

--- Naprawdę żyje?

Skinałem głową twierdząco.

--- Skąd wiesz?

— Tego ci nie powiem. Wiem jednak na pewno, że nie zginął w wybuchu wulkanu. Uratował się. Gdzie jest w tej chwili, nie jest mi wiadomo. O tym, co usłyszałaś, masz milczeć jak grób.

Dorota patrzyła na mnie długo, jakby wahać się, czy ma mi wierzyć, czy nie. Wreszcie uśmiechnęła się, a w jej oczach pokazały się znowu łzy - tym razem ulgi i radości. Chwyciła moją rękę przycisnęła do ust. Wyrwałem ją gwałtownie.

Wstała i podeszła do lustra.

— Jakżeż ja wyglądam okropnie — rzekła i naląła wody do miednicy, by obmyć zapłakaną twarz.

Ja tymczasem miałem parę chwili do refleksji. Dorota wiedziała już teraz na pewno, że nie jestem zwykłym rozbitkiem. Było to bardzo niebezpieczne. Intuicja mówiła mi, że dziewczyna mnie nie wyda, ale już się nieraz w życiu za-

wiodłem na tej swojej niby — intuicji, ponadto córka i Kobry wydawała mi się tak samo nieobliczalna, jak on sam. Lepiej nie ryzykować.

Wyciągnąłem z kieszeni agrałę. Otworzyłem ją i kiedy Dorota miała twarz w wodzie, podszedłem do niej i ukułem ją lekko w ramię. Efekt był piorunujący — ledwo zdążyłem pochwycić jej opadające na podłogę ciało. Ułożyłem nieprzytomną dziewczynę na łóżku twarzą do ściany. Zasunąłem zasłonę na iluminatorze i skierowałem się ku drzwiom.

Kładłem już rękę na klamce, gdy rozległo się dyskretne pukanie:

— Kogóż diabli niosą? — zakląłem z cicha rod nosem. Zawahałem się sekundę, po czym otworzyłem drzwi i wyjrzałem na zewnątrz. Przede mną stała Miss Mary.

Położyłem palec na ustach i szepnąłem:

— Właśnie usnęła... Wyplakało się biedactwo i sen ją w końcu zmorzył.

Miss Mary nie okazała zdziwienia na mój widok. Dobra dusza była bardzo przejęta nieszczęściem Doroty. Staliśmy jeszcze pod drzwiami kabiny, gdy podszedł do nas kapitan zaniepokojony nieobecnością Doroty na kolacji. Uspokoiłem go. Wyszliśmy na pokład. Równikowe

słońce zapadło przed kilku minutami za widnokrąg, ale już od południa i północy szły ku nam srebrzyste słupy zorzy magnetycznej. Wkrótce rozpałała się ona na dobre, obdarzając nas cudnym widowiskiem światła i kolorów.

Błogosławiłem w duchu zorzę: tej nocy komunikacja radiowa była niemożliwa. Nikt się nie zdziwił trudnością nawiązania łączności ze Strzałą.

Większość towarzystwa z górnego pokładu wyległa na zewnątrz i obserwowała świetlne zjawisko. Pod nami marynarze i żołnierze powinni byli właśnie teraz zasiadać do kolacji. Czuję straszny niepokój. Drżałem na myśl, że za chwilę może ukaże się Aba, złapany na gorącym uczynku i prowadzony pod strażą do kapitana... Chociaż nie. To już za późno na to. Aba przynajmniej godzinę temu powinien był dokonać swego dzieła.

Z wielkim roztargnieniem słuchałem Misa Mary, opowiadającej mi o swoim życiu w Bostonie, o tym, jak wyglądało jej mieszkanie, ile miała przyjaciółek i jak niespokojnym duchem był jej brat, do którego teraz jechała. Przerwał jej monolog kapitan, który podszedł do nas i zwrócili się do mnie.

— Czas na ciebie, spać.

— Ależ, panie kapitanie, toż to jeszcze bardzo wcześnie! — zaprotestowałem zaskoczony.

— Bardzo mi przykro. O nic ciebie nie podejrzewam, ale jesteśmy w stanie nieoficjalnej wojny z Polakami o Lejlę, muszę więc zastosować wobec ciebie coś w rodzaju godziny policyjnej. Pozachodzie słońca nie możesz się kręcić po pokładzie.

— Jawohl — odpowiedziałem z pozorną rezygnacją. - Rozumiem pana kapitana i nie mam żalu. Wyjdzie mi to na zdrowie, bo lepiej się wyśpię... - Będziesz mnie ty widział śpiącego tej nocy - dodałem, ale tylko w myśli.

Weszliśmy do kabiny, którą zajmowałem. Miała ona dwoje drzwi. Jedne prowadziły na korytarz, drugie do sypialki kapitańskiej. Gdy kapitan odwrócił się ode mnie tyłem, by zamknąć na klucz pierwsze drzwi, poszła w ruch magiczna agrafka. Huknął biedak o podłogę tak, że się przestraszyłem, czy kto nie przybiegnie zaalarmowany. Z niejakim trudem dźwignąłem ciężkie ciało i ułożyłem na łóżku. Zamknąłem na klucz sypialkę, a sam, jak gdyby nic nie zaszło, wyszedłem na pokład.

— Kapitan dał się w końcu ubłagać — po-

informowałem Miss Mary. — Taka śliczna noc. Szkoda byłoby ją marnować w dusznej kabinie.

— Sure, what a lovely night! — przyznała Bostonianka. Wodząc zachwyconymi oczyma po płonącym zorzą horyzoncie.

Pokład pustoszał powoli. Wreszcie pozostałem sam. Usunąłem się w możliwie nieznacznym kąci i czekałem z napięciem. Z mojego miejsca widać było tył mostku kapitańskiego skąd ptowadziły w dół do naszego pomostu metalowe schodki. Przy sterze pełniło służbę dwóch ludzi: oficer i starszy marynarz, który nadszedł dość niedawno, najwidoczniej po kolacji i zastąpił swego kolegę.

- Zorza nieco osłabła Zrobiło się ciemniej, ale widoczność była nienajgorsza, tym bardziej, że tu i tam paliły się lampy. Według moich obliczeń „Godzina Zero” powinna być tuż. Albo się za chwilę zacznie coś dziać, albo wszystko na nic. Serce biło mi coraz mocniej. Przydałby się dobry amerykański „tranquilizer“.

Wtem na mostku kapitańskim coś stuknęło głucho. Stało siei W jednej sekundzie znalazłem się na szczycie metalowych schodków i otworzyłem drzwi. Na podłodze leżał marynarz. Nad nim pochylał się zdziwiony oficer. BŁYSNEŁA

AGRAFA W MYM RĘKU. JEDNAKŻE OFICER BYŁ SZYBSZY ODE MNIE. SCHWYCIŁ MOJĄ DŁOŃ W POWIETRZU ŻELAZNYM uściskiem swej lewej ręki, a prawą pięścią jak taranem uderzył mnie w brzuch. Choć to było na Wenus, ujrzałem wszystkie gwiazdy. Lecz cóż znaczy siła wobec „sposobu”. I ja działałem błyskawicznie. Mimo uścisku zdołałem zatrutym ostrzem skaleczyć wierzch ręki przeciwnika. To wystarczyło. Zwalił się na podłogę bez czucia, lecz i ja chyba z dziesięć minut siedziałem na niej, kołując między przytomnością a nieświadomością.

Wreszcie podniosłem się, stękając i rozcierając obolały żołądek. Na mostku kapitańskim nie paliło się światło, tylko tarcze przyrządów pomiarowych lśniły blado. Z zewnątrz więc nikt nie mógł zauważyć, co zaszło. Pozbawiony sternika okręt nie zmienił kursu. Koło sterowe było zastawione. Rzuciłem okiem na przedni pomost. W świetle lampy widziałem wyraźnie lierzace wielkie ciało jednego z marynarzy.

Aba najwidoczniej spełnił swe zadanie, on bowiem miał dosypać do posiłku usypiający proszek. Wszyscy więc, którzy zjedli kolację powinni być już pozbawieni przytomności.

Rozcierałem jeszcze bolący brzuch gdy na

przednim pomoście ukazał się oficer. Podbiegł do lerzącego marynarza. Starał się go ocucić. Na próżno. Wyprostował się i wyciągnął rewolwer z pochwy i rozglądał się niepewnie dookoła. Zrobił parę kroków i pochylił się znów nad kimś, kogo zasłaniało mi działo. Nie mogąc i tego się dowiedzieć skierowałem się szybko ku schodom, prowadzącym na nasz pomost. Zaledwie jednak zdołał postawić pierwszy krok na stopniu, zwałił się i on na deski pokładu. Spoza schodów wyłonił się Aba.

Wyszedłem mu naprzeciw. Za chwilę był przy mnie podniecony i szczęśliwy. W lewym ręku trzymał swoją popłę, w prawym gotową do akcji agrafkę.

— Udało się — wyszeptał. — Na dole wszyscy nieprzytomni: i żołnierze i marynarze.



Tylko oficerowie nie jedli w naszej kuchni. A co tu?

— Tu już kilku unieszkodliwionych, a reszta siedzi w kabinach, nie podejrzewając niczego. Zaczaj się przy wyjściu z korytarza, bo może komu przyjdzie chęć przewietrzenia się na pokładzie, Ja tymczasem dam sygnał Takili, że okręt jest nasz. Dzielnieś się sprawił.

W parę minut później w ciemną przestrzeń nocy poczęły biec z mostku kapitańskiego błyski latarki.

ROZDZIAŁ III

ŚWIĘTO AKALELI

Kiedy Dorota ocknęła się, było już ciemno. Początkowo nie mogła sobie uprzytomnić, co się właściwie stało.

— Zemdlałam chyba — pomyślała wreszcie.

— Pierwszy raz mi się to zdarzyło w życiu.

Najważniejsze, że ojciec żyje, jeśli można wierzyć temu zagadkowemu Andrzejowi. Kim on jest?

Ponieważ znikąd nie nadeszła odpowiedź na to pytanie. Dorota wstała, rozebrała się i z powrotem spoczęła na łóżku. Wkrótce ogarnął ją prawdziwy sen.

Zbudziła się o zwykłej dla siebie porze. Odśloniła iluminator. Do kajuty wtargnęło światło słoneczne. Morze raziło migotliwymi błyskami, niby roztopione szkło.

— Piękny dzień — pomyślała. — Cieszę się, że lądujemy dzisiaj. Poza mało znaczący wyłowieniem rozbitków podróż była piekielnie nudna.

Żywy temperament Dorot" sprawiał, że lubiła zmianę, przygodę. Z przybyciem Andrzeja na pokład wiązała nadzieję na jakieś sęsacyjne wydarzenie, węszyła podstęp, lecz, jak jej się zdało - zawiodło się...

Zabrzmiał gong wzywający jak co dzień na śniadanie. Dorota umyła się pośpiesznie i ubrała, po czym wyszła na korytarz. W przejściu spotkała SS-mańskiego pułkownika, który przywitał ją komplementem, potem niezręcznie wyraził współczucie z racji straty ojca. Nie odpowiedziała; nudził ją i złościł swym nadskakiwaniem. Ubiegłego dnia okazała mu więcej zainteresowania lecz tylko po to, żeby odciągnąć jego uwagę od rozbitka. Weszli do niewielkiej Sali jadalnej. Znajdowała się tam już Bostonianka, trzech cywilów i dwóch oficerów z transportowanych oddziałów. Wielu osób brakowało jeszcze; między innymi kapitana.

Dorota usiadła przy stole. Kożystając z wolnego krzesła, przysiadł się obok niej pułkownik. Zajmował zwykle chonorowe miejsce na początku stołu, ale, że śniadania odbywały się w atmosferze mniej oficjalnej, mógł więc tak nie dbać o swoją godność. Spostrzegawcze oczy Doroty uchwyciły od razu dziwne zachowanie się

służby, roznoszącej jedzenie. Obaj marynarze-kelnerzy mieli jakby spłoszone spojrzenia. Wyglądało, że chcą coś powiedzieć, ale boją się. Raz po raz oglądali się niepewnie na drzwi. Dorota obserwowała ich spod oka, niewiele zwracając uwagi na mało dowcipne opowiadanie, którym ją raczył pułkownik.

Weszła do sali pani Rosentalowa. Miała splekane, zaczerwienione oczy, gdyż i ona otrzymała wczoraj wiadomość o śmierci męża. Prowadziła za rękę dwóje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Oboje lubili bardzo Dorotę, toteż od razu podbiegli żeby się z nią przywitać. Uściskała je serdecznie

— Ciekawa jestem — przebiegło jej przez myśl - czy wiadomość o ich ojcu jest też nieprawdziwa? Muszę zapytać Andrę.

W tej chwili podwójne drzwi wejściowe otworzyły się z trzaskiem. W sali zrobiło się nagle cicho. Wszyscy patrzyli w zdumieniu. Do wnętrza weszło pewnym krokiem pięć nieoczekiwanych osób, ubranych w barwne kuwilińskie „pople”, upięte zgrabnie wokół bioder. Na przodzie kroczył rzekomy rozbitek Andra, za nim dwaj nieznajomi, jeden blondyn, drugi o włosach czarnych, spadających na ramiona. Po-

chód zamykali dwaj potężnie zbódowani krajowcy z pistoletami promieniowymi w rękach, którzy ustawili się po obu stronach drzwi w charakterze wartowników.

Trzej pierwsi mężczyźni spokojnie zasiedli do stołu. Andra - rozbitek zajął honorowe miejsce. Skinął z uśmiechem pannie Dorocie, mówiąc po polsku:

— Dzień dobry, jak ci się spało?

Potem uprzejmie odezwał się do Amerykanki.

— Good morning, Miss Mary. Lovely day, isn't it?

Wreszcie rzucił łaskawie "Gut Morgen" wszystkim pozostałym.

Dwaj kelnerzy usłużnie podbiegli do przybyłych nalewając im wenuzjański odpowiednik ziemskiej kawy.

Wśród reszty towarzystwa zapanowała, konsternacja. Jeden z oficerów powstał, lecz nie uczynił nic więcej. Pułkownik poczerwieniał, zbladł, potem znowu poczerwieniał, wreszcie wykrztusił z siebie:

— Was ist das?

— Powiemy mu? — zwrócił się Zbyszek do mnie, to on był owym blondynem.

--- Widział pan pułkownik - przemówił Zby-

szek dobrą niemczyzną, lecz takim tonem jakby tłumaczył coś małemu niepojetnemu dziecku -
Tej nocy zaszły pewne małe zmiany na okręcie.

Jeśli pan zechce wyrzeć przez okno, zobaczy pan na przykład, że flaga niemiecka gdzieś znikła, a na jej miejsce pojawiła się biało-czerwona. Może też pana zaciekawi, że pańscy żołnierze zmienili status prawny. Jadą dalej do Lejli, ale już w charakterze jeńców bez żołdu. Jeśli chodzi o pana samego, to los mu się wyraźnie uśmiechnął: zamiast wałęsać się po dżunglach w poszukiwaniu buntowników, co jest męczące i niezdrowe... otrzyma pan... dłuższy urlop wypoczynkowy... Tak, tak. Ileż to jedna mała nocka może przynieść niespodzianek! Zupełnie jak w bajce... Ale, proszę państwa, proszę jeść, bo śniadanie stygnie.

To mówiąc, włożył do ust smakowity kęs gorącej szynki. Korzystając z tego dorzuciłem:

— Mój przyjaciel zapomniał nas przedstawić. Nasze imiona są: Zbigniew, Kini i Andra; jesteśmy zaś członkami sił powstańczych na wyspie

Leji. W nocy opanowaliśmy okręt. Panowie oficerowie powinni się od tej chwili uważać za jeńców wojennych. Sprawę panów w cywilnych ubraniach jeszcze rozważymy. Natomiast piękne panie będę traktował jako naszych miłych gości.

Pułkownik stał się znowu blady jak ściana. Oficer, który przedtem wstał, usiadł z powrotem. Wszyscy nadal milczeli. Po twarzach widać było, że zupełnie nie wiedzą, co mają czynić, jak się zachować. Ciszę przerwał mały Rosental, który zapytał się swej matki:

— Mamusiu, ten pan nic nie powiedział o mnie, czy ja też jestem jeńiec?

Matka odparła szorstko, żeby był cicho, ale ten wypadek zwrócił moją uwagę na jej zmienioną twarz i napuchłe od płaczu oczy. Kiedy na moje pytanie podała swoje nazwisko, zapewniłem ją, że mąż jej żyje, lecz znajduje się u nas w niewoli. Biedaczka rozpogodziła się od razu i obdarzała mnie wdzięcznym spojrzeniem.

Szczerze się ubawiłem, obserwując od początku naszego wejścia oblicze Doroty. Malowało się na nim najpierw zdumienie, potem złość. Pewnie dlatego, że się jej nie zdradziłem ze swoimi planami. Lecz dość szybko w oczach dziewczyny zapaliły się wesołe błyski, świadczące, że ją całe

wydarzenie rozbawiło i cieszy się szczerze widowiskiem, które urządziliśmy.

— Trzeba ci przyznać, droga Doroto — odezwałem się do nie; — że masz wspaniałą intuicję. Napędziłaś mi diabelnego stracha.

— Jesteś paskudny, żeś nie chciał mi nic powiedzieć — odpowiedziała, marszcząc w zabawny sposób swój zgrabny nosek. — Nie ufałeś mi... ale, ale, przyznaj się, czy ja zemdlałam, czy ty mnie tak urządziłeś? Przypominam sobie w tej chwili, że uczułam jakby ukłucie szpilką...

— Oczywiście, ja. Uczucie kazało ci zaufać, ale rozum wołał choćby przesadzić w ostrożności.

Po skończonym śniadaniu wyprowadziliśmy oficerów i cywilów, a po rewizji, w poszukiwaniu ukrytej broni, zamknęliśmy ich z resztą jeńców na spodzie okrętu. Panie wyszły na pokład. Uwijali się po nim nasi wojownicy, których w liczbie około 40 przywiozła Takila. Pośród tej nowej załogi znajdował się Polak, marynarz; które teraz objął koło sterowe.

Dorota przechyliła się przez burtę i wykrzyknęła zdumiona:

— Takila! Kochana stara Takila! Niejedną podróż na niej odbyłam. To jacht mego stryja

Nary.

— Obecnie należy do mnie — objaśniłem ją.

— Powiedz mi teraz, Andra — zapytała dziewczyna — w jaki sposób opanowaliście okręt? Nie słyszałam żadnej walki... chyba, że zdarzyło się to wtedy, gdy jeszcze byłam nieprzytomna?

— Bohaterem dnia — odpowiedziałem — jest Aba, ten chłopiec, który wraz ze mną udawał rozbitka. Dosypał usypiającego proszku do kolacji i... okręt był nasz. Mnie przypadło tylko zadanie robienia na was dobrego wrażenia, co mi się nie zupełnie udało. Trzeba też było unieszkodliwić kilka osób, które stanęły na przeszkodzie.

— A co będzie teraz? — wypytywała dalej Dorota.

— Nie bądź za ciekawa... Dalsze nasze działania, to tajemnica wojskowa. Wszystkiego się dowiesz w swoim czasie.

Po zmianie wyrazu twarzy i różowym rumieńcu widziałem, że Dorota chce się obrazić, gdy tymczasem coś nowego odwróciło jej uwagę. Po drabince sznurowej poczęła się wspinać na pokład Strzały Magda, chcąc widocznie przeprowadzić inspekcję nocnej zdobyczy.

— Co to za jedna? — zapytała ze zmarszczoną brwią Dorota. — Twoja narzeczona?

— To Magda, żona Zbyszka, bardzo dzielne i dobre stworzenie. Zaraz was zapoznam.

— Nie cierpię dzielnych i dobrych stworzeń — odburknęła niechętnie, ale Magda rozbroiła ją bardzo szybko i już po chwili gawędziły przyjaźnie, przechadzając się po pokładzie.

Do mnie tymczasem podeszła miss Mary. W jej bladoniebieskich oczach wyczytałem podziw, zmieszany z nieśmiałością, czy nawet może obawą.

— Pierwszy raz w życiu — przemówiła — spotykam prawdziwych korsarzy. That's wonderful. Zupełnie jak w kinie. Ale -ty nie każesz kapitanowi iść z zawiązanymi oczami po desce? Prawda? Such a nice man...

— Proszę się nie obawiać. Nikomu nic nie grozi. A dla kapitana okrętu sam żywię wielki szacunek — odpowiedziałem z uprzejmością korsarza-dżentelmena.

Trzeba było wszakże kończyć towarzyskie pogwarki i zabrać się do poważniejszych spraw. Czekало nas przecie nie byle jakie zadanie. Strzała i Takila miały wziąć udział w decydującej rozprawie o Lejlę. Należało zaznajomić się z obsługą dział, których było kilka. Trzeba przyznać Niemcom, że w trudnych warunkach wenu-

zjańskich zdołali już stworzyć zaczątek przemysłu. Szkoda jednak, że skoncentrowali się przede wszystkim na fabrykacji broni. Co za dziwny instynkt podboju w tym narodzie? Na Wenus jest pustych obszarów kolonizacyjnych ile dusza zapagnie. Ludność całej planety, nie wiele co mniejszej od Ziemi wynosi może najwyżej kilkanaście *milionów* głów. Niemcy dostali wielkie tereny, nietknięte stopą ludzką, a już pchają się w cudze.

Coś niecoś znałem się na obsłudze dział. Odkryłem też wkrótce tajemnicę obchodziła się z tymi, które okręt posiadał i udzieliłem odpowiednich pouczeń zaimprovizowanym artylerzystom. Lecz cóż można zrobić w tak krótkim czasie bez żadnej praktyki? Szliśmy więc ku bitwie, jak się to mówi po warszawsku, na wariata, bardziej licząc na wrażenie, jakie zrobimy samym ukazaniem się, niż na skuteczność naszego ognia artyleryjskiego. Na szczęście okręt był wyposażony także w kilka ciężkich karabinów maszynowych, z którymi nasi partyzanci umieli się już nieźle obchodzić.

Obliczałem, że wpłyniemy do portu koło godziny trzeciej po południu. Stosownie do tego ułożył swoje plany Wictor z którym miałem stały

kontakt przez wenuzjańskie radio. Ostatniej nocy założył on swoją główną kwaterę w jednym z domów w mieście. Stolica wyspy od rana tonęła w kwiatach. Ludu zeszło się co niemiara. Przybyli nie tylko Oremangowie, ale i członkowie dwóch innych plemion, biorących udział w sprzysiężeniu. Miasto wypełniło się mężczyznami, kobietami, młodzieżą i dziećmi. Przyjeżdżali na umajonych wozach lub łodziach. Mieli z sobą całe wozy baryłek słodkiego "akuri", rozweselającego napoju, mnóstwo pieczonej zwierzyny, owoców, kwiatów. Między tym wszystkim bez trudu udało się przemycić broń.

Niemcy jednakże nie zupełnie dowierzali tak nagle odmienionemu nastrojowi ludności. Załoga fortu znajdowała się w pełnym pogotowiu. Położona w jego pobliżu dzielnica mieszkaniowa najeźdźczych dygnitarzy była zamknięta dla przybyłych. Koszar, które zresztą likwidowano, gdyż wojsko przenosiło się już do fortu, pilnie strzeżono. Po okolicznych drogach snuły się patrole, złożone z pancerek i wozów bojowych z żołnierzami.

Wszystko to niepokoiło Wiktora. Odbierało szansę zaskoczenia. Obawiał się też, czy sami Niemcy nie przygotowują podstępu. Po znisz-

czeniu instalacji w Kraterze Zygryda nie szukali już co prawda niewolników do budowy „Wieży Babel”, ale mogli ich potrzebować do szybko rozwijających się plantacji orzecha „amru”, który wyjątkowo dobrze udawał się na glebie lejlijskiej. Światło Akaleli mogło się więc zmienić w łapankę na wielką skalę.

Wiktor podzielił się ze mną swymi obawami. Wezwałem do siebie SS-mańskiego pułkownika i usiłowałem się od niego dowiedzieć, czy nie otrzymał jakichś instrukcji w tym względzie. Jasną rzeczą było, że jeśli Niemcy coś przygotowują, to nie rozpoczną akcji przed przybyciem trzystu żołnierzy na Strzale. Pułkownik odmówił wszelkich zeznań, a nie miałem sumienia wymusić ich siłą. Dokładne przejrzanie jego papierów, ponadto wszystkich depesz radiowych, niczego nie dało. Niemcy z Lejli i wysp macierzystych usiłowali gorączkowo nawiązać przerwana w nocy łączność radiową ze Strzałą. Milczeliśmy wszakże jak grób. Uważałem, że to lepsze, niż narażanie się na ewentualne zdemaskowanie.

Koło godziny pierwszej po południu skontaktowałem się znowu z Wiktorem. Dotąd szło wszystko gładko. Wydawało się, jakby Niemcy rozluźnili czujność. Wskutek upału uczestnicy

święta pokryli się w cieniu domów, wozów i drzew. Mnóstwo kąpało się w zatoce. Zabawa miała się rozpocząć na dobre dopiero wtedy gdy się nieco ochłodzi, to jest około czwartej po południu. Wiktor otrzymał poufną wiadomość od swego wywiadu, że władze pozwolą części wojska mieszać się z ludnością. Była to bardzo sprzyjająca okoliczność. Wobec tego ustaliliśmy z Wiktorem, że Strzała i Takila wstrzymają swój bieg i ukażą się w zatoce dopiero koło piątej po południu.

— Ta sama godzina — pomyślałem - co Powstania Warszawskiego. Oby się to wenuzjańskie lepiej powiodło! Daj Boże!

Zbliżała się nieubłaganym krokiem krytyczna godzina. Zza widnokręgu wychyliły się kontury Lejli. Gdy tylko ulokowaliśmy panie na Takili. gdzie towarzyszył im Kini, jacht opuścił się pod wodę. Stałem na mostku kapitańskim z lornetką przy oczach, ale nie wzrok, lecz słuch przyniósł mi pierwszą wieść o tym, że w stolicy nie wszystko rozwija się według naszych planów. Poprzez wodną przestrzeń szedł ku nam grzmot dalekiego ognia działowego. Walka w Lejli rozpoczęła idę przedwcześnie!

Gorączkowo chwyciłem za aparacik radiowy,

by się połączyć z Wiktorem. Zamiast niego usłyszałem Zbyszka, mówiącego z Takili:

— I ja już od paru minut usiłuję nawiązać kontakt z Wiktorem i nie mogę. Coś się tam stało.

— Nie wiem, czy słyszysz coś pod wodą — odpowiedziałem — ale do nas dochodzą wyraźnie odgłosy walki. Pędź szybko naprzód! Postaraj się zorientować, jak sytuacja wygląda i daj mi znów znać. My jedziemy za wami, co siły w motorach.

Sunęliśmy szybko naprzód. Z dala dochodził coraz wyraźniej już nie tylko huk dział, ale i grzechot broni maszynowej i ręcznej. Nad miastem tu i tam snuły się dymy.

Nareszcie w aparacie radiowym odezwał się Wiktor. Mówił głosem zdyszczanym i drżącym z podniecenia:

— Halo, Andrzej i Zbyszek. Zjawiajcie się jak najszybciej. Zaczęło się za wcześnie, żołnierze przyszli się bawić. Najprzód wszystko szło dobrze, potem wybuchła awantura i strzelanina... trzeba było rozpocząć. Ale i tak: poszło nam nieźle: zdobyliśmy koszary. Niemcy siedzą jeszcze dość mocno w domach w pobliżu fortu i w kilku rozrzuconych punktach miasta, ale ich

tam wykańczamy karapą, którą zarekwirowałem Oremangom. Fortu jednak nie da się ruszyć bez was. Dzieli go od miasta pusta przestrzeń. Nikt tamtędy nie przejdzie żywy pod ogniem. Musicie nam dać osłonę artyleryjską... Aha, byłbym zapomniał. Te dwa statki w porcie są już nasze, więc się o nie nie kłopotcie... Cześć na razie...

Nasi marynarze na Strzale poprzebierali się w niemieckie mundury. Także niemiecka flaga powiewała zwodniczo z masztu. Dopiero w ostatniej chwili miała się załoga fortu dowiedzieć, z kim ma naprawdę do czynienia. W pierwotnym planie liczyliśmy na to, że gubernator i wojsko będą nas uroczyście witać na molu portowym. Zaskoczenie wtedy byłoby zupełne. Zdołalibyśmy wziąć do niewoli od razu całą starszysnę, jak to się udało w Kraterze Zygfyryda. Teraz to wszystko wzięło w łeb.

Wjeżdżaliśmy do zatoki. Z fortu, na widok rzekomej odsieczy, machano do nas radośnie czapkami i chusteczkami. Wobec zerwanej łączności radiowej podano nam rozkazy chorągiewkami sygnałowymi. Dowódca nieprzyjacielski życzył sobie, byśmy przybili do brzegu, pod osłoną dział przeprowadzili desant i natarli na miasto.

Artyleria z fortu waliła z dużą siłą przede wszystkim w domy najbliższe twierdzy. Przeszły już one w ręce powstańców i stanowiły teraz ich naturalną podstawę wyjściową co ostatecznego natarcia. Nasi odpowiadali stamtąd ogniem karabinowym i maszynowym. Bitwa o Lejlę weszła w stan impasu. Niemcy byli za słabi, by ważyć się na odebranie z powrotem miasta. Powstańcy zaś nie chcieli się narażać na pewne zdziesiątkowanie przy bezpośrednim ataku poprzez pusty plac. dzielący fort od najbliższych budynków. Dopiero nasze działa miały ich wesprzeć.

Oddaliśmy pierwszą salwę z odległości trzystu metrów od fortu. Flaga niemiecka zjechała w dół z masztu okrętowego, na jej miejsce pojawiły się biało-czerwone kolory. Żałowaliśmy, że nie możemy obserwować z bliska niewątpliwej konsternacji przeciwnika, wobec tak niespodziewanego obrotu sprawy. Miałem w duszy mile łechcące uczucie tryumfu, które wszakże bardzo szybko musiało ustąpić miejsca zawstydzeniu. Bo co się okazało? Nasze pociski albo przenośliły, albo uderzały w skałę z wielkim hukiem i dymem, ale bez szkody dla wroga. Następna salwa nie była o wiele skuteczniejsza: zaledwie jeden pocisk trafił w dach domu, wystającego spoza

świeżo wzniesionej palisady.

— Do ciężkiej grypy! — zaryczał w aparacie radiowym głos Wiktora — czy nie możecie lepiej strzelać?

— Przyjdź tu i sam pokaż, co umiesz! — odciąłem się zdenerwowany. — Nie kończyłem podchorążówki artylerii, a oni... dobrze, że w ogóle wiedzą, którą stroną się strzela. Ale — dodałem tonem pojednawczym — nie martw się. wprawimy się za chwilę. Amunicji na okręcie jest dość... Aller Anfang ist schwer (każdy początek jest trudny).

Tymczasem Niemcy ochłonęli już z pierwszego zdziwienia. Widząc, że ich okręt wojenny jakimś niezrozumiałym sposobem znalazł się w rękach powstańczych, plunęli po nim ogniem z ciężkich karabinów maszynowych. Pierwsze serie poszły po wodzie, następne siekły już pokład maszty i burtę. Na szczęście nasze działa i karabiny maszynowe posiadały osłony ze stalowych tarcz, inaczej wytłukli by nas jak kaczki. A i tak mieliśmy już jednego zabitego i dwóch rannych.

— Jak oni przetaszczą parę armat na naszą stronę i łupną w nas. — 89omyślałem z niepokojem — to dopiero dadzą nam po krzyżach. Będą z

nas rybki miały pociechę.

Ogień przeciwnika utrudniał nam obsługę dział i celowanie. Mimo to strzelaliśmy dalej z zapalem, skutek jednak znikomy. Co najwyżej szczerbiliśmy dziury w palisadzie. Najważniejsza jednak linia obronna przeciwnika od strony miasta była nieosiągalna dla naszego wzroku. Zaslaniał ją bowiem zrąb skały wznoszącej się wyżej od nas.

Dlatego i Takila choć sekundowała nam dzielnie, a strzelała celniej od nas, nie wiele mogła się przyczynić do rozstrzygnięcia losów walki.

Jej promieniowe działko niszczyło co prawda palisadę, kruszyło skałę, dziurawiło domy, zlikwidowało już dwa gniazda c.k.m.-ów, ale do głównej linii też nie mogło dosięgnąć. Dopiero teraz zorientowałem się, że powinniśmy się raczej oddalić na większą odległość i wyrzucać pociski torem parabolicznym. Lecz, żeby strzelać celnie w ten sposób, trzeba było mieć dobrą szkołę artyleryjską za sobą. Wachalem się właśnie, co mam robić, gdy spostrzegłem, że Takila zanurzyła się pod wodę. W tej samej chwili w aparaciku radiowym zamieszonym na szyi, usłyszałem sygnał. To Wiktor chciał ze mną

mówić.

— Tu Andrzej, słucham — odezwałem się.

— Z tej waszej pomocy ogniowej nie ma wielkiego pożytku — powiedział z goryczą - to tylko marnowanie prochu. Widzę że już dzisiaj nie zdobędziemy fortu. Wycofaj się z zasięgu ich ognia. W nocy porobimy specjalne katapulty do wyrzucania karapy, bo strzały z łuków nie donoszą, zresztą i wiatr nie jest sprzyjający. Jak katapulty będą gotowe, to jutro przypuścimy znowu atak z lądu i od morza.

Ja jednak nie chciałem dać za wygraną. Odpowiedziałem:

— Pozwól Wiktorze, że jeszcze spróbuję z odległości ogniem przenośnym. Ty z miasta nim pokierujesz. Strzelając bezpośrednio nie możemy nic zrobić, bo nam skała zasłania cel.

— Czuję, że od tego waszego przenośnego ognia więcej my oberwiemy niż Niemcy... ale dobrze. Spróbuj. Tylko się pośpiesz, bo wkrótce słońce zajdzie i po ciemku już nigdzie nie trafisz.

Zaterkotały turbiny i Strzała wykonawszy 180 stopni obrotu skierowała się pospiesznie na pełne morze, ścigana ogniem z fortu.

--- Gdzie wy uciekacie? - zabrzmiał w apa-

racie radiowym głos Zbyszka.

--- Nie uciekamy, lecz będziemy strzelać ogniem przenośnym. Co wam się stało? Po coście się zanurzyli?

— Nam? Nic się nie stało. Poczekaj na razie z tym swoim ogniem przenośnym, czy jak go tam, bo my wam zaraz damy widowisko, jakiegoście dotąd nie widzieli. Jeśli się uda...

Nie chciał nic więcej powiedzieć. Wzruszyłem ramionami. Lubiłem bardzo i ceniłem Zbyszka, ale nie dowierzałem genialności jego pomysłów. Cóż nadzwyczajnego może dziać? Sunęliśmy dalej ku morzu

W aparacie usłyszałem znowu głos Zbigniewa, lecz tym razem przeznaczony dla Wiktora:

— Przygotuj swoich ludzi do natarcia za jakieś pół godziny, trzy kwadranse najwyżej...

— Zwariowałaś? Co wy tam szykujecie pod wodą? — padła niecierpliwa odpowiedź. - Ja w każdym chwili jestem gotowy do natarcia, tylko ta andrzejowa artyleria do kitu...Z bliska nie mógł trafić, a teraz myśli, że z daleka da radę... A co ty, masz nadzwyczajny pomysł?

— Poczekaj cierpliwie. Zobaczysz. Andrzejowi też powiedziałem by się wstrzymał z marnowaniem prochu.

Zacisnąłem usta. Byłem zawstydzony i zły, lecz cóż — nie każdy rodzi się od razu artylerzystą.

Okręt pruł dalej fale. Złota plama słoneczna poczerwieniała i chyliła się ku szybkiemu zachodowi. Płonęło niebo iście królewską purpurą, barwiąc kolorem krwi morze, ląd, okręt, a nawet nasze ciała. Takiego zjawiska nigdy nie oglądałem na Ziemi. Wszystko zdawało się obracać w czerwień. Cała przyroda stonowała się z walczącym i przelewającym krew człowiekiem.

Ścigający nas ogień nieprzyjacielski urwał się. Zamiast pocisków pluskały teraz w wodzie wielkie złote ryby zwane "kola". Trzeba było wstrzymać bieg okrętu. Podnieśliśmy w górę lufy naszych dział i czekaliśmy. Zdawałem sobie jednak sprawę, że jest już właściwie za późno na jakąkolwiek akcję. Mijały minuty, kwadransy. Takila nie dawała znaku życia mimo niecierpliwych nawoływań moich i Wiktora. Słońce skryło się za widnokrąg. Ognista purpura przeszła w fiolet, gasła. Szybko zapadały ciemności, rozdzierane co chwila wypuszczanymi z fortu rakietami. Palba armatnia ucichła zupełnie, z rzadka odzywała się tylko broń maszynowa i ręczna.

U prawej burty Strzały zabulgotała woda. Takila wypłynęła na powierzchnię. Wybiegli na pokład Kini i Dorota, mokrzy od wody; najwidoczniej nurkowali, ale. gdzie i po co? Ukazał się też Aba. Kini krzyknął ku nam:

— Uważajcie na fort!

Nad niemiecką redutą zgasła właśnie rakietą, pogrążając wszystko w ciemnościach. Nie miały one trwać długo. Oślepiło nas nagle przeraźliwie białe, jaskrawe światło, rozchodzące się kolistnie z miejsca, gdzie leżał fort. Zabłysło i zgasło. W parę sekund później potężny grzmot wybuchu targnął powietrzem, a po nim wysoka fala uderzyła z impetem w bok statku.

--- Wiktor, atakuj! - zawołał Zbyszek przez radio.

Chwila ciszy, potem odezwał się nieco drżący głos Wiktora:

— Kiedy nie ma już co atakować. Co to było?

Kilka rakiet poszło w górę z miasta. W ich świetle zobaczyliśmy, że fort i wrzynająca się w morze skała, na której leżał, przestały istnieć.

Jedynym po nich śladem był wielki tuman kurzu, sypiący się na miasto i wodę.

Wkrótce cała Lejla rozbłysła światłami, zapłonęły ogniska na ulicach. Z domów wyległ

thum upojony zwycięstwem, śpiewający, wznoszący radosne okrzyki. Nikt by nie uwierzył, że na ulicach pełnych teraz życia i wesołego rozgwaru, jeszcze niedawno rozrywały się pociski armatnie, świstały złowrogie kule, czaiła się śmierć.

Podpłynęliśmy pod moło. Zamiast i wyjść na brzeg, zsunałem się na pokład Takili, która zatrzymała się tuż przy nas. Z jej wieżyczki wyglądała rozradowana głowa Zbyszka.

— Gratuluje! — krzyknąłem. — Nie podejrzewałem cię o taki geniusz wojenny. Jakieście to zrobili ?

— Słusznie, że nie podejrzewałeś, bo to nie moja zasługa. Gdzie diabeł nie może, tam... wiesz jak już jest dalej. To był pomysł tej twojej Doroty, żeby podłożyć minę pod skałę.

Dorota stała tuż obok mnie na pokładzie z mokrą, jeszcze głową i wilgotnymi kosmykami włosów, wpadającymi do oczu. Zamiast stroju europejskiego miała na sobie kostium kąpielowy zaimprovizowany sprytnie z dwu popli. Twarz jej rozjaśniał uśmiech półtryumfujący pół smętny.

— Nie ufałeś mi — powiedziała zaczepnie - a tymczasem co byście zrobili bez Dорти? Musielibyście zębami gryźć tę skałę, a tak: bum... i po

wszystkim. Choć trochę mi żal tych, co zginęli... toć to ludzie... ale nie było innego wyjścia.

Powstrzymałem się w porę, żeby jej nie powiedzieć, że owszem, było inne wyjście: Wiktor zamierzał nazajutrz użyć usypiającej karapy. Można było zaoszczędzić życia ludzkiego, a i fort by się nam przydał. Lecz po co w dziewczynie budzić niewczesne wyrzuty sumienia? Zapytałem więc tylko o przebieg akcji. Odpowiedział Zbyszek:

— Dorota chciała koniecznie przyglądać się bitwie i usadowiła się w wieżycze razem z nami. W pewnej chwili zapytała; czy nie ma na Takili min. Przypomniałem sobie, że, są. Pamiętasz? W ostatniej chwili, gdy odjeżdżaliśmy z Kamiru, Nara kazał włożyć do Takili paczkę takich małych, metalowych pajaków. Powiedział, że są to miny i że przy okazji nauczy nas, jak się z nimi obchodzić. Nigdy się ta okazja nie zdarzyła. Dorota i Kini założyli maski nurkowe, wzięli lampę i minę i popłynęli ku skale...

— Znaleźliśmy w niej — wtrącił Kini — głębokie pęknięcie podwodne i tam Dorti założyła minę.

— Co za siła niszczycielska w takim małym urządzeniu! — podziwiałem. — Dobrze, że całe

miasto nie wyleciało w powietrze.

— Nie było obawy — odpowiedziała dziewczyna. — Zasięg działania miny można dowolnie regulować. Siła zniszczenia jest rzeczywiście straszliwa; cokolwiek znajdzie się w promieniu jej działania, ulega zniweczeniu, obraca się w proch.

— A więc brawo, Dorti! — pogratulowałem. — Stałaś się bohaterka dnia i przejdziesz do historii Lejli...

— Zaraz, zaraz — zawołał Zbyszek. — Pamiętaj, że i moja zasługa jest niepoślednia. Po pierwsze, uznałem właściwość pomysłu Doroty, na co nie każdy dowódca by się zdobył, jako że przełożeni zwykle tylko plody własnego mózgu uważają, za warte uwagi; po drugie, to ja wysadziłem skałę w powietrze przez naciśnięcie guziczka. Jeśli nie „Virtuti“, to w każdym razie należy mi się „Krzyż zasługi z mieczami“. A teraz niech, tapanna z mokrą głową przebierze się w coś suchego i Kini też i chodźmy świętować zwycięstwo!

Jakoś mi się nie bardzo zbierało na owo świętowanie. to też łatwo uległem prośbie Doroty, która chciała ze mną porozmawiać. Pozostaliśmy na Takili i usiedliśmy w wieżyczce, skąd

debrze było widać miasto, obchodzące swój tryumf.

— Andra — odezwała się dziewczyna. Na jej zwykle dumnej twarzyczce malowało się teraz niepewność i obawa. — Powiedz mi wszystko, co wiesz o moim ojcu!

Powiedziałem, nie ukrywając niczego. Słuchała ze spuszczonej oczami. Twarz jej pobladła i przygasła.

Gdy skończyłem, milczała drugo. Wreszcie odezwała się zmęczonym głosem:

— Więc mój ojciec zdradził... swój ród i swą planetę... wolałabym chyba, żeby nie żył... Skrzywdzili go, to prawda, ale... — tu głos jej się załamał. Nie mogła powiedzieć nic więcej.

Rozumiałem, co się musi dziać w jej duszy. Z uprzednich rozmów jasno wynikało, jak bardzo kocha ojca i jak jest z niego dumna. Lecz zarazem, mimo obecności obcej krwi w swoich żyłach, a może właśnie dlatego, z takim naciskiem podkreślała swoją „wenuzjańskość“. Teraz przywiązanie do ojca i patriotyzm stanęły przeciw sobie w tragicznym konflikcie.

Ująłem ją za rękę:

— Słuchaj, Dорти! Zdrada to jest straszne słowo i lepiej go nie wypowiadać zbyt pochopnie

Twój ojciec na pewno chciał wziąć odwet za prawdziwą, czy rzekomą krzywdę, jednakże Kobra mówił mi. — po zbadaniu uczonych, wziętych do niewoli — że Kobra nie zdradził właściwie żadnej ważnej tajemnicy wenuzjanskiej. Zamawiał aparaty, kierował konstrukcją wieży, ale istotę jej działania zatrzymał przy sobie. Stała się tu podobna rzecz, jak z tymi motorami, które przybysze z Ziemi otrzymują z Kamiru: posługują się nimi, ale nie potrafią odgadnąć ich sekretu. Co Kobra zamierzał? Wiele można na ten temat fantazjować, ale z wydaniem ostatecznego sądu powstrzymajmy się do czasu, gdy jego rzeczywiste plany staną się wiadome.

Dorota popatrzyła na mnie z wdzięcznością: — Dziękuję ci za dobre słowo — odparło. — lecz ja już od dawna obawiałam się, że mój ojciec pójdzie zbyt daleko w swym odwecie. Oj, Andra, nienawiść to straszna rzecz, a chyba najbardziej niszczy tego, który nienawidzi. Jak szalenie się mój ojciec zmienił przez te ostatnie lata... Staralem się tego nie dostrzegać, jednak...

Zamyśliła się, porem ciągnęła dalej smutnym głosem:

— Jaki człowiek jest dziwny... Wy tam na Ziemi macie podobno nieraz biedę, warunki ży-

cia są dużo trudniejsze niż tu. Wenus, to raj prawdziwy. Cudna przyroda, żadnym chorób. Możemy używać radości życia, ile dusza zapragnie. A tymczasem to wszystko nie wystarcza. Mojego ojca zżera pragnienie władzy. Wy, przybysze z Ziemi walczycie ze sobą, przelewacie bratnią krew, sięgacie po nieswoje i unieszczęśliwiacie się wzajemnie. Dlaczego? Po co? Na co? Co w człowieku siedzi? Jakaś nienasyconość, niczym nie zaspokojona zachłanność... Nie mogę tego zrozumieć...

— Czy ty, Dorti, jesteś chrześcijanką? — zapytałem.

— Nie. Coś niecoś wiem o waszej wierze, ale tylko od mojej siostry stryjecznej. Leny. Matka moja bowiem była zawsze obojętna religijnie, a więc jest zdecydowanym przeciwnikiem chrześcijaństwa. Mówi, że jest ono dobre dla słabych i cierpiętników... Toteż nie interesowałam się nim bliżej.

— Chrześcijaństwo jest tak samo dobre dla słabych jak i dla tych, co uważają siebie za silnych, a naprawdę są niewolnikami własnych złudzeń... — odpowiedziałem żywo — ale nie chcę teraz podejmować dyskusji z twoim nieobecnym ojcem. Chodzi mi o co innego. Nasza

wiara mówi nam, że Bóg jest miłością i stworzył nas po to, byśmy Go kochali. On Sam włożył w nasze dusze pragnienie Siebie, a ponieważ jest bytem nieskończonym, to pragnienie jest też no miarę nieskończoną. Nic go nie zaspokoi poza Bogiem Samym. I w tym leży tajemnica tego niepokoju tej zachłanności ludzkiego serca, o jakich, mówisz; tajemnica naszych duchowych wzlotów, lecz zarazem i naszej nieprawości. Nie rozumiejąc bowiem, czy może nie chcą zrozumieć istoty tego głodu wewnętrznego, staramy się go przytłumiać bogactwem, władzą, rozkoszą, wygodami, czyli dobrami skończonymi, które wszakże chcielibyśmy czerpać bez granic, niewyczerpanie, więcej i więcej. Tymczasem przesypują się nam one piasek między palcami, pozostawiając w nas jeszcze większą pustkę i udrękę ducha... Przy tym naszym błędem jest nie to, że je sobie cenimy i szukamy. Zdrowie, majątek, dobre imię, miłość innych ludzi są to rzeczy w zasadzie dobre i potrzebne: ale popełniamy tragiczną omyłkę, kiedy chcemy, by nam zastąpiły Boga, kiedy pożądamy ich ponad miarę — szaleńczo i bałwochwalczo...

Urwałem nagle swą tyradę. Czy Dorota umie na tyle po polsku, by mnie zrozumieć? Gzy to

wszystko nie jest dla niej w ogóle za abstrakcyjne, za dalekie? Spojrzałem jej niespokojnie w oczy. Patrzyły na mnie uważniej ze zrozumieniem:

— Coś w tym jest, co mówisz — powiedziała z powagą. — Ja sama czuję często w duszy jakąś dziwną, tęsknotę za czymś, czego nie znam i to nawet wtedy, gdy mam na pozór wszystko, czego pragnę. Może to tęsknota, za tym twoim Bogiem?...

— Nie moim tylko, On jest też przecież tak bardzo twoim — odparłem.

W tej chwili czyjeś stopy zastukały po podkładzie Takili. Wyjrzelśmy z wieżyczki.

— Ej, co wy tam sobie gruchacie we dwójkę po ciemku? W mieście wszyscy domagają się waszego przyjscia. Chcecie, cym sam dźwigał wieniec sławy? Chodźcie, niech i na waszą cześć pokrzyczą trochę. Zasłużyliście sobie.

To pocziwy Wiktor przyszedł po nas. Chcąc nie chcąc trzeba było iść.

ROZDZIAŁ IV

TAJEMNICZE ZNIKNIĘCIE

Minął już przynajmniej tydzień ca pamiętnych wydarzeń w święto Akaleii. Lejlą rządził Wiktor jak udzielny monarcha: organizował administrację, prowadził sprawy „zagraniczne” z Nowym Krakowem i byłymi okupantami wyspy. Ci ostatni musieli uznać swoją klęskę. W naszych rękach znalazł się nie tylko ich największy okręt wojenny, ale przede wszystkim ponad 500 jeńców. Na stosunki ziemskie byłaby to liczba bez znaczenia na Wenus była to już armia. Niemcy nie zdecydowali się na prowadzenie dalszej ryzykownej walki, zrzekli się pretensji do Lejli. wytargowali powrót jeńców, ale z bólem serca musieli pozostawić Strzałę przy Wiktorze.

Armia partyzancka rozeszła się do domów. Do Lejli powrócił ojciec Piotr i objął z powrotem w swe posiadanie kościół, przerobiony z dawnej

świątyni słońca. Dopomagały mu urządzić się na nowo Magda, Imla, Mary i Dorota. Córka Kobry zachwycona była ojcem Piotrem. Prowadziła z nim długie, tajemnicze rozmowy, po których znikła z jej oblicza dawna wyniosłość, pojawił się zaś łagodny uśmiech i częste zamyślenie.

Paciorek, który po zabiegach Nary nadzwyczaj szybko wydobrzeł, miał powierzone sobie sprawy jenieckie i dzielnie się z nich wywiązał. Mimo radości ze zwycięskiego zakończenia walk po jego piegowatej twarzy wałęsał się najczęściej smutek. Póki był chory, Imla opiekowała się nim z serdecznym oddaniem, a on czuł się jak w siódmym niebie. Kiedy wyzdrowiał, śliczna dziewczyna na nowo nie chciała ani spojrzeć na niego, unikała go. Nic więc dziwnego; że zakochany chłopak chodził jak struty i nie spał po nocach.

Ja pomagałem Wiktorowi w rozlicznych zajęciach. Miałem pracy po uszy, ale wykorzystywałem każdy pretekst, żeby wpaść do ojca Piotra, a to nie tyle dla niego, co dla Doroty. Zwykle, niestety, nie wiele słów mogłem z nią zamienić, bo zamiast zjawia się przede mną jak spod ziemi wyrosła, Mary, uszczęśliwiona, że ma z kim porozmawiać po angielsku. Z ulgą przywitałem

dzień, gdy wreszcie przybył po nią żaglowcem jej brat. Nie byłem przy jej odjeździe, bo musiałem właśnie udać się w głąb wyspy. Po powrocie wręczył mi ojciec Piotr długi list. w którym bostnianka dziękowała, że byłem taki „very nice” dla niej i zapraszała, bym ją koniecznie kiedyś odwiedził.

— Andrzejku — powiedział ojciec Piotr z udaną powagą — złamałeś serce biednej "Miss". Była niepokieszona, że jej korsarza-dżentelmena nie było przy odjeździe. W ogóle wydało mi się, że chętnie by tu została na stałe.

Staliśmy przed kościołem - ogromną budowlą w kształcie równoramiennego krzyża. Z jej środka wyrastała wielka kopuła z otworem na szczycie. Kiedyś mieściła się tam wielka soczewka do palenia ofiar, teraz zastąpiono ją barwnym szkłem. Dziewczęta pracowały wewnątrz kościoła, przystrajając ołtarz na jutrzejszą niedzielę. W trakcie rozmowy zerkałem raz po raz na obszerne, półkoliste wejście z nadzieją, że ukaże się w nich Dorota. Dostrzegł moje spojrzenie ojciec Piotr i przyglądał mi się badawczo. Poczulem, że się rumienię.

— Pewnie chcesz porozmawiać z Dorotą. Zaraz ją wywołam — ofiarował się usłudźnie.

— Drogi ojcze, — westchnąłem — czemu jestem taki... taki... no, jakby to nazwać... "zakochliwy"? Opowiadałem ojcu o Lenie. Potem ledwo ona znikła z horyzontu, zaraz Imla poczęła na mnie robić wrażenie, lubiłem na nią patrzeć, rozmawiać, złościło mnie, że Paciorek ją adoruje. A teraz znowu Dorota. Już czują, że mi serce topnieje... Może jeszcze nie zakochałem się tak po uszy, ale... ojciec chyba wie, jak to jest?

— Mój kochany - odparł ksiądz z pobłażliwym uśmiechem na brodatym obliczu — to co odczuwasz jest rzeczą naturalną. Nie ma w tym nic zdrożnego, że każda ładniutka, a przy tym i zacna dziewczyna ci się podoba. Jest to instynkt, który sam Bóg włożył w nasze męskie serca. Ale dał nam też rozum, byśmy nad tym instynktem panowali. Staraj się swoje uczucia trzymać mocno na wodzy, żeby wielkiego kapitału miłości nie rozmienić na drobną monetę, nie roztrwonić na przelotne miłości. Kiedy dojdiesz do przekonania, że ta a nie inna jest dziewczyną dla ciebie, wtedy kochaj ją ze wszystkich sił. Lecz póki nie masz tej pewności, trzymaj się mocno w garści.

Zastanawiałem się, co odpowiedzieć, gdy właśnie na srebrno-zielonkawym niebie wcze-

snego popołudnia ukazał się lśniący dysk. Był to Nara. Już dawno zawiadomiłem go s przebiegu ostatnich wypadków, ale był zbyt zajęty, by przybyć wcześniej. Wylądował na placyku przed kościołem, niewątpliwie odkrywwszy swym szóstym zmysłem, że się tu znajdujemy. Przedstawiłem go ojcu Piotrowi. Uścisnęli sobie ręce.

— Czy mógłbym się widzieć z moją bratanicą? — zapytał.

— Jest w kościele — odpowiedział ojciec Piotr — ubiera ołtarz z innymi moimi dzielnymi pomocnikami, Może wejdziemy pomodlić się na chwileczkę i zaraz potem ją wywołam.

Ogarnął nas półmrok świątyni. Była to starożytna, potężna budowla, która szczęśliwym trafem przetrwała różne katastrofy. Gdy dwieście lat temu dawni Wenuzjanie powrócili na swą planetę, odnowili ją starannie i dotąd jeszcze zachowała się w doskonałym stanie, ściany pokrywały koronkowe ornamenty, misternie wykonane w kamieniu, oraz płaskorzeźby. Treść ich, choć niezrozumiała dla współczesnych, nie raziła niczym, co dostojęństwu katolickiej świątyni. Zresztą ojciec Piotr, hojnie obdarzony żywą wyobraźnią, podorabiał chrześcijańską interpretację wielu scenom. Pośród dawnego chramu

wznosił się duży ołtarz ofiarniczy. Ku niemu zbiegały się z czterech stron świata obszerne nawy s osobnymi wejściami. Jedną z nich przedzielała w połowie kamienna ażurowa ściana. Za nią to przygotowywali się ongiś kapłani do sprawowania obrzędów. Dziś też mieściła się tam zakrystia. Przy tej ścianie ojciec Piotr ustawił ołtarz Matki Boskiej Jasnogórskiej, której obraz właśnie kilka dni temu powrócił w tryumfie z bagnistej dżungli. W tej chwili dziewczęta uwijały się żwawo wokół przybytku czarnolicej Panienki, mając go wspaniałymi okazami flory wenuzjańskiej.

Modliliśmy się przez chwilę. Zerknąłem dyskretnie na Narę. Ten człowiek umiał się modlić. Przymknął oczy, a twarz jego zastygła w skupieniu.

Przywitanie Doroty z Narą było serdeczne, ale od razu zauważyłem, że starzec nie darzy swej bratanicy tak gorącym uczuciem, jakie żywił dla Leny. Przeszliśmy do plebanii. Nara zabrał Dorotę do osobnego pokoju na rozmowę w cztery oczy. Ja tymczasem gawędziłem z ojcem Piotrem w przyległym saloniku.

W dwadzieścia minut później Nara ukazał się we drzwiach. Miał minę niepewną; skinął na

mnie:

— Idź tam do niej i uspokój ją. Ja się nie nadaję do osuszania łez.

Dlaczego ja się miałem nadawać? Zerwałem się jednak z krzesła i poszedłem do Doroty. Siedziała w wygodnym fotelu. Miała zaczerwienione oczy i ślady łez na policzkach, ale widać było, że stara się opanować.

— Co się stało? — spytałem. — Czemu płaczesz?

Usiadłem naprzeciw niej na krześle.

— Nie cierpię Nary — wybuchnęła: na twarzy jej znowu pojawił się wyraz ostry i wyniosły. — Niech on mego ojca zestawi w spokoju... Do pięć mu nie dorósł i teraz prześladowuje go przez zazdrość. Ojciec popełnił rzecz złą, ale teraz go nie ma. Tuła się pewnie gdzieś po dżungli i nikomu więcej zaszkodzić nie może. A ten go za wszelką cenę chce odszukać i wsadzić do więzienia. Nie doczekanie jego... I chce, żebym mu w tym pomogła... Domyślam się, gdzie się ewentualnie mógł udać, lecz nie zdradzę. Ślepił się Kara na mnie swoimi sowimi oczyma i chciał czytać w mojej myśli. Nic nie wyczytał. Moi ojciec już dawno mnie nauczył, jak się bronić przed tym...

— Ależ, Dорти, — przerwałem ten potok

słów.— Wydaje mi się, że jesteś niesprawiedliwa dla swego stryja. Ja odnoszę wrażenie, że bardzo kocha twego ojca i chce jego dobra...

— Niech on mego ojca zostawi w pokoju — z uporem powtórzyła Dorota. — Jak go będzie ścigać, to on się tylko bardziej zatnie w sobie. Niech wszystko pozostawi mnie. Ja... ja... — twarz jej nagle zmiękła w wyrazie i rozjaśniła się — ja się modłę za mego ojca i przyjmę chrzest. A ojciec Piotr mówi, że jak się Boga prosi z wiarą i ufnością, to On niczego nie odmówi... I ja wierzę, z całej siły wierzę... — mówiąc to zacisnęła dłonie i wstrząsnęła nimi, jakby tym ruchem chciała dodać siły swej niedawno zdobytej wierze. W jej oczach znowu ukazały się łzy.

Byłem zaskoczony jej słowami. Ważyłem w myśli, co powiedzieć. Dorota milczała, także.

Wtem jej śniada twarz dziwnie pobladła. Przemknął się po niej wyraz zdumienia i przestraszu. Rękami kurczowo chwyciła za poręcze fotela.

— Coś niesamowitego się ze mną dzieje — wyszeptała.

Zerwałem się z krzesła.

— Słabo ci? Może przynieść wody?

Patrzyłem zdrętwiały na niezwykle zjawisko,

które nastąpiło przede mną. Poprzez ciało Doroty widziałem już fotel. Dziewczyna stawała się przezroczystą mgłą.

— Ratuj mnie, Andra! Zapadam się gdzieś! — dobiegły mych uszu ledwo dosłyszalne słowa.

Rzuciłem się naprzód, by uchwycić znikające ręce. W moich dłoniach została tylko jej złota bransoletka. Doroty już nie było...

Stałem przez chwilę drżący i oniemiały, po czym jak szalony wybiegłem do sąsiedniego pokoju, gdzie rozmawiali ojciec Piotr i Nara.

— Dorota... Dorota... — ledwo wykrztusiłem z siebie — zniknęła. Rozmawiałem z nią i nagle rozviała się w przestrzeń... Nie ma jej.

Ojciec Piotr patrzył na mnie jakbym utracił rozum, natomiast Nara wyrzekł z całym spokojem:

— To na pewno Kobra spowodował jaj porwanie. Ale jak? On sam nie mógłby tego dokonać. Potrzeba całego grona specjalnie wyćwiczonych ludzi.

— To przecież niemożliwe! —wykrzyknąłem.

— Jeśli niemożliwe, to gdzie się Dorte podziała? — odpowiedział z przekąsem.

Poprzez ciało Doroty widziałem już fotel. Dziewczyna stawała się przezroczystą mgłą.

— Wobec tego należałoby się raczej spytać: jak to możliwe? — zabrał głos ojciec Piotr. — Jur nieraz na Wenus słyszałem opowiadania o zjawiskach psychokinezy *), które tu zachodzą, ale przyznam, że gdybym nie widział tal: przerażonej i zbielełej twarzy Andrzeja, nie uwierzyłbym. Chyba nie grasz komedii? — zwrócił się do mnie z podejrzliwością w głosie.

Wzruszyłem tylko niezbyt grzecznie ramionami. Nie czułem się na siłach, by dać słowną odpowiedź.

**) Psychokinesis: poruszanie przedmiotów za pomocą myśli.*



Poprzez ciało Doroty widziałem już fotel. Dziewczyna stawała się przezroczystą mgłą.

Przeszliśmy do sąsiedniego pokoju, z którego zniknęła dziewczyna. Był pusty. Ojciec Piotr, niewierny Tomasz, zaglądał we wszystkie kąty. Okien w pokoju nie było, tylko jedna przezroczy-sta ściana. Jedyne drzwi prowadziły do saloniku z którego przyszliśmy. Musiał uznać, że wszelka "komedia", jak to nazywał, była wykluczona.

Zwróciłem się do Nary:

--- W jaki sposób więc to zniknięcie mogło nastąpić?

— Samej istoty zjawiska jeszcze nie znamy dobrze — odparł. — Jest jednak faktem, że skoncentrowana myśl ludzka posiada ogromny wpływ na materię; potrafi ją nawet poruszać...

— Na Ziemi — przerwałem mu — podobno jogowie hinduscy i mnisi tybetańscy posiadają tego rodzaju zdolności psychiczne...

— Nie wiem, jakie osiągnięcia macie w tej dziedzinie na Ziemi — ciągnął dalej Nara — ale my w Kamiru posiadamy specjalną szkołę rozwijania wyższych władz psychicznych. Uczniowie zapoznają się tam ze zjawiskami pozazmysłowymi i uczą się z nich korzystać. Uczęszczałem do niej kilka lat, dzięki czemu nauczyłem się czytać w myślach, czasem też udaje mi się wi-

dzieć na odległość. Byłem, świadkiem udanych eksperymentów przenoszenia przedmiotów, a nawet ludzi na znaczne przestrzenie. Nasze doświadczenia wszakże traktujemy jako wiedzę tajemną i nie udostępniamy jej ogółowi. Zbyt ryzykowne... Kobra był przez pewien czas w tej szkole, ale posiadał za mało cierpliwości do mozolnych ćwiczeń i nie rozwinął w sobie prawie żadnych niezwykłych zdolności. Nie on sam więc porwał Dorti. Ale kto? Kierownik szkoły, stary Jurbu, czuł zawsze do mero brata dużą słabość, lecz na pewno w obecnej sytuacji nie zechciałby z nim współdziałać.

— Oddanie córki ojcu, choćby on sam nie przedstawiał wielkich wartości moralnych — zauważył ojciec Piotr — jest w zasadzie dobrą rzeczą, ów Jarb mógł mu w tym dopomóc.

— To racja — przyznał Nara — Lecz czyżby Kobra odważył się udać do Kamiru? Zresztą nie ma co się zastanawiać, trzeba sprawdzić na miejscu. Siadaj, Andra, ze mną do wany i jedziemy!

Mimo zaaferowania niezwykłym, wydarzeniem przyszło mi na myśl, że dobrze byłoby zabrać do Kamiru Kiniego, Imlę i Abę. Niech, poznają trochę szerokiego świata. Kara zgodził się

łatwo.

Gdy dolatywaliśmy do stolicy, Nara polecił mi założyć niewidzialniający pas i hełm, które miał w wanie.

— Postaram się długo rozmawiać z Jarbu — powiedział — a ty przez ten czas przeszukaj wszystkie sale i pokoje.

Wylądowaliśmy nie w mieście, ale na płaskim występie skalnym po zewnętrznej ścianie krateru. Na samej krawędzi, chronionej niską balustradą, siedział w kucki młody człowiek o wygolonej głowie. Na nasz widok ani drgnął. Zdawał się być marmurową, figurą, wpatrzoną w morską dal. Gdy wysiedliśmy z wany, ciekawy Aba podszedł do siedzącego i pozdrowił go grzecznym „vajni“. Ten nie odpowiedział, ani nie obejrzał się. Wtedy Aba, już mniej grzecznie, przesunął mu ręką przed oczami — żadnego skutku.

— To jeden z uczniów tutejszej szkoły — objaśnił Nara. — ćwiczy się w koncentracji. Zostaw go w spokoju, bo ci zrobi jaki kawał.

Ledwo skończył swoje ostrzeżenie. Aba, który z kolei próbował połaskotać siedzącego w piętę, wyleciał w powietrze rzucony niewidzialną siłą i upadł u naszych stóp. Na szczęście nie doznał

żadnej krzywdy.

— A nie mówiłem? — zawołał ubawiony Nara.

W tej chwili z obszernego otworu, prowadzącego w głąb skały, wychyliła się ciekawa postać. Zbliżał się ku nam starzec o niezwykle wysokim wzroście. Przystrzyżone na jeża białe włosy, wąski garbaty nos i ascetyczne usta nadawały twarzy wyraz surowości, łagodziły jednak wraże nie szare, inteligentne oczy patrzące dobrotliwie. Gładka fioletowa szata bez pasa zdawała się go jeszcze wydłużać. Z nadmiernie cienkiej szyi zwieszał się złoty łańcuch z emblematem potrójnych oczu.

Na widok nowoprzybyłego Nara żywo postąpił ku niemu. Towarzyszyłem mu niewidzialnie.

— Vajni Jarbu — pozdrowił starca mój nieco mniej sędziwy szef. — Przybyłem tu...

Jarbu przerwał mu ledwo dostrzegalnym puchem kształtnej ręki.

— Tyle czasu spędziłeś ze mną — przemówił — i nie wiesz, że widzę rzeczy niedostępne zmysłom?

Poczułem jego wzrok na mojej twarzy.

— Możesz się uwidzialnić, młody człowieku.

Posłuchałem. Nara pokraśniał jak żak, złapano na psocie. Wymamrotał słowa przeprosin.

— Nie myśmy porwali twoją bratanicę — mówił dalej jasnowidz. — Możesz być tego pewny.

— Więc gdzież ona jest? — zapytał nieśmiało Nara.

— Macie może coś, co do niej należało?

Podąłem złotą bransoletę Doroty. Wziął ją w obie ręce. Przymknął oczy. Twarz jego przybrała wyraz wielkiego wysiłku. Żyły na czole nabrzmiały. Pokazały się kropelki potu. Trwał tak kilka minut. Wreszcie otworzył bezradnie ręce.

— Nie, nie mogę — powiedział cicho. — Ten kto ją porwał, wie też, jak ją bronić przed moim wejrzeniem.

— Któż to może być?

Jarbu zastanawiał się chwilę.

— Słyszałeś na pewno — zwrócił się do Nary — o amgach z Ava-Divu. Poza nami chyba oni jedni mogli to uczynić.

— Mają rodzaj wyspy-klasztoru koło Ava-Nari? Byłem tam kiedyś z Kobrą. To jest bardzo możliwe, że mógł się z nami na nowo skontaktować.

— Ava-Nari? — wykrzyknąłem. — Zaraz zaraz... gdzieś tę nazwę niedawno dyszałem. Ależ tak. Dorota mówiła mi, że jest to ulubione miej-

sce jej i ojca. Na pewno tam podążył i ją ściągnął... No to na co czekamy? Siadajmy w wane i jazda!

— Nie, nie! —zaprotestował Kara. — Jeśli Kobra sprzymierzył się z amgami, to nic nie osiągniemy przez otwarte działanie. Lepiej zrobimy tak: pojedziesz Takilą w charakterze podróżnika i postarasz się zasięgnąć języka, na Ava-Divu i Ava-Nari. Tak, to będzie najlepsze rozwiązanie.

Pożegnawszy się z Jarbu poleciliśmy do Kamiru. Tam Nara oddał nas pod gościnną opiekę znanych mi dobrze Palego i jego żony Dani. Mieszkali oni w tym samym domu nad brzegiem jeziora, w którym gościła mnie niegdyś Lena. Młode małżeństwo przyjęło nas bardzo serdecznie. Pali okazał się niezamordowanym przewodnikiem po mieście, Kini, Imla i Aba byli oszołomieni tym, co widzieli. Tym dzieciom dżungli wydawało się, że się znaleźli w świecie cudów. Przy nich i ja poznałem sporo nowych rzeczy. Największy mój podziw wzbudziły tym razem urządzenia fabryczne w podziemiach miasta. Większość prac wykonywały tam niewidzialne siły bez udziału maszyn. W jednej sali „coś” krajało wielkie bloki stali jak masło w równe

plasterki. W innej widzieliśmy części maszyn (przeznaczone do użytku przybyszów z Ziemi), sunące w powietrzu bez żadnej widzialnej podpory i składające się „same” z zadziwiającą precyzją. Jedynym pracownikiem w tej sali był starszawy jegomość o twarzy natchnionego artysty. Siedział przed aparatem, wyglądającym jak wielka maszyna do pisania. Gdy przyciskał odpowiedni klawisz, od razu któraś część podnosiła się ze swego miejsca na sunącej taśmie i biegła ku innej części, dopasowując się do niej idealnie. Całe urządzenie oparte było na działaniu nieznanym nam sił. Wszelkie moje pytania na ten temat zbywano tajemniczym uśmiechem.

Pierwszy wieczór w Kamiru spędziliśmy w kinie. Nie była to tym razem owa „psychorama”, którą opisywałem uprzednio, ale oglądaliśmy prawdziwy trójwymiarowy film i to bez używania dwubarwnych okularów. Wykorzystano tu pomysłowo wynalazek niewidzialności. Miejsce płaskiego ekranu zajmowała trójwymiarowa scena, wypełniona gęsto tysiącami niewidzialnych maleńkich lampeczek, które uwidzialniały się kolejno pod wpływem specjalnych impulsów, dając realistyczne wrażenie głębi.

Po powrocie z kina zasiedliśmy do doskonałej kolacji, której główne danie stanowiła świetna pieczeń z jakiegoś morskiego stworzenia. W trakcie rozmowy Pali zwrócił się do mnie:

— Byłbym zapomniał zupełnie... pewnie ciekaw jesteś wiadomości od Leny. Przysłała nam już parę „listów” w postaci swego głosu, utrwalonego w specjalnym przyrządzie. Zaraz ją usłyszysz.

Rzeczywiście już kilka razy miałem na końcu języka pytanie, co się dzieje z Leną. Spędziłem z nią przecież w Kamiru tyle niezapomnianych chwil.

Ze wzruszeniem więc słuchałem jej dźwięcznego głosu i wesołej paplaniny o wrażeniach z planety Fegildu. Była zadowolona ze studiów, miała miłe towarzystwo, jednakże bardzo tęskniła za swą ojczystą Xajtłą (Wenus). Z zapartym oddechem oczekiwałem jakiegoś pytania o moje losy, czy paru słów pozdrowień dla mnie. Tymczasem nie było ani wzmianki o Andrze. Czyżby zapomniała tak szybko? Zresztą dlaczego miałyby o mnie pamiętać? Czy ja sam nie zwróciłem już swych zainteresowań ku Dorocie? Jednak było mi przykro i przez dwa następne dni pobytu w Kamiru nosiłem w sercu melancholijną zadrę.

Przyszedł czas powrotu na Lejlę. Miał nas odwiedzić Nara, ale został niespodzianie wezwany na Księżyc dla przeprowadzenia z innymi wysokimi urzędnikami inspekcji budowanych tam urządzeń. Wobec tego oddał nas pod opiekę młodego, wesołego Wenuzjanina, o wypukłych niebieskich oczach.

— Nazywa się Gupu — przedstawił go. — W języku polskim to imię może wywołać niepochlebne skojarzenia — dodał — lecz w tym wypadku nomen nie jest omen. Gupu jest obecnie specjalistą od porywania ludzi z Ziemi i trzeba przyznać, że ujawnia w tym nie tylko wielki spryt i pomysłowość, ale także nieprzeciętny zmysł humoru. Najczęściej jego ofiary przez pewien czas wcale się nie orientują, że opuściły swą rodzinną planetę, lub że w ogóle zostały porwane. Ostatnio na przykład, sprowadził siostrę jednego Francuza. Zabrał w nocy nie tylko ją samą, ale i całe urządzenie pokoju. Budzi się biedaczka według swego mniemania dnia następnego i we własnym mieszkaniu, ubiera się, chce wyjść na zewnątrz i wtedy dopiero stwierdza z najwyższym zdumieniem, że cały świat wokół niej uległ niezrozumiałej przemianie... A Gupu stoi niewidzialny obok i zaśmiewa się...

— To on jednak jest naprawdę „gupu” — pomyślałem.

Wara musiał wyczytać moją myśl, bo mrugnął ku mnie porozumiewawczo okiem.

Gdy wznieśliśmy się w powietrze i Kamiru pozostało za nami w mgłę oddalenia, nawiązałem rozmowę z Gupu starając się wyciągnąć nieco informacji na temat owych urządzeń na Księżycu.

— To nie żadna tajemnica — odpowiedział otwarcie. — Budujemy tam gigantyczne instalacje, które pozwolą nam z czasem regulować życie i pogodę na Ziemi tak, jak to czynimy na Wenus.

BUDOWA URZĄDZEŃ WCIAŻ JESZCZE TRWA, ALE JEST OBECNIE NA TYLE zaawansowana, że mogliśmy rozpocząć już pewne próby. Dają się one odczuć na Ziemi i trzeba wyznać, iż na początku jest z tego wszystkiego więcej zamieszania niż korzyści. Różne huragany i trąby powietrzne zjawiają się tam, gdzie ich nie było... Początki nigdy nie są łatwe. Gdy wreszcie pokonamy trudności, będziemy wam mogli poprawić i uregulować warunki klimatyczne, a ponadto uzyskamy pełną władzę nad Ziemią. Gdy na przykład jaki naród zacznie prowadzić wojnę z sąsiadami, to nie dopuścimy na jego terytorium

ani kropli deszczu, póki się Inie uspokoi. Władanie pogodą, to potężniejsza broń niż bomba atomowa. Musimy się wszakże spieszyć i dokonać dzieła, zanim wasze rakiety zaczną lądować na Księżycu. To jest wszystko realizacja pomysłów Kobry, brata Kary. To był genialny człowiek. Szkoda, że znikł jakoś od paru lat...

— A ty sam byłeś na Księżycu? — zapytałem pośpiesznie, wołac bardziej bezpieczny temat.

— O tak, ale na szczęście nie przydzielono mnie do tamtejszych prac. Brrr... nieprzyjemne miejsce. Stale trzeba chodzić w kostiumie przestrzennym albo siedzieć pod powierzchnią w ciasnawych pomieszczeniach. Krajobraz piękny, ale niesamowity i przerażający. Niebezpieczeństw mnóstwo na każdym kroku. Choćby, te meteory, które zacięcie bombardują ziemskiego satelitę. Nad naszymi bazami zastosowaliśmy ostatnio specjalne „odpychacze“. Przedtem było stale wiele ofiar w ludziach i ogromne szkody w urządzeniach. Nie, Księżyc nie dla mnie, wolę waszą Ziemię. A ty, czy nie chciałbyś na nią wrócić?

— A byłoby to możliwe?

— Czemu nie? My od czasu do czasu odsyła-

my kogoś. Przedtem jednak czyścimy jego pamięć ze wszystkich wspomnień z Wenus. Słyszałeś na pewno na Ziemi o wypadkach amnezji. Ktoś nagle ginie, potem znajdują, go z zupełną pustką w głowie. Nic nie wie, co się z nim działo od dnia zaginięcia. Nieraz bywa to właśnie taki „repatriant” z naszej planety. Gdybyś bardzo chciał, może mógłbyś sobie uprosić powrót u Nary...

— Za cenę utraty pamięci? Nie! — odpowiedziałem żywo. — To co przeżyłem tutaj, to częśćka mego ja i nie chcę się z nią rozstawać.

Drogę Kamiru-Lejla przebyliśmy z niewiarogodną szybkością. Latający dysk schodził do lądowania. Zapadał wieczór. Lecieliśmy dość nisko nad morzem, które mieniło się miliardami małych świetlistych żyjątek. Był to „Tszikri” — szósty miesiąc wenuzjańskiego roku, który posiada ich tylko osiem. Jak w czerwcu na Ziemi ukazują się świętojańskie robaczki, tak w tym miesiącu wenuzjańskie morza płoną od tych wielobarwnych świetlików. Patrzyłem w milczącym zachwycie na to śliczne zjawisko, gdy Gupu przerwał mi kontemplację natury.

— Czy złożyłeś już prośbę o sprowadzenie z Ziemi swoich bliskich? Ja sam mógłbym się

tym zająć.

— Jeszcze nie złożyłem — odparłem — i na rasię z tym zaczekam. Z jednej strony nie wiem, czy czuliby się tutaj szczęśliwi, a z drugiej zaś sam jeszcze się nie ustatkowałem i stale naramiam swoją głowę dla różnych ciemnych spraw waszego Nary. Może mi się udać, lub mogę tę głowę stracić, a wtedy co? Przyjadą a Andrzejka nie ma... Ale gdybyś tak mógł list do nich zawieźć...

— O nie, tego mi nie wolno. Cc byś zresztą napisał w tym liście? że jesteś na Wenus? Byliby przekonani, że po nadmiernych trudach życia znalazłeś przytułek w pewnym szpitalu... Ha, ha, ha.

Wylądowaliśmy w Lejli. Długo tej nocy nie mogłem, zasnąć, myśląc o Ziemi, o Polsce, o moich najbliższych w Warszawie, którzy na pewno zamartwiają się brakiem wiadomości ode mnie z Ameryki. A może jednak zdecydować się na powrót? Nie. W każdym razie muszę najprzód odnaleźć Dorotę i schwytać Kobrę.

Nazajutrz po powrocie z Kamiru rozpoczęły się przygotowania do wyprawy i targi, kto ima jechać, a kto nie. Zaofiarowali swój udział Zbyszek i Magda; koniecznie chciał jechać Kini. Na

tę trójkę chętnie przystałem. Zgłosił się też Paciorek. Biedny chłopak wyznał, że nie może już dłużej żyć bez wzajemności ze strony Imla. Jej nieustanny widok zabija go. a ma nadzieję, iż oddalenie i przygody zasklepią jakoś ranę w jego sercu. Na takie dictum nie można było odpowiedzieć negatywnie. Cieszyłem się zresztą bardzo, że będę miał dzielnego Jacka przy sobie. Wobec tej decyzji nie mogła jechać Imla, choć napierała się na tę wyprawę ze łzami w oczach. Nic jej nie powiedzieliśmy, że Paciorek jedzie, a odmowę upozorowało się tym, że i ona i Aba (który też palił się do jazdy) są potrzebni ojcu Piotrowi w organizowaniu na nowo szkółki dla dzieci tubylczych. Oboje obrazili się na mnie śmiertelnie i w dzień odjazdu nie przyszli się nawet pożegnać.

Do portu odprowadzili nas ojciec Piotr, Wiktor i parę innych osób, między innymi właściciel restauracji. Mimo moich ponurych przeczuć nie był on w ogóle aresztowany i bezboleśnie doczekał się dnia zwycięstwa. Został teraz burmistrzem miasta Lejli.

Odpywaliśmy w strugach deszczu i przy silnym kołysaniu, ubraliśmy kierunek południowo-wschodni. Płynęliśmy ku obszarom które na

mapach wenuzjańskich posiadają wspólną nazwę "Sus". Słowo to, które po polsku jest synonimem skoku, po hebrajsku oznacza konia po łacinie świnię, w języku tutejszym znaczy — chaos, zamęt, anarchię. Nazwa ta ma swoje uzasadnienie geograficzne. O ile bowiem w innych częściach planety łańcuchy wysp posiadają w większości kształt prawie regularnych łuków lub spirali, tutaj mamy bezładną gmatwaninę wysp i wysepek, która na mapie wygląda jak kleksy strzepnięte z pióra.

I pod względem polityczno-demograficznym obszar ten zasługuje na swoje miano. Nominalnie należy do terenów zależnych od Nowego Krakowa, ale Polaków jest tam znikoma ilość. Wyspy te zamieszkują głównie szczepy tubylcze, pomieszane rasowo i językowo. Obok nielicznych plemion kuwilińskich spotyka się tam przede wszystkim ludy o grupowej nazwie „Kauin“, zdziczałe, okrutne, składające ofiary z ludzi, a czasem nawet oddające się ludożerstwu. Poza tym włóczy się tam sporo wszelkiego łajdactwa różnych narodowości, chroniącego się przed prawem i prowadzącego niezbyt czyste interesy. Jednym z nich jest handel żywym towarem. Wobec słabego zaludnienia Wenus

każda jednostka ludzka posiada kolosalną wartość jako siła robocza i niewolnik jest cennym nabytkiem dla kolonistów, pozbawionych kośćca moralnego. Człowiek opuścił Ziemię, ale nie zdołał uciec od samego siebie i swych zbrodniczych skłonności. Na Wenus dostał się do raju i czym prędzej stara się go zamienić w piekło. Ku takim to niezbyt obiecującym „Dzikim Polom” płynęła teraz Takila.

Wyczytywałem te wiadomości z "książki" którą Nara obdarzył mnie w Kamiru. Słowo „książka” podałem w cudzysłowie. Był to bowiem naprawdę aparat zaopatrzonego w wizjer i głośnik.

Z powodu deszczu, który lał coraz gęstszymi strugami wody, siedzieliśmy wszyscy w saloniku, zostawiwszy przy kole sterowym automatycznego pilota. Ten ściśle trzymał się wyznaczonego kursu a w razie ukazania się przeszkody na trasie wzniewał alarm. Paciorek ze Zbyszkiem grali w szachy. Magda krzątała się w kuchni. Kini plótl dla nas wszystkich słomiane kapelusze w kształcie stożka. Ja zaś uczyłem się geografii obszarów Sus. Przesuwały się przed moimi oczami mapy, widoki wysp, ich przyroda i mieszkańcy, a w uszach brzmiały objaśnienia. Było to na początku bardzo zajmujące, ale

znużyło mnie wreszcie. Zamknąłem oczy i uciałem sobie drzemkę.

Obudził mnie dopiero dzwonek na obiad. Po posiłku, który Magda wspaniale przygotowała, udałem się z Paciorkiem na mostek kapitański i tam wtajemniczałem go w kierowanie Takilą. Jacek był młodzieńcem rozgarniętym, toteż instrukcje nie zabrały dużo czasu. Zostawiłem go wkrótce samego, a sam włóczyłem się po statku, niby dla inspekcji, a naprawdę dla zabicia nudy. Zabawiłem czas jakiś przy sprzęcie do nurkowania sprawdzając, czy przy ostatniej wyprawie Doroty i Kiniego nie uległ uszkodzeniu. Następnie udałem się ku rufie. Lekko uchylone drzwiczki komory wodnej powinny były poruszać się w takt kołysania statku, tymczasem ani drgnęły. Podszedłem bliżej. Ktoś unieruchomił je podkładając drewniany kołeczek. Po co?

Pchnąłem — nie ustępowały.

Po chwili szamotania zdołałem je otworzyć. Ze zdumieniem ujrzałem w półmroku panującym w komorze przestraszonych moim wtargnięciem Imlę i Abę. Przybrałem surowy wygląd. Rodzeństwo patrzyło na mnie niepewnie. Pierwsza Imla odważyła się przemówić:

— My bardzo przepraszamy. Nie chciałeś nas zabrać, a my tak bardzo chcieliśmy jechać z wami. A ja... a ja też chciałam uciec od tego... no... Paciorka, bo mi nie dawał spokoju, a ja go wcale nie chcę! — zakończyła z determinacją.

Słyszając ten ostatni powód, wybuchnąłem głośnym śmiechem.

— Ha, ha, ha! To oni oboje po to uciekali od siebie żeby się tu spotkać... a to zabawne... ha, ha, ha!

— To on tu jest? — wykrzyknęła Imla, oblewając się kraśnym rumieńcem.

— Tak, tak — odparłem tłumiąc nowy paroksyzm śmiechu — i to dlatego, że nie mógł dłużej znieść widoku twojej zimnej obojętności... dziewczyno bez serca!

Rumieniec znikł z policzków Imli, zacięła usta.

— To on będzie biedny — mruknęła zawzięcie.

— Wcale nie będzie biedny, bo zaraz was oboje odstawiamy z powrotem na Lejlę.

— Nie, nie, Andra, litości! — wykrzyknęło unisono rodzeństwo.

— Mimo że Paciorek tu jest?

— Ja już będę jak anioł dla niego — zapew-

niła Imla po sekundzie wahania.

Zaalarmowani głośnym śmiechem wpadli do korytarzyka Magda, Zbyszek i Kini. Podchwyciłem porozumiewawcze spojrzenie między dwoma przedstawicielkami rodu niewieściego. — Aha! — pomyślałem. — I Magda musiała brać udział w spisku. — Mój domysł potwierdziły jej gorące prośby, żeby „pasażerom na gapę” pozwolić na pozostanie na pokładzie Takili. Po krótkich protestach ustąpiłem, będąc w głębi duszy zadowolony z takiego obrotu sprawy.

Trzeba było widzieć minę pocziwego Jacka alias Paciorka, gdy wyszliśmy na pokład. Pobladł i utracił mowę na pewien czas, ale w jego bladoniebieskich oczach malowała się ekstaza.

Imla, zgodnie z obietnicą, zachowywała się wobec piegowatego młodzieńca poprawnie. Nie unikała go, lecz zbywała krótko i traktowała z grzeczną wyniosłością. Z normalnego natomiast dotąd chłopaka zrobiła się dosłownie „maślana kukła” — jak mu to w chwili szczerości wypowiedziała Magda. Topniał bowiem pod każdym spojrzeniem kuwilińskiej dziewczyny, jak maśło w promieniach słońca. Snuł się za nią jak cień, wzdychał, zgadywał myśli i życzenia. Początkowo bawiło mnie to, wreszcie jednak za-

częło drażnić. Po paru dniach nie wytrzymałem i wygarnąłem mu „prosto z mostu”, co o nim myślę. Było to tak:

Zapadła właśnie noc. Reszta załogi udała się na spoczynek, pozostałem sam na mostku kapitańskim. Czuję w sobie dziwny nastrój pogody i radości, jaki czasem tak ni stąd ni zowąd nachodzi człowieka. Potęgował go widok świecących fal morskich. Usiany ławicami wodnych świetlików, rozległy przestwór morza lśnił, migotał, mienił się pysznymi barwami. Upojony widokiem, zacząłem śpiewać hymn „Czego chcesz od nas Panie za Twe hojne dary, czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary. Rozum Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie i w otchłani i w morzu, na ziemi, na niebie...”

Mój religijno-poetyczny nastrój zgasił niecierpliwy głos Paciorka.

- Przestań ryczeć... Pobudzisz wszystkich.
- zabrzmiało mi niespodziewanie nad uchem.
- Chyba jeszcze nie śpią?
- Ale chcą zasnąć.

Zamilkłem, a Jacek ciągnął dalej gniewliwym tonem.

- W tobie to siedzi, nie wiem po co, kawał dewota. Uczepiłeś się na Lejli tego księdza Pio-

tr jak rzep psiego ogona. Nic byś nie robił, tylko służył do Mszy, latał do Komunii św. i po parę razy dziennie prowadził duchowne rozmowy. A i teraz anielskie miny stroisz, żegnasz się jakbyś, wszędzie diabła widział, i jakieś żalosne godzinki wyśpiewujesz. I ja wierzę w Boga, ale Mu się nie narzucam. Dość tłoku koło Kiego robią stare bigotki, wrzaskliwe bachory i aniołki ze skrzypeczkami...

Na te słowa zagotowało się we mnie. Nic boleśniej nie może urazić młodego człowieka niż zarzut bigoterii. Odpaliłem gwałtownie:

— Bałwan jesteś i nic nie rozumiesz. Ale wolę już nawet być tym „dewotem”, jak to nazywasz, — niż takim osłem jak ty, na którym byle spódniczka jeździ, jak chce. A on przed nią nogami trzęsie, jak kundel pokornie w oczki patrzy i zachowuje się nie jak mężczyzna, ale jak... jak... no, jak błazen, z którego się wszyscy śmieją.

— Tylko uważaj! — zabalgotał wściekle Jacek. — Tylko nie „byle spódniczka”... Imla jest wyjątkową dziewczyną iw. i...

— Ósmym cudem świata, rusałką leśną, wcieleniem Afrodyty, piramidą Cheopsa, zapoznaną Miss Universe... — kończyłem drwiąco za mego

druha. — Puknij się chłopie w piegowate czoło i oprzytomnij. Imla, jest dzielną, ładną, inteligentną, normalną dziewczyną, jakich wiele na szerokim świecie. Póki jej nie przestaniesz uważać za boginkę i królową z bajki, nigdy jej nie zdobędziesz. Twoich zachwyków, hołdów i wywracania oczu ma już powyżej czubka głowy. Przestań być podnóżkiem, rozlewać się pokornie tłuścą plamą u jej stop, a zachowuj się jak zwykły młody człowiek. Kochaj ją, szanuj, ale po prostu, po męsku. Kobieta nie szuka w mężczyźnie niewolnika ani miękkich pantofli, lecz autorytetu, oparcia, kierownictwa, miłości nie galaretowanej, drżącej, ale silnej, odważnej, szanującej własną godność...

Paciorek milczał przez chwilę. Zdawało się że przeżuwa coś w swych potężnych szczękach. Wreszcie powiedział cicho:

— Dziękuję ci.

Obrócił się na pięcie i znikł pod pokładem.

— Powinien był mnie przeprosić — pomyślałem. — za to, co powiedział na początku. Co mu szkodzi, że się żegnam przed jedzeniem? Jestem dewotem! Religia jest męską rzeczą! Jacek jest ignorantem.

Odechciało mi się jednakże śpiewać.

Nie minęło i pół godziny, gdy posłyszałem ciche stapania na drabince, prowadzącej do wieżyczki sterowniczej. Paciorek wystawił głowę z otworu w podłodze:

— Andrzej?

— Czego chcesz?

— Nie gniewaj się za to moje niemądre gadanie... Nie mogę sobie ostatnio dać rady sam ze sobą i dlatego na innych napadam. Tak naprawdę, to ci nawet zazdroszczę silnej wiary. Może gdybym się bliżej Boga trzymał, to i wobec Imli zdobyłbym się na bardziej rozsądną postawę. A tak to zgłupiałem do reszty. Dziękuję za „mocne” słowa. Dobranoc.

— Nie gniewam się, śpij smacznie! I ja przepraszam.

Ciemne dotąd niebo pojaśniało nagle blaskami zorzy, jakby ciesząc się z naszej zgody.

ROZDZIAŁ V

WYSPA AMGÓW

Po krótkotrwałej fali ulewnych deszczów zrobiła się ładna pogoda. Widocznie jednak chmura otaczająca Wenus zgęstniała, bo niepodobieństwem było określić, w którym miejscu na niebie znajduje się słońce. Rozproszone światło dzienne spływało zewsząd. Ciała nasze i przedmioty nie rzucały wyraźnego cienia. Cały świat wokół przesycony był intensywnym żółtawym blaskiem, stwarzającym dziwną, nie-z-tego-świata atmosferę. Noce były jasne. Choć świetlików było coraz mniej w falach morskich, niebo świeciło teraz niemal nieustannie srebrną zorzą. Zdawało nam się, że znaleźliśmy się z powrotem na Ziemi i że to księżyc w pełni lśni ponad naszymi głowami.

Mijaliśmy po drodze setki wysp i wysepek, przeważnie niezwykle malowniczych i pięknych. W pobliżu Lejli sporo z nich zamieszkiwały rybackie plemiona kuwilińskie. Czyściutkie wioski w głębi spokojnych zatok. Niezwykła gościnność mieszkańców. Kiedy przepływaliśmy w pobliżu którejkolwiek osady, natychmiast wypływały ku nam długie, wąskie łodzie, pełne dzieci, zapraszających do odwiedzin. Raz tylko daliśmy się

namówić, potem dziękowaliśmy zawsze grzecznie i uciekaliśmy czym prędzej. Inaczej nie wiadomo kiedy dojechalibyśmy do celu podróży.

Uroczystości bowiem powitalne z reguły trwały przynajmniej trzy dni i połączone były z ucztami, zabawami i tańcami; po nich gościnni krajowcy trzymali nas tak długo, dopóki nie napełnili Takili po brzegi zapasem zwierzyny, owoców, orzechów, ryb i krabów. I przez miesiąc nie zjedlibyśmy tego wszystkiego.

Ulubionym sportem tych rybackich plemion było coś w rodzaju nart wodnych z rym, że jako środek napędowy służyły żagle-latawce trzymane w rękach, żagle były kolorowe, pokryte różnymi deseniami, ślicznie wyglądała taka flotylla, sunąca po falach z wiatrem w zawody.

Gdy oddaliliśmy się już znacznie od Lejli, wyspy stały się bezludne. Nie dostrzeżliśmy przez dłuższy czas ani jednej istoty ludzkiej. Dopiero bliżej celu podróży pojawiły się znów znaki obecności krajowców: światła ognisk, w nocy, w dzień słupy dymów i zgrabne czółna, spoczywające na piasku przybrzeżnym. Samych tubylców jednak trudno było wypatrzeć. Widocznie kryli się przed naszym wzrokiem. Raz tylko, kiedy wylądowaliśmy u wybrzeża większej

wyspy dla nabrania świeżej wody i żywności, wybiegła nam naprzeciw z dzikim wrzaskiem zgraja dzikusów, potrząsając groźnie dzidami i tarczami. Ciemniejsza skóra i wielkie niby-papuaslike czupryny oznajmiły nam, że mamy do czynienia już nie z pokojowymi Kuwilińczykami ale z jednym ze szczepów wojowniczej grupy Nauin. Ogień naszych „promieniówek“, jak nazywaliśmy pistolety promieniowe, złamał momentalnie atak napastników. Musieliśmy wszakże natychmiast opuścić niegościnnie wybrzeże. Na plaży my byliśmy górami, w dżungli nie mielibyśmy już przewagi — każdy krzew i każde drzewo dawały możliwości zasadzki.

Na samej Takili życie upływało nam przyjemnie. Zbyszek był niedościgniony w wymyślaniu rozrywek począwszy od różnych gier pokładowych, konkursów rybackich aż po wyścigi polapanych w lesie wielkich mrówek. Natomiast dobrym duchem statku w czasie podróży była, niezaprzeczalnie Magda Zawsze prostolinijna, łagodna, a przecież stanowcza, gdy należało opowiedzieć się po stronie słuszności, pracowita i pogodna, miała dobroczynny wpływ na całą załogę. Było w niej coś, co nakazywało szcunek i posłuch. Liczyliśmy się z nią wszyscy.

Kiedy usiłowałam na początku zbyt po wojskowemu komenderować załogą, zwróciła mi uwagę, że wiele więcej osiągnę stwarzając atmosferę bardziej koleżeńską, a nawet rodzinną. I tak przekonywująco potrafiła to przedstawić, że z punktu zmieniłam postępowanie, co wszystkim wyszło na korzyść.

Magda dbała też o nasze salonowe maniery. Razu pewnego Paciorek wchodząc na salę jadalną zrobił spostrzeżenie, że zbierają się ciemne chmury i niezadługo „będzie burza jak cholera”, Magda taktownie wyraziła, prośbę, by zwracał większą uwagę na dobór słów.

— Niech krab utnie ten mój paskudny ozór — zawołał zawstydzon Jacek, uderzając się olbrzymim łapskiem po centkowanej gębie. — Ale nie gniewaj się, Magda, przecież każdy prawdziwy mężczyzna czuje potrzebę użycia od czasu do czasu jakiegoś mocniejszego słowa... Bez tego jak bez ręki...

— Nie wiem, czy jest to rzeczywiście nieodzowna cecha prawdziwej męskość — odparła dziewczyna z uśmiechem — lecz jeśli już tak bez tego żyć nie mrzesz, to przynajmniej przerwij tę jednostronna monotonię. Istnieją i inne mordercze choroby, zasługujące na wzmiankę.

— Świetny pomysł — odparł Paciorek i zaraz zgodnie z sugestią przywitał wchodzącego do sali jadalnej Zbyszka:

— Do ciężkiej dżumy! Czemu się spóźniasz na obiad, ty wirusie grypowy, nie słyszałeś dzwonka?

Jednakże odtąd czuwał bardziej nad swym językiem.

Zawsze opanowana i taktowna Magda uzyskała też wielki wpływ na Imlę. Czarnowłosa dziewczyna, choć dobra i inteligentna z natury, posiadała dość popędliwe usposobienie, a ponadto nie potrafiła liczyć się z innymi w spełnianiu swoich zachcianek. A tych niemało pojawiało się w jej kształtnej główce.

I tak postanowiliśmy kiedyś zatrzymać się tylko na chwilę u brzegu niewielkiej wyspy dla nabrania świeżych owoców. Tymczasem Imli zachciało się iść na polowanie. Chwyła łuk i nikomu nic nie mówiąc, zniknęła w gąszczach na dwie i pół godziny. Gdy wróciła wreszcie, taszcząc upolowaną dziką świnę (nawiasem mówiąc przepadaliśmy wszyscy za jej mięsem), „wyszedłem z nerwów”, jak to się mówi po warszawsku. Powiedziałem otwarcie, co myślę o takiej samowoli. Imla w zamian pokazała mi

język, co na Wenus oznacza dokładnie to samo co na Ziemi. Na dodatek zaproponowała, żebym się wypchał pajakami. Ja z kolei nie pozostałem dłużny w słowie.

Paciorek zacisnął pięści z wyraźnym zamiarem rozbicia mi głowy, ale przełamał się. Od pamiętnej ze mną rozmowy czynił bohaterskie wysiłki, żeby zachowywać się „normalnie” wobec ukochanej dziewczyny. Zbyszek w czasie awantury był pod pokładem. Kini z kamiennym spokojem łowił ryby. Aba za to stanął tak energicznie po mojej stronie, że aż go musiałem powstrzymywać. Na szczęście dla nas wszystkich na scenę wkroczyła Magda, Dała mi mrugnięciem oka znak, bym zamilkł i zabrała Imlę GO swej kajuty. Co tam ze sobą mówiły, nie wiem. dość że po upływie pół godziny na mostku sterowniczym zjawiała się Imla — spokorniała i skruszona — wyznając winę i obiecując poprawę.

Po dwunastu dniach podróży dotarliśmy wreszcie w pobliże wyspy amgów-czarowrdków. Nazajutrz powinniśmy ją zobaczyć. Odczuwałem w sercu niemniejszy niepokój niż wtedy, gdy zbliżałem się do Lejli celem wykrycia tajemnicy Krateru Zygryda. Wówczas jednak miałem się

zetrąć z nieprzyjacielem, rozporządzającym jedynie ludzkimi środkami, teraz zaś mogło się tu kryć niebezpieczeństwo, wobec którego nie znaczyliśmy nic. Wypadek, który zaszedł najbliższej nocy, nasuwał najgorsze przypuszczenia.

Spałem sam w kajucie. Widziadła senne przewijały się początkowo chaotycznie, niewyraźnie. Nadchodziły i odchodziły. Wtem w ciemności ujrzałam wlepione w siebie kilka par oczu — oczu złych, nienawistnych. Staralem się odwrócić od nich głowę. Na próżno. Patrzyły na mnie zewsząd z niepokojącym uporem. Po chwili wokół jednej pary poczęły się formować zarysy twarzy, a potem cała postać ludzka, dziwaczna, przybrana w węzową skórę. Jej nagie ręce i nogi wykonywały złowieszcze, zmijowate ruchy. Wpięty w czarne włosy drogocenny kamień skrzył się czerwonym blaskiem. Ciemną, suchą twarz wykrzywił złowrogi grymas. Nagle w kościstych palcach zjawy ukazał się nóż. Ostry, świecący.

Czułem, że serce idzie mi do gardła. Krzyknąłem i chciałem uciekać. Nie mogłem się poruszyć. Wtedy zjawy zamachnęła się i rzuciła wemnie nożem. Widziałem jak pędził ku mnie, zbliżał się. Boże! Zaraz mnie dosięgnie, a ja trwam skamieniały. Już!... Lecz nóż zamiast

wbić mi się w piersi, jakby natrafił na niewidzialną zasłonę, odbił się i z brzękiem padł na podłogę kajuty... Piekielna postać zacisnęła pięści w bezsilnym gniewie. Znikła. Wraz z nią rozwiały się towarzyszące jej oczy.

Przebudziłem się w postawie siedzącej, spóźniały i dygocący. Zapaliłem światło. Na podłodze obok pryczy leżał ostry, nieznany nóż. Kościaną rączkę pokrywały kunsztownie rzeźbione, niezrozumiałe znaki.

Opętany trwogą, wybiegłem na korytarz. Z sąsiednich kajut wychyliły się zaniepokojone, głowy.

— To ty krzyczałeś? — zapytał Zbyszek.

Zbiegli się wszyscy. Z niedowierzaniem słuchano mego opowiadania. Oglądano nóż.

— Na pewno Aba zrobił ci kawał — podsunął Paciorek — przyznaj się i — zwrócił się do chłopca. Aba zaklinał się, że nigdy nawet nie widział tego noża. To samo twierdzili inni. Z zewnątrz nikt nie mógł się zakraść. Byliśmy na pełnym morzu sami. Radar nie wykrył niczyjej obecności w promieniu wielu mil. Przeszukaliśmy całą Takilę — bez rezultatu.

Można sobie łatwo wyobrazić w jakim nastroju zbliżaliśmy się nazajutrz do klasztoru

amgów. Leżał on wewnątrz niewielkiej wyspy-wulkanu w odległości trzydziestu mil od Avani. Wychyliły się przed nami z morza szare, ponure skały. Ściany wulkanu schodziły stromo w morze. U ich podnóży sterczały z wody potężne głazy. Tłukły o nie zaciekle zielone fale pieniać się i bezsilnie złorzecząc ich pogardliwej mocy.

Objechaliśmy już chyba z pół obwodu okrągłej wyspy, a nie dostrzegliśmy dotąd żadnej większej wyrwy, ani śladu portu. Wyrzeźbione odwieczną pracą fal skały patrzyły na nas pustymi oczodołami dziur. Odpowiadały im nasze nieco zastraszone spojrzenia.

Takila sunęła dalej kolistym biegiem. Wreszcie niegościnnie dotąd stoki naturalnej twierdzy rozwarły się. Szeroki wodny wąwóz prowadził do wnętrza. Wyśliznęła się z niego właśnie niewielka łódka o brunatnym żaglu. Brązowi żeglarze machnęli ku nam przyjaźnie rękami i skierowali się na pełne morze. Poszliśmy i my za ich przykładem. Moim pierwotnym planem było wpląć otwarcie do wnętrza wyspy i udawać ciekawych podróżników. Po wypadku ostatniej nocy straciłem na to odwagę.

Gdy wyspa amgów nikła nam z oczu, Takila opuściła się pod wodę i skierowała się z powro-

tem ku przejściu między skałami. Było ono wystarczająco głębokie. Kanał to rozszerzał się, to zwężał, aż wreszcie otworzył się na okrągłą ślepa zatoczkę, stanowiącą dno pomniejszego krateru. Przez peryskop ujrzelśmy niewielką przystań i obszerny za nią plac, wypełniony teraz gromadą krajowców, przybyłych po poradę do czarowników. Kilkanaście łódek kołysało się u brzegu. Zatokę otaczały strome skały. Jakieś trzysta metrów za przystanią otwierały się znowu, tworząc przejście, które — jak przypuszczałem — prowadziło w głąb wyspy. Postanowiliśmy przeprowadzić zwiady.

Przybrani w nurkowe maski Kini i ja wypłynęliśmy z Takili. Wody wokół nas były przejrzyste. Różnobarwnych ryb zatrzesienie. Prawdopodobnie ścigały je tu odpadki, wyrzucane przez amgów. Płynęliśmy stosunkowo głęboko, bojąc się, żeby nas nie zauważono z góry. Minęła nas śmieszna płaska ryba o trzech ogonach, wielka jak młyńskie koło. Trudno było się orientować w tej bezwymiarowej, zielonkawej przestrzeni, nie straciliśmy wszakże kierunku dzięki małemu kompasowi, który miałem na ręku. Po dziesięciu minutach dotarliśmy do kanału. Kiedy wpływaaliśmy do jego wąskiej gardzieli, wpadła na nas

chmara ryb, uciekających w popłochu. Co je mogło przestraszyć? Przejście rozszerzyło się. Trzymaliśmy się prawej strony blisko powierzchni, szykując się do wyjrzenia na zewnątrz.

— Ty czekaj, ja się wychyle! — zwróciłem się do mego przyjaciela (rozmawialiśmy drogą radiową).

Zanim zdążyłem wystawić głowę, od dna kanału podniosła się błyskawicznie ogromna sieć, porwała nas obu i wyciągnęła na powierzchnię. Wisieliśmy w powietrzu na końcu wielkiego żórawia, którego drugi koniec ściągali w dół za pomocą prymitywnej korby brązowi rybacy o olbrzymich, kędzierzawych czuprynach.

Byliśmy nie mało przestraszeni tym niespodzianym schwytaniem, ale i ci, co nas wyłowili, przerazili się nie mniej od nas. Stali chwilę jak wrośnięci w ziemię, po czym z wrzaskiem rzucili się do ucieczki w kierunku wielkiego otworu, czerniejącego w skale. Zastąpił im drogę osobnik wielkiej postaci. Jego jasne włosy, ściągnięte starannie w tył głowy i spięte złotym kółkiem, tworzyły rodzaj ogona, spadającego poniżej pleców. Jedyne jego ubiór stanowiła zielona skóra, węzowa, okręcona kilkakrotnie wokół ciała na wysokości bioder. Takie same uczesanie głowy i

taki sam strój, jak mojej zjawy z ubiegłej nocy. Tylko tamten miał włosy czarne, ten jasne. Nieznajomy zbliżał się bez pośpiechu. Kazał brązowym rybakom opuścić sieć i dopomóc nam do wydostania się z jej splotów, następnie podszedł do nas. Miał twarz młodą i męską. Opromieniał ją teraz uprzejmy uśmiech powitania.

— Niech dobre duchy będą z wami! — pozdrowił nas po kuwilińsku - Kini, poznajesz mnie?

— Boldu!? — odpowiedział mój przyjaciel z radością w głosie. Tak, poznaję. To mój przyjaciel Andra — wskazał na mnie.

--- Wiem, wiem - odparł Boldu — oczekiwaliśmy waszego przybycia. Trzeba było zajechać otwarcie do przystani, a nie udawać ryby... Ale mniejsza o to. Dzielnie sprawiliście się na Lejli. Niech będą dzięki Wszechmocnemu, że was wspomógł! Prosiłszy Go za was. A teraz chodźcie, zaprowadzę was do naszego głównego amgi. Dajcie znak tym, co siedzą w sztucznym wielorybie, żeby wypłynęli. Nic im od nas nie grozi.

Zawiadomiłem załogę Takili o zaszłych wypadkach, po czym ruszyliśmy za Boldu w kierunku otworu skalnego.

Po drodze Kini wyjaśnił mi w paru słowach,

że Boldu pochodził z plemienia Oremangów i był jego towarzyszem zabaw dziecięcych. Przed kilku laty Araru wysłał go na Ava-Divu, by u amgów nabrał tajemnej wiedzy i przysposobił się do objęcia kiedyś stanowiska czarownika.

Przewodnik wiódł nas przez długie chodniki i wielkie podziemne sale o ścianach świecących słabym blaskiem. Na naszej drodze napotkaliśmy niewielkie drzwi z koronkowej kraty, przez którą przedzierały się promienie słonecznego światła. Boldu przycisnął klamkę. Znaleźliśmy się na obszernym tarasie, obramowanym pnączami różowych kwiatów. U naszych stóp rozciągało się rozległe niebieskie jezioro o gładkiej powierzchni. Nie marszczyła jej najmniejsza sala, mimo iż włosy nasze rozwiewał wiatr, a płatki różowych kwiatów poruszyły się raz po raz jakby opędzając się jego napastliwym podmuchom. Brzegi jeziora, schodzące w dół rozległymi tarasami, pokrywał jeden przepyszny ogród. Pośród tysięcy drzew i krzewów owocowych, pośród kwiatnych dywanów kryły się skromnie i jakby nieśmiało białe domki — pustelnicze mieszkania amgów.

Boldu wskazał nam małe stołeczki do siedzenia, a sam zbliżył się do skraju tarasu. Trwał

tam chwilę nieruchomo, jakby na nowe urzeczony pięknym widokiem, który przecież co dzień oglądał. Upłynęło parę minut. Młody amga drgnął i wyciągniętą dłonią Wskazał jeden z domków po drugiej stronie jeziora. Coś się tam zazłociło i naszym zdziwionym oczom ukazał się lecący w powietrzu człowiek. Fruwający amga wylądował na tarasie. Był to osobnik niski, okrągławy. Ciało jego od ramion poza kolana okręcała długa skóra królewskiego węża, lśniąca złotem i czerwienią. Oczy głęboko wpadnięte w łysą czaszkę ocieniały długie, siwe rzęsy. Policzki miał pełne i rumiane jak u dziecka, czoło natomiast przecinały ostre bruzdy, które mógł tylko wyryć czas lub cierpienie. Cienkie usta здаwały się wyrażać głęboki smutek, lecz zarazem mądrość i dobroć. Wyczuwając w nowoprzybyłym kogoś czcigodnego, zerwaliśmy się ze stołków, ale on skinieniem ręki kazał nam osiąść z powrotem i sam zajął miejsce naprzeciw nas. Boldu pozostał nieco z tyłu i zastygł w posągowej nieruchomości.

Mały człowieczek przyglądał się nam przez chwilę spod białych rzęs, wreszcie przemówił po kuwilińsku:

— Witajcie w Imię Nieskończonego! — Głos

jego brzmiał miękko. Był w nim spokój, życzliwość i łagodna siła. — Wiem, w jakiej sprawie przychodzicie. Tej, której szukacie, nie ma tutaj. My nie jesteśmy sprawcami jej zniknięcia. Odnajdziecie ją w głębi dżungli na Ava-Nari. Jest w rękach złych mocy, które i na was czyhają, żeby walczyć z nimi, musicie zapewnić sobie pomoc dobrych duchów. Niech się każdy z was ucieknie do swego Akali (Anioła Stróża), a będzie bezpieczny.

— Co ten poganin może wiedzieć o Aniołach Stróżach? — pomyślałem zdziwiony.

Mały amga-amga *) patrzył mi w oczy z wyrozumiałym uśmiechem:

— Młody człowieku — odezwał się do mnie. — Gdy będziesz miał już dość przygód i zwiędnie dla ciebie uroda życia tam w szerokim świecie — zatoczył ręką wielkie koło — przyjdź tu! W podziemnych grotach znajdziesz niezliczone tomy starych, ksiąg, a one pouczą cię o tajemnicach, o których nawet nie śniłeś. Odsłonią się przed tobą tysiące lat historii tej Ziemi, z której przybyłeś. Poznasz dzieje cywilizacji i ludów, które rozsypały się w proch. Lecz nade wszystko otworzą się przed tobą słowa mądrości, i które Stwórca przekazał naszemu prarodzicowi Adzie,

gdy porą wieczorną przechadzał się wspólnie po ogrodzie rozkoszy.

Głos czcigodnego amgi przechodził coraz bardziej w półśpiew, palce jego czyniły takie ruchy, jakby przewracał szacowne karty starych ksiąg lub uderzał w struny niewidzialnej lutni.

**) Kuwilińczycy dla podkreślenia wielkości lub ważności rzeczy czy osoby, powtarzają jej nazwę: stąd najwyższy-czrownik: amga-amga.*



Coś się tam zaszło i naszym zdziwionym oczom ukazał się
lejący w powietrzu człowiek. (Sir. 99)

— Dowiesz się tam, że Najwyższy odda; na początku cały świat miliardom duchów niebieskich, by strzegły ruchów gwiazd i planet i pilnowały najmniejszego ziarnka piasku. Każdy gatunek roślin i każdy ród zwierzęcy i każdy człowiek i każda wyspa zgubiona w morzu i lądy wielkie i miasta i kraje mają swego ducha opiekuńczego, który myśli i czuwa, starając się wszystko dostroić, do przedwiecznej harmonii Boskich wyroków... Lecz są niestety i duchy buntownicze, które poznały na początku zamysły Wszechmądrego, bo je Sam objawił a teraz walczą z nimi, wykrzywiają, szkodzą. I dlatego świat ten, choć wyszedł doskonały z ręki Stwórcy, jest pełen zgrzytów i nieładu. I człowiek zatracił dusze swoją i zeszedł ze ścieżki prawej. Na początku jednak, gdy pamięć słów Boskiej mądrości była jeszcze świeża i płodna, ludzie miłowali Boga i żyli w ścisłej przyjaźni z duchami dobra, modlili się do nich, radzili się, uzdrawiani byli ich: mocą. Szybko jednak obraz Stwórcy zamglił się w ich umysłach, a do duchów niewidzialnych szły żądania coraz niższe, coraz samolubniejsze i skalone. Gdy odmawiały ich spełnienia, człowiek zwrócił się do ducha złego lub stwarzał sobie własnych bogów na miarę

swych ciasnych pragnień i namiętności... Miłosiernym cudem Wszechmocnego my tutaj zachowaliśmy pierwotną mądrość, a duchy dobre po dziś dzień są naszymi domownikami. W ciszy, cierpliwości, pokucie i modlitwie zdobywamy panowanie nad sobą, dochodzimy do rzeczy, które wam, ludziom z szerokiego świata, zdają się nadzwyczajne, a są proste i zwykłe: widzimy osoby i zdarzenia odległe, przenosimy w przestrzeni ludzi i przedmioty, wiemy jak odnajdywać rzeczy zgubione, leczyć i końć cierpienia. Potrafimy wybiegać widzeniem w przeszłość i przyszłość, choć w sposób nie zawsze doskonały. Umiemy zapaść w sen podobny do śmierci i wstawać z niego zdrowszymi i odmłodzonymi żyjemy na ogół ponad przeciętną normę ludzkich lat. A jednak...

Tu zamilkł skurczył się w sobie, zdało mi się, że zmałał jeszcze. Zapatrzył się w jakąś nieogarnioną dal... Trwaliśmy w milczeniu, przywarłszy oczami do jego twarzy. Byłem zaskoczony widokiem tego starca, pełnego dobroci i mądrości i tym otoczeniem, tchnącym spokojem. Spodziewałem się przecież odkryć tu gniazdo zła i czarnej magii.

Amga-amga otrząśmy się po chwili z zamy-

ślenia i ciągnął nadal przerwany tok monologu:

— A jednak wciąż jesteśmy tylko ludźmi śmiertelnymi i ograniczonymi. I najdoskonalszy z nas nie może przekroczyć granic skończoności, przeniknąć w niedostępną światłość, w której przemieszkuje Najświętszy. Wiemy, że jest, że jest dobry, żyjemy pośród Jego dobrodziejstw, lecz dzieli nas od Niego jakaś nieprzenikniona ściana... I dziwne, bardzo dziwne: przybywają, do nas coraz częściej ci, nad którymi wasi ziemscy amgowie odprawili tajemniczy obrzęd wody. Są to ludzie prości, niedoskonali, zwykli, zajęci małymi sprawami swych szarych dni, a przecież jest w nich coś niepojętego dla nas, zdumiewającego, jakaś tajemnica, której nasz wzrok nie może uchwycić. Sekret Boski, którego pragniemy zakosztować. za którym tęsknimy... Coś. o czym nasze sędziwe księgi zapowiadają, że przyjdzie z Ziemi, że tam się już stało.

Dostojny amga, umilkł znowu. W jego zapadłych oczach ukazały się łzy. I ja byłem wzruszony. Ci szlachetni poganie tęsknili za zbawieniem, za łaską, którą nam przyniósł Chrystus.

— Jestem pewny — podjął po chwili starzec — że przywiodły was tutaj dobre duchy, a może sam Najwyższy. Słyszałem, że na Lejli znajduje

się wasz amga z Ziemi zwany Nada Piri (Ojciec Piotr). Gdy powrócicie szczęśliwie z wyprawy, uproście go, by przybył do nas. Dobrze?

Skinęliśmy w milczeniu głowami. Byłem zdumiony tym, co słyszałem. Na usta cisnęły się pytania.

— W jaki sposób — odezwałem się — mogliście przechować tę pierwotną mądrość już nie przez tysiące lat, ale chyba tysiące wieków od początku istnienia człowieka i to poprzez rozliczne katastrofy, które nawiedzały i Ziemię i waszą planetę?

— Czym są wszelkie kataklizmy przyrody wobec potęgi ducha? Chociaż z nieba padał grad ognisty, wody morskie wznosiły się podobne do niebotycznych gór, a straszliwe wichry obracały wszystko w perzynę, dobre duchy strzegły pokolenia amgów, aby nie zginęła prawda, którą posiadali. Czy wy tam na Ziemi nie znacie siły ducha, wobec której cała rozszalała potęga żywiołów jest niczym?

Mały amga powstał i wskazał ręką na mały obłoczek, który właśnie nadpłynął; znad morza, i musnąwszy szarą krawędź krateru przeglądał się płochy w wodach jeziora.

— Patrzcie! — zawołał czarownik. Skupił się

w sobie, nateżył. Obłoczek w naszych oczach zaczął strzępić się, rzednął. Nie zdażył dotrzeć do drugiej strony jeziora, a już go nie było. Rozpłynął się w powietrzu.

— Widzicie, cc potrafi myśl ludzka? A czegoż nie może dokonać, gdy ją wspiera moc Boska lub choćby potęga duchów dobrych? Ostatnia katastrofa, która spustoszyła naszą planetę, nie dotknęła tej wyspy. I waszą Ziemię nawiedzi niedługo klęska, którą przetrwają tylko ci, co ufność swoją złożyli w Najwyższym... Idźcie już teraz. Boldu zajmie się wami. Zaopatrzy was we wszystko czego potrzebujecie i udzieli wam potrzebnych wskazówek. Żegnajcie i niech Nieskończony.. ma was w swej opiece!

To mówiąc wstał, uśmiechnął się swoim melancholijnym uśmiechem i wydawszy z siebie dziwny dźwięk uniósł się znowu w powietrze.

Boldu patrzył za nim z uwielbieniem i miłością a i w nas ten mały ciałem amga wzbudził uczucie czci i sympatii. Zatrzymaliśmy się jeszcze parę minut na tarasie, rozpytując naszego przewodnika o życie i zwyczaje dobrych czarowników. Spytałem się też o jezioro, które zdawało się być sztucznie barwione błękitem, bo nie perłowe dziś niebo nadawało mu ten kolor.

Boldu objaśnił, że wody jeziora syciła jakaś wulkaniczna substancja czyniąc je ciężkimi i nieruchliwymi i nadając im lazurowy kolor.

Gdy opuściliśmy taras, było południe. Amegowie wyszli przed swoje domki i śpiewali wspólną poważną pieśń, którą potęgowało echo, odbite od skał. Szliśmy z powrotem podziemnymi chodnikami.

— Czy ty czujesz się tu szczęśliwy? — zadał nagle niedyskretne pytanie Kini.

Boldu zamyślił się.

— Wy tłumacz mi wpierrw, co to znaczy szczęście — powiedział — a wtedy ci odpowiem, en jestem szczęśliwy. W każdym razie nie żałuję, że tu przyszedłem. Czuję się tak, jakbym z ciasnej, brudnej lepianki przeszedł do wspaniałej świątyni. Ściany, się rozszerzyły, widzę więcej, rozumiem lepiej, oddycham swobodniej, lecz niemniej, nie są to jeszcze owe bezkresne, nieogarnione przestrzenie, o których śni moja dusza. Ale, żeby się tam dostać, trzeba chyba przekroczyć próg śmierci... Ale przejdźmy teraz do waszej wyprawy. Czcigodny Xudri nie powiedział wam, że dwa lata temu wybuchł u nas bunt pod przewodnictwem Hazy, jego zastępcy. Ten dumny i ambitny amga od dawna już sta-

czał się duchowo w dół. Zaczął praktykować kontakty ze złymi duchami i zaciekle zwalczał plany skontaktowania się z kapłanem chrześcijańskim. Xudri powinien był działać od razu stanowczo i bezwzględnie, lecz niestety żywił ogromną słabość do Hazy i dłuższy czas patrzył przez palce na jego knowania i podejrzone praktyki. Dzięki tej pobłażliwości buntownik uzyskał wpływ na innych, słabszych i pociągnął kilku za sobą. Wreszcie sam amga-amga doszedł do wniosku, że należy wrzód wyciąć i wygnać precz całą szajkę. Udali się oni na pobliską Ava-Nari i, jak nas doszły wieści, bałamuca i terroryzują tam krajowców. To wszystko straszliwie boli naszego Xudri. Na pewno wyrzuca sobie teraz swoją słabość. Lecz cóż, i najdoskonalsi z nas są tylko ludźmi, więc błądzą... Wasz Kobra musiał skontaktować się z Hazą. Ten ze swoimi przeprowadzić porwanie na odległość dziewczyny, której szukacie.

Wyszliśmy na światło dzienne. W przystani czekała na nas Takila. Część łodzi krajowców, które widzieliśmy uprzednio przez peryskop odpłynęła. Na placyku pozostało tylko kilka kobiet z dziećmi oraz paru rybaków.

— Po co oni tu przyjeżdżają? — zapytałem

Boldu.

— Jedni na leczenie, inni po poradę praktyczną i duchową. Tamtemu chłopcu nóżka krzywo się zrosła po złamaniu, musimy ją wyprostować. Ta znowu dziewczyna o długich czarnych włosach przybyła pytać się o swoją przyszłość i wskazówki, co ma czynić, by się ułożyła szczęśliwie... Nikt stąd nie odchodzi bez pociechy i pomocy.

Nasi towarzysze niecierpliwie oczekiwali wiadomości. W paru słowach opowiedziałem przebieg wydarzeń i szczegóły rozmowy z Xudrim i Boldu, dotyczące przypuszczalnych losów Doroty. Byli nieco rozczarowani. Myśleliśmy, że nasze poszukiwania zakończą się na wyspie czarowników, tymczasem okazało się, że stoimy przeciw nowymi trudnościami i niebezpieczeństwami.

Po południu Boldu przyprowadził ze sobą kilku młodych amgów. Przytaszczyli kosze pełne owoców, oraz kilka gąsiorków z doskonałym orzeźwiającym napojem. Podarowano nam też śliczny serwis stołowy, artystycznie wykonany z różowej glinki przez mnichów. Kiedy poczęliśmy dziękować, Boldu przerwał nam.

— To jeszcze nic — powiedział. — Amga-

amga polecił dać wam coś, co się świetnie przyda do waszej wyprawy. Otrzymał on kiedyś w podarunku od Wenuzjan z Kamiru, którzy tu czasem do nas zagląдают, małą wanaę. Idy jednak wolimy nie używać żadnego z tych wynalazków, które dają człowiekowi poczucie fałszywej wielkości, kłamią mu, że jestem wszechświata... Z grzeczności Xudri przyjął dar, ale teraz oddaje go wam. Tylko kto z was potrafi się z nim obchodzić?

Nikt z nas nie uczył się kierowania wanaę. Będąc jednakże kilka razy wewnątrz latającego dysku śledziłem ruchy pilota i wydawało mi się, że nie trudno byłoby go naśladować. Wobec tego zgłosiłem się obecnie. Makatka waha znajdowała się w grocie, z wylotem na jezioro. Wyglądała na miniaturę planety Saturna. Składała się bowiem z rurowatego pierścienia o średnicy 2 m., wewnątrz którego zawieszona była kula z przezroczystego materiału z czterema siedzeniami wewnątrz. Otworzyłem zasuwane drzwi i zasiadłem na foteliku naprzeciw przyrządów sterowniczych. Były bardzo proste: kierownica, przy niej rączka do regulowania szybkości, pod nogami dwa pedały: jeden do lotu wzwyż, drugi do opuszczania się w dół. Z dużą

tremą nacisnąłem lekko prawy pedał. Wana wzniosła się na metr ponad podłogę grotty. Dotknąłem dźwigni szybkościowej. Latająca kula posunęła się naprzód, przeszła nad zrębem skały i w parę sekund później szybowiała już ponad lazurowym jeziorem. Byłem uszczęśliwiony. Wzniosłem się wyżej, zatoczyłem półkola w lewo i w prawo, po czym opuściłem się ostrożnie na placyk koło przystani, gdzie zgromadzona załoga. Takili przyjęła mnie oklaskami. Napowietrzny aparat był tak mały, że bez trudności umieściliśmy go na pokładzie naszego jachtu. Na wniosek Magdy cenny nabytek otrzymał nazwę „Meteor”.

Boldu udzielił nam wielu ważnych informacji o Ava-Nari, czyli Wyspie Ognistej. Radził nam, żebyśmy się przede wszystkim udali w odwiedziny do plemienia Spaxów, mających swą osadę u ujścia rzeki. Danga,

— Dam wam specjalny amulet — obiecał — po którym poznają, że przychodzicie od nas. Ta rzeka jest główną arterią komunikacyjną wyspy i Spaxowie zbierają u jej ujścia wszelkie wiadomości. Na pewno będą wiedzieli, gdzie się znajduje Haza ze swoimi czarownikami. Wany używajcie rozsądnie. Jeśli zaczniecie latać na

wszystkie strony, niepotrzebnie ostrzeżecie Kobrę. A nade wszystko, przypominam, wzywajcie waszych Akali! Wtedy moc Hazy i jego amgów nie zaszkodzi wam. Pamiętajcie, że jest to wróg niebezpieczny, sprzymierzony ze złymi duchami, przeciw którym wasza broń nie ma znaczenia.

Resztę dnia spędziliśmy zapoznając się z Meteorem. Każdy chciał się na nim przejechać. Radości było co niemiara. Przy okazji też oglądaliśmy całą wyspę i dyskretnie podpatrywaliśmy życie dobrych amgów.

Zachód słońca zastał nas w przystani na pokładzie Takili. Postanowiliśmy spędzić noc na miejscu i wczesnym rankiem ruszyć ku dalszym przygodom. Tymczasem gwarzyliśmy o wypadkach dnia. Robiło się coraz ciemniej. Z głębi wyspy dochodził stłumiony, monotony dźwięk mniszych modlitw. Powietrze przepajał nastrój spokoju i skupienia. Rozmawialiśmy półgłosem, jakby bojąc się spłoszyć tę kojącą atmosferę.

— Czy mógłbyś nam jeszcze raz opowiedzieć swoją rozmowę z najwyższym amgą, Andrzeju? — zwróciła się do mnie Magda. — Dotychczas zdaliście nam tylko bardzo chaotyczną relację.

Rozpocząłem opowiadanie. Gdy doszedłem do momentu, w którym mały amga "przyfrunął" do

nas. Zbyszek zawsze dość sceptycznie nastawiony do wszelkich nadzwyczajności przerwał mi:

— To niemożliwe, żeby on latał własną siłą. Musiał mieć ukryty aparat pod ubraniem.

— Jeszcze mniej prawdopodobne — odparłem — wydaje nam się zniknięcie Doroty, a przecież własnymi oczami widziałem, jak rozwiła się w powietrzu. Teraz niczemu już się nie dziwię. Zresztą ten sam Xudri w kilkanaście minut później spowodował siłą swej myśli rozpląnięcie

— Eeee, po prostu was zahypnotyzował i to wszystko wam się wydawało. Nie dam też trzech groszy za to czy i Dorot nie zahypnotyzowała ciebie i spokojnie nie wyszła drzwiami, śmiejąc się w kułak z twojej naiwności. My jej szukamy nie wiadomo gdzie, a ona wystrychnęła nas na dudków...

Chciałem zaprotestować, ale ubiegł mnie Kini, zwykle raczej małomówny;

— To nie są złudzenia — powiedział stanowczo. — Araru, nasz amga. potrafił latać w powietrzu i czynił to już po swoim nawróceniu, kiedy na pewno nie chciałby nas oszukać. Przed jego chatą wisiał wielki gong. Gdy chciał lecieć, podchodził do niego, uderzał, stawał się lekki i

frrrr... już go nie było. Mógł co prawda latać tylko na niewielkie odległości. Jako dzieci i myśmy próbowali uderzać w ten gong, ale bez skutku. Araru przywiózł go od tutejszych czarowników; twierdził, że został sporządzony specjalnie dla niego...

— I my ich poprośmy, żeby dla nas zrobili takie gongi — zaproponował Aba.

— Zupełnie nam wystarczy Meteor — odparł Zbyszek. — Ale mów dalej, Andrzej, nie potrzebnie ci przerwałem.

Opowiadanie o dobrych duchach wywołało tym razem sprzeciw Paciorka:

— To są pogańskie zabobony. Opowiadania o aniołkach dobre są dla małych dzieci, nie dla nas...

— Ty, Jacusiu — odpałem nieco niecierpliwie — urosłeś na wielkiego chłopca, ale twoje wiadomości religijne pozostały tak krótkie jak koszulka niemowlęcia. O istnieniu Aniołów poucza nas Boże objawienie. Nie są to jakieś elfy z motylimi skrzydłami z opowiadań dla grzecznych dzieci, lecz potężne umysły, które mają w tym świecie, zdaje się, o wiele więcej do powiedzenia niż przypuszczamy. To, co amga-amga mówił nie stanowiło dla mnie rewelacji. Aniołowie

stanowią część natury i nie można ich z niej wyłączyć, nie zniekształcając jednocześnie całego obrazu. Jakie są ich zadania, dokładnie nie wiemy. Św. Tomasz z Akwinu twierdził za greckimi filozofami, że to oni poruszają ciała niebieskie. Człowiek współczesny skłonny jest na takie zdanie wzruszyć pogardliwie ramionami. A jednak czy przypadkiem starożytni myśliciele nie wykazali głębszej od niego wnikliwości w tajemnice natury?

— My dziś wiemy — ciągnąłem dalej z wzrastającym zapalem — że to siła grawitacji utrzymuje gwiazdy i planety w ruchu i harmonii, ale powiedzcie mi, czym jest w swej istocie siła ciążenia? Podobnie: co to jest materia? co to jest życie? Zwiększył się niezmiernie zakres naszej wiedzy, ale jeszcze bardziej pomnożyła się ilość znaków zapytania, stojących przed ludzkim umysłem. Wiek ubiegły stworzył mechanisty czny, bezduszny obraz świata. My dziś wyzwoliliśmy się z niego, w otaczającym nas kosmosie coraz więcej odkrywamy myśli, wolności, coraz więcej w nim miejsca właśnie dla Aniołów. Czytałem np. jeszcze na Ziemi książkę jednego z wybitnych, biologów. *) Z dużą odwagą pisze on o istnieniu jakiegoś kierującego umysłu dla każ-

dego z gatunków roślin i zwierząt. Nazwijmy ten umysł Aniołem, a będzie to właśnie to o czym mówił nasz amga. Lecz to są na razie tylko hipotezy naukowe. Dla nas obecnie ważne jest to, co wiemy z objawienia Bożego, że każdy z nas ma swego ducha opiekuńczego... Zwróćcie uwagę choćby na wypadek ostatniej nocy. Jestem przekonany, że to nie był sen. Ów buntowniczy Haza za poduszczeniem Kobry chciał mnie zamordować na odległość, by uniemożliwić pościg.

**) Alister Hardy, podobnie fizyk Whately Carington (cyt. za Rosalindą Haywood „The Sixth Sense“).*

Co go powstrzymało? Wierze, że był to mój Anioł Stróż. Wszystkich was zachęcam, żebyście skorzystali z ostrzeżenia Xudri i Boldu.

— Choć jestem z natury sceptykiem — odezwał się Zbyszek — to jednak popieram twoje zdanie, Andrzeju. Nie wiem, czy wszyscy mogli podążyć za biegiem twojej myśli, choćby z powodu trudności językowych, ale mniejsza o te uczone wywody. Ja wierzę w Anioła Stróża już choćby dlatego że sam doświadczyłem jego opieki. Raz w Niemczech w głębokim zamyśleniu (było to właśnie po zniknięciu Magdy) zamierzałem

przejsć na drugą stronę ruchliwej ulicy. Nie rozejrzawszy się przedtem, czy coś nie nadjeżdża, stawiałem już pierwszy krok na jezdni. W tej samej sekundzie ktoś chwycił mnie za ramiona i szarpnął do tyłu. Szszsz... jak strzała mignął mi tuż przed nosem amerykański samochód, jadący przy samym chodniku. Zrobiłby ze mnie miazgę. Spocony z wrażenia oglądałem się za siebie, by podziękować wybawcy. Nie widzę nikogo ani za mną, ani w pobliżu. Sami powiedzcie, kto to mógł być?

— Hmmimn... — mruknął Paciorek — i mnie raz w czasie walk partyzanckich w Górach Świętokrzyskich pchnęło coś w bok z całej siły. Inaczej dostałbym prosto w czoło łyżką granatu, która świsnęła mi tylko koło ucha. Ale może można to jakoś wytłumaczyć działaniem podświadomego instynktu, reagującego na niebezpieczeństwo szybciej, niż świadomość...

— Uch! — stęknął nagle. — Czemuś mnie stuknęła tak mocno w bok? Com ci zawinił? — zwrócił się do siedzącej obok Magdy.

— Jakoś cię podświadomość nie ostrzegła przed moim kuksańcem — odpowiedziała śmiejąc się. — Widzisz, co warta twoja teoria? Jak z rękawa posypały się opowiadania o różnych

nadzwyczajnych doświadczeniach, których każdy z nas w życiu doświadczył. Miła pogawędka przeciągnęła się do późna w nocy.

ROZDZIAŁ VI

GÓRA STRACHÓW

Zbudziłem się przed samym świtem. Czując, że już nie zasnę, udałem się do wieżyczki z przyrządami sterowniczymi i wyprowadziłem Takilę na pełne morze. Różowane mgły snuły się już nad falami. Widoczność była bardzo słaba, ale Takila potrafiła „patrzyć” poprzez mgłę dzięki

swym radarowym urządzeniom. Jechałem powoli. Po co spieszyć się? Ava-Nari leżała, zaledwie w odległości 30 mil od wyspy amgów.

Gdy słońce wytoczyło się spoza horyzontu, zjawił się na pokładzie Kini. Stał na dziobie łodzi i wpatrywał się w dal w zamyśleniu. Mgła raz po raz zasłaniała go. przed moim wzrokiem. Wreszcie zbliżył się do mnie cały mokry od rosy.

— Boldu zapomniał wczoraj dać nam amulet, który miał być znakiem rozpoznawczym dla Spaxów - odezwał się zamiast zwykłego powitania. - Zbyttnio pospieszyłeś się z odjazdem. Może warto by jeszcze zawrócić?

Nie zdążyłem odpowiedzieć. Coś mignęło w powietrzu. Na szyi Kiniego ukazał się naszyjnik z niebieskich muszelek z zawieszonym u dołu kościanym kółkiem.

— Co za fantastyczna pocztą!— wykrzyczałem — Powiedz w myśli „dziękuję”.

Boldu na pewno cię usłyszy.

Kini skłonił się w kierunku wyspy amgów. Po czym westchnął głęboko:

— Wiesz co, Andra — powiedział — ci amgo wie byli dla nas bardzo grzeczni i wizyta u nich stanowiła dużą przyjemność, ale opuszczam ich wyspę z ulgą. Wolę ten nasz świat, bardziej

przyjemny i zwykły, ale nasz. Kiedy dopływaliliśmy do wybrzeża Wyspy Ognistej, tuman mgły, ścielący się nisko, nadal zasłaniał mi widok.

Ekran przy przyrządach sterowniczych wskazywał brzeg dobrze ukształtowany poszarpany w liczne zatoczki i wysepki, pokryty gęstą roślinnością. Płynęliśmy dalej na południe z zamiarem dotarcia do ujścia rzeki Danga. Oddałem ster Zbyszkowi.

— Płyn dalej wzdłuż brzegu, — powiedziałem mu — a ja wezmę Kiniego i Paciorka i polecimy Meteorem na rozpoznanie.

Wznieśliśmy się w powietrze. Popod nami została warstwa mgieł, błyszcząca jak mityczne złote runo. Przebijał się przez nią wielki ład, wpatrzony w niebo oczodołami olbrzymich gór pierścieniowych i wulkanicznych kraterów. Nad tymi ostatnimi snuły się tu i ówdzie welony różnobarwnych dymów — groźne znaki siły, drzeмиącej wewnątrz ziemi.

Warto tu zaznaczyć, że góry pierścieniowe z płaskimi równinami w swoim wnętrzu powstały — jak mnie kiedyś objaśniła jeszcze Lena — wskutek bombardowania powierzchni planety przez meteory o niesłychanej wielkości. Są to więc nie tyle „kratery”, jak się je często niezbyt

właściwie nazywa, ale raczej kolosalnie leje po bombach, spadłych w zamierzchłej przeszłości z przestrzeni międzyplanetarnej. Pełno ich jest na ziemskim księżycu, a nie mało i na Wenus. Ziemia nie wykazuje śladów takiego bomborodowania, ale jej skorupa w tym czasie mogła być jeszcze na tyle płynna, że zadane rany zasklepiły się szybko.

Ava-Nari posiadała w swym wnętrzu pięć takich gór pierścieniowych o średnicy od kilkunastu do kilkudziesięciu kilometrów, ale nie ku nim teraz kierowaliśmy swój lot. Prowadziłem naszą napowietrzną gondole, wzdłuż piaszczystego wybrzeża, coraz wyraźniej wyłaniającego się spośród mgły. Ocieniała je niezwykła dżungla. Tworzyły ją głównie palmy, które najwłaściwiej należało by nazwać „drzewami łubinowymi”. Bo czyż nie był to nasz ziemski łubin, tylko gigantycznych rozmiarów? Ponad wachlarzami rozchodzących się gwiazdźście długich liści wystrzelały w górę kiście wielkich, łódkowatych kwiatów o barwach pastelowych.

Od strony lądu powiał wiatr, spychając resztę mgły na, morze. Poczęły się ku nam. kiwać palmy w niemyim pozdrowieniu. Widzieliśmy teraz dokładnie poszarpaną linię brzegu i pły-

nać Takilę. Wtem Kini schwycił mnie za rękę, wskazując na prawo: spomiędzy drzew sączyła się smużka siwego dymu.

Zakręciłem pod ostrym kątem. Głęboko w ląd wrzynała się wąska zatoka. Opuściliśmy się tuż ponad jej powierzchnię. Na piasku leżała mała łódka. Za nią ściana zieloności rozstępowała się, ukazując przytulną polanę. Pochylona nad ogniskiem postać kobieca w podniszczonej sukience wydała mi się znajoma. Zatrzymałem Meteor tuż za nią. Aparat nie wydawał żadnego dźwięku, nie mniej dziewczyna obejrzała się. Naczynie, które trzymała w ręku wypadło i potoczyło się w płomień. Spojrzały na nas zdumione bladoniebieskie oczy naszej dobrej znajomej — Miss Mary.

Ochłonałem pierwszy ze zdziwienia i wychylając się z wany, odezwałem się tak naturalnym głosem, jak byśmy się rozstali wczoraj.

— Good morning, Miss Mary! Nice day, isn't it? (Dzień dobry, panno Marysiu, piękny dzień, nieprawdaż?)

— Andy, the pirate! — wkrzyknęła radośnie. — Oh, you don't know what I went through! It was terrible! How did you find me here? (Nie masz pojęcia, co ja przeżyłam. To było straszne!

Jakżeście mnie tu znaleźli?).

Historia Miss McGuire była prawdziwie dramatyczna. Jej brat okazał się łapaczem niewolników. Wracając na swoją plantację napadł na wioskę tubylczą i napakował na dno swego statku koło trzydziestu krajowców. Mary protestowała, błagała, by ich wypuścić. Przypominała pradziadka, który w wojnie cywilnej padł pod Gettysburgiem po stronie Północy przypominała nieboszczkę matkę, wzór prawości i dobroci. Brat odpowiadał tylko wzruszeniem ramion lub cynicznym słowem. Wtedy dzielna bostonianka zdecydowała, że nie chce mieć z nim nic wspólnego. Gdy zatrzymali się na noc u wybrzeża jakieś kilkanaście mil od miejsca, gdzieśmy ją obecnie znaleźli, obezwładniła strażnika zatrutą strzałką otrzymaną kiedyś od Aby w prezencie. Zabrała strzelbę, nóż i tyle przedmiotów mogących się przydać, ile znalazła na podorędziu, odwiązała łódkę i odpłynęła. Wiosłowała całą noc przemykając się pośród przybrzeżnych ławic i wysepek. Rano skryła się w dżungli. Następnej nocy popłynęła dalej. Nie wiedziała, czy ją brat ściga czy nie. Po paru dniach znalazła tę zatokę i zatrzymała się tu aż dotąd, niepewna co czynić dalej.

Patrzyłem z podziwem na pulchniutkie stworzonko, w którym nigdy nie podejrzewałem tyle rezolucyjności. Bądź co bądź to, by się zdecydować na samotną ucieczkę w nieznaną dżunglę, na obcej planecie, wymagało nie byle jakiej odwagi.

Odstawiliśmy Amerykankę na pokład Takili, a sami szybowaliśmy dalej wzdłuż linii brzegowej. W godzinę później dostrzegliśmy czerwonawe wody rzeki Donga. Siedziby plemienia Spaxów leżały na jej lewym brzegu nad szerokim zalewem, osłoniętym kilku wysepkami i łachami piasku. Chaty tubylców były niemal niewidoczne od strony wody, bez trudy jednak dostrzegliśmy je z powietrza.

Na widok zniżającej się szklanej kuli cała ludność wioski rzuciła się do ucieczki w głąb lasu. Po wylądowaniu na piaskowym wybrzeżu zastaliśmy tylko czółna w przystani i puste chaty. Stałem z Kinim przy aparacie, naradzając się, co robić. Przedsiębiorczy Paciorek z promieniówką w rękę zabrał się do przeglądania, wnętrza chat. Przy trzeciej z kolei począł wzywać nas znakiem ręki.

Podbiegliśmy. Chata wzniesiona była na palach. Wchodziło się do niej po drabinie.

— Tam na górze — objaśnił nas Paciorek

w swoistym dialekcie — jakaś stara „skleroza” dogorywa sobie spokojnie. Może się od niej czegoś dowiemy. Straszliwie grube babsko...

— Idź, Kini — powiedziałem — ty się najłatwiej dogadasz.

Ledwo Kini postawił stopę na drabinie, zza chaty doszedł nas szelest i głuchy stuk. To owa "skleroza" zsunęła się w dół po palu i chyżością młodej łani zniknęła w puszczy, zanim w ogóle zorientowaliśmy się, co się stało.

-- Nie bardzo wygląda na "dogorywującą"- rzuciłem ironicznie. - Co teraz zrobimy?

-- Musimy odlecieć - Powiedział Kini po chwili zastanowienia. — Przedtem zostawię na piasku kilka znaków, które powinny ich przekonać, że przybywamy w dobrych zamiarach.

— Może był tu rozkoszny braciszek naszej Mary i dlatego tak się boję? - zrobił przypuszczenie Paciorek - Boldu zapewniał nas przecież, że to bardzo gościnne plemię.

— Zwróć uwagę na ten mały szczegółik, żeśmy przylecieli z nieba — odpowiedziałem. - Może takich odwiedzin jeszcze nie mieli.

Kini wyrysował na mokrym piasku szereg znaków i zatknął trzy zielone gałązki równej długości, po czym wsiedliśmy do Meteora i po-

lecieliśmy ku Takili.

Kiedy w dwie godziny później przemknąwszy się między dwoma mieliznami, dopływał do wioski Spaxów, ujrzeliśmy całe plemię, zgromadzone na wybrzeżu w postawie wyczekującej, bez oznak serdecznego powitania ale i bez wyraźniej wrogości. Nie byli uzbrojeni. Ubiór posiadali bardzo różnorodny: od całkiem rajskiego, poprzez najrozmaitsze przepaski z piór, skóry lub barwnej materii, aż po europejskie spodnie, które jeden osobnik nosił z wyraźną dumą i tyłem do przodu. Tłustość musiała u tego ludku uchodzić za wyraz urody, bo kształty były na ogół bardzo obfite, w kilku przypadkach, aż karykaturalne. Rasowo Spaxowie byli mieszańcami Kuwilińczyków i Nauińczyków. Mówili wszakże narzeczem kuwilińskim.

Takila dobiła do brzegu. Mierzyło nas uważnie ze dwieście par oczu. Kini wziął amulet amgów w rękę i niosąc go wysoko wyskoczył na piaszczyste plażę; Na widok amuletu po tłumie jakby przebiegł prąd elektryczny: drgnał, zafalował i rzucił się ku nam z przyjaznym powitaniem.

Wysiedliśmy wszyscy na brzeg i znaleźliśmy się pośród wiwatującej gromady. Uciszył swoich

współplemieńców Ualda, naczelnik, korpulentny jegomość w sile wielu i o dobrotliwej twarzy, ozdobionej u dołu trzema podbródkami. Zapytał, kto jest wodzem wyprawy. Gdy Kim wskazał na mnie. Ualdu i jego podwładni okazali pewne dyskretne rozczarowanie, wszystkie oczy bowiem kierowały się przecie wszystkim ku Paciorkowi. Jak przekonaliśmy się wkrótce, za imponowała dzikim nie tylko jego muskularna, jakby z pnia dębu wyciosana postać, ale głównie mnogość jego piegów i pierś włochata — obie właściwości nie widziane dotąd na Ava-Nari. Spaxowie koniecznie chcieli się dowiedzieć, jakim sposobem tak cudnie ozdobił swoje ciało. Gdy wyjaśnił, że owe wdzięki posiada od urodzenia, ogólny zachwyty wzrósł jeszcze bardziej.

Podczas gdy podziwiano mego druha, wódz Ualda udał się z Kinim i ze mną w towarzystwie dwóch starszych plemienia do „sali obrad”. Był to zwykły, okrągły szałas trzciniowy, tyle tylko, że podtrzymywany przez misternie rzeźbione pale. Zasiedliśmy w kucki naprzeciw siebie, a dziewczę o pełnych kształtach w trawiastej spódniczce rozdało nam gliniane kubki, napełnione złotawą ciecżą. Napój był smaczny i pobudzał myśl do zwawszego lotu.

Wyłożyliśmy otwarcie cel wyprawy. Gdy wspomnieliśmy zbuntowanych amgów, twarze krajozców zmaćił przestach. Jak na komendę wszyscy trzej położyli lewą dłoń na ustach oglądając się niespokojnie. Ualda zaklaskał w dłonie. Chłopak o kędzierzawej czuprynie przyniósł skórzany woreczek oraz okrągły kamień z wyżłobieniem pośrodku. Za chwilę miły zapach wonnego dymu wypełnił szalas. Trzej nasi rozmówcy szeptali tajemne zaklęcia, a rękami wykonywali takie ruchy, jakby ich nagle opadły osy. Gdy dziwny obrzęd dobiegł końca, Ualda zwrócił się do nas z objaśnieniem:

— Źli amgowie mają długie, długie uszy. I z oddali słyszą, gdy się o nich mówi. Prosiłiśmy dobre duchy, by nas osłoniły. Teraz możemy rozmawiać bezpiecznie.

Dowiedzieliśmy się od niego, że Haza ze swoją bandą osiedlił się w głębi wyspy w ruinach starożytnego miasta. Leżało ono we wnętrzu jednej z gór pierścieniowych, gdzie też od niepamiętnych czasów miało swoje siedziby plemię Abgajów. Jedyne przejście, pilnie strzeżone, prowadziło koło pewnego wodospadu. Kto usiłował dostać się do wnętrza góry inną drogą, tego napadały złe duchy i tak męczyły, że tracił rozum

umierał ze strachu. Dlatego ów krater nazywano Górą Strachów. Od dawien dawna zażywała ona tej złej sławy. Co zaś musi się tam wyprawiać strasznego obecnie, po zjawieniu się czarowników? Było to zagadką dla wszystkich, jak Abgajowie mogli wytrzymać w takich warunkach. Musieli chyba oddać swe dusze szatanowi.

Kobra zjawił się na wyspie kilka tygodni temu. Przywieźli go rybacy nieznanego plemienia. Zabawił krótko u Spaxow, niewiele co mówił, po czym udał się w górę rzeki, zdążając do tej samej diabelskiej góry. Odtąd nic o nim nie słyszano.

Ualda z niezwykłą elokwencją odradzał nam wyprawę do Góry Strachów. Widoczne było, że boi się zemsty czarowników za ewentualne udzielenie nam pomocy. Gdyby nie amulet, który przywieźliśmy od Xudri, w ogóle nie chciałby z nami rozmawiać. Z wielką też niechęcią przystał po długich targach na przydzielenie nam dwu przewodników.

Na podstawie usłyszanych informacji zrodził się w mojej głowie następujący plan. Do dostania, się w głąb ładu postanowiłem wykorzystać Meteor, jazda bowiem Takilą w górę rzeki

niewątpliwie zaalarmowałyby Haze i Kobre. Tak natomiast moglibyśmy urządzić desant dość blisko siedzib czarowników i to od strony, z której najmniej mogli się nas spodziewać. W owe „strachy”, przed którymi ostrzegał Ualda, niezbyt wierzyłem. Podejrzewałem, że są jego wymysłem. W wyprawie wzięliby udział Kini, Paciorek, ja i dwaj Spaxowie przewodnicy.

Wyszliśmy przed szalas rady. Naczelnik plemienia począł wydawać rozporządzenia co do nieodzownej uczty i zabawy dla uczczenia gości. Rozpocząłem zwiedzanie wioski, której chaty, ozdobione barwnymi tarczami i drewnianymi posążkami, rozrzucone były na szerokiej przestrzeni pośród lubinowych palm. Wtem uszu moich dobiegł przeraźliwy pisk. Zaraz po nim usłyszałem krzyki, gwałtowną kłótnię i znowu pisk. Pobiegnęłam w kierunku zamieszania. Za mną puścił się klusem Ualda.

Przed jedną z chat stał tłum krajowców. Machano żywo rękami i wykrzykiwano. Pośród gromady dostrzegłem aktorów dokonywującego się dramatu. Główną rolę grała nasza bostonianka, która przywarłszy plecami do wielkiego słupa, podtrzymującego chatę, zasłaniała się od przodu wielką, skórzaną tarczą. Trzy kroki od

niej czupurny Aba usiłował wyrwać tęgiej dzi-



Bostonianka... zasłaniała się od przodu wielką, skórzaną tarczą. Trzy kroki od niej czupurny Aba usiłował wyrwać tęgiej dzikusce zieloną zebę.

kusce zieloną zelę, która jeszcze parę minut temu kryła pulchne wdzięki Miss Mary. Dzikuska starała się odpędzić chłopca, krzycząc przy tym ile sił w płucach. W jej głosie brzmiało święte oburzenie. Na piasku między aktorami dramatu leżał porzucony posążek.

Na mój widok bostonianka uderzyła w płacz i błagała, bym dopomógł odebrać jej zelę. Aba usiłował wyrwać tęgiej dzikusce zieloną zelę w tej władnie chwili otrzymał potężny cios nogą i potoczył się w piasek. Uwolniwszy się w ten sposób od niego dzikuska rzuciła się ku naczelnikowi plemienia i poczęła przedstawiać mu swą sprawę. Ja zaś zwróciłem się do zaambarasowanej Mary po wyjaśnienia.

Oto co zaszło. Pożyczywszy od Magdy zelę, w miejsce swej podniszczonej sukni. Miss Mary ruszyła, jak i inni członkowie załogi Takili, na zwiedzanie wioski. Jako prawowita Amerykanka miała w swej krwi gorącą namiętność do zbierania pamiątek. Spodobala się jej owa figurka, obecnie leżąca w piasku. Wzięła ją w rękę i oglądała na wszystkie strony. Tymczasem z chaty wyszła młoda dziewczyną. właścicielka posążku. Widząc go w rękach cudzoziemki, pokraśniała z radości i podbiegając do Mary, dotknęła jej zeli

wskazującym palcem. Bostonianka słusznie zrozumiała, że jest to propozycja zamiany. Jednakże pożyczone okrycie nie mogło być przedmiotem handlu, toteż panna. Marysia pokręciła przecząco głową. Co wszakże jest znakiem przeczenia w jednej okolicy, może być wyrazem zgody w innej. Tak się też sprawa miała na Ava-Nari, gdzie się przytakuje, kręcąc głową. Nic więc dziwnego, że tubylcza dziewczyna, zadowolona z domniemanej transakcji, przystąpiła od razu z niezwykłą zgrabnością do ściągania z cudzoziemki nabytego towaru.

Nim się Mary zorientowała, już jej zielona zela przeszła do rąk dzikuski, która zaczęła ją przymierzać wśród pomruku podziwu i zazdrości współplemieńców. Mary, ujrawszy się nagle w sytuacji, która dla dzikich jest rzeczą normalną, lecz człowiekowi cywilizowanemu zdaje się raczej krępująca, wydała z siebie pisk i usiłowała odzyskać swoje okrycie. Gdy się to nie udało, w rozpaczy porwała stojącą obok wielką tarczę, by się nią osłonić. Na pomoc poszkodowanej pierwszy nadbiegł Aba i bez pytania rzucił się do walki. Na ten właśnie mement zjawiliśmy się i my.

Ualda zbadawszy sprawę, zawyrokował, że

transakcja była uczciwa i prawnie zawarta i dziwi się, czemu cudzoziemka żywi jakieś pretensje. Tłumiąc z trudem pusty śmiech, który mnie począł ogarniać, powstrzymałem Abę od nowego ataku i wysłałem go na Takilę po druga zelę. Zjawił się z nią w parę minut później i cała awantura zakończyła się szczęśliwie. Mary była początkowo straszliwie wzburzona, ale w godzinę później już sama śmiała się z tego zabawnego incydentu.

Wieczorem uroczystość na naszą cześć była po prostu prozaicznym obżeraniem się przy dźwiękach raczej prymitywnej muzyki. Trzeba przyznać, że jedzenie było doskonałe i obfite. Obok mięsiwa, owoców i napojów różnego gatunku zajadaliśmy się pieczonymi grzybami o smaku naszych rydzów. Na Lejli stanowiły one rarytas, natomiast było ich pełno, poza tym, że były wyśmienite w smaku, miały, jak się dowiedziałem, niezwykle własności tuczące. Toteż nic dziwnego, że przepadający za nimi Spaxowie łatwo dochodzili do imponującej okrągłości kształtów.

* * *

Wstaliśmy nazajutrz z kwaśnymi minami, bo z powodu przejedzenia się w czasie uczyt spaliśmy kiepsko. Pogoda pogorszyła jeszcze nasze humory. Niebo zachmurzyło się i co kilkanaście minut raczyło nas ulewnym prysznicem. Byłem już skłonny odłożyć wyprawę do następnego dnia, gdy nadbiegł naczelnik plemienia z wiadomością, że w czasie nocy zniknął jeden z jego ludzi, od dawna podejrzewany o konspiracyjność z Haza. Najprawdopodobniej udał się w górę rzeki, by ostrzec czarowników o naszych zamiarach.

— Skąd mógłby się dowiedzieć o planowanej wyprawie? — odpowiedziałem Ualdzie z wątpliwością w głosie. — Wiesz o tym tylko ty i dwaj twoi radni, reszta myśli, że jesteśmy w dróznikami i zaraz ruszamy w dalszą drogę do innych wysp.

— A! Wszyscy już dowiedzieli się o waszych zamiarach - odparła Ualda. - Ten mały - wskazał na Abę — wygadał się.

— Ja nic nikomu nie mówiłem — zaperzył się Aba. — Ta tylko rozpytywałem się o złych amgów... no i powiedziałem, że my im pokażemy, bo już nie takich pokonywaliśmy... Andra jest wielki wojownik...

— Oj, Aba, Aba — odpowiedziałem — zapamiętaj sobie na zawsze, że jest to cnota nad cnotami, trzymać język za zębami.

Trzeba więc było się spieszyć. Wsiadłem z Kinim i dwoma krajowcami do Meteoru i w trzy kwadransy później wylądowaliśmy w dżungli u podnóża krateru, zwanego Górą Strachów. Gdybyśmy tą samą drogę chcieli odbyć pieszo, za brałoby nam to przynajmniej tydzień, jeśli nie więcej. Puszcza była pierwotna, dzika, trudna do przebycia.

Pozostawiwszy Kiniego i dwu Spaxów nad brzegiem strumienia spływającego z góry, wzbiłem się w powietrze, by przywieźć reszta gromady. Postanowiliśmy, że cała załoga Takili zapozna się z terenem. Mogło się to przydać. Mieliśmy pozostawać w łączności radiowej ze statkami i w razie jakiejś potrzeby zawezwać Meteor na pomoc. Lecąc w pierwszą stronę starałem się zapamiętać charakterystyczne szczegóły terenu — teraz bez trudu odnalazłem szlak powrotny. Deszcz przestał padać, wypogodziło się. Wzrok mój z przyjemnością spoczywał na rozpostartej podę mną dżungli parującej wilgocią. Od lubinowych palm dochodził aż do mnie upajający zapach ich olbrzymich kwiatów.

Gdy przywiozłem ostatni żywy „ładunek”, z polanki nad strumieniem przywitały nas odmienne wonie. To dwaj przewodnicy zdążyli upolować dziką świnkę i teraz piekli ją na zaimprovizowanym rożnie. Postanowiliśmy tu w puszczy zjeść obiad. Dopiero po nim Zbyszek, nasze i Aba mieli odlecieć z powrotem wioski. Spaxów, a reszta nas miała ruszyć w górę strumienia, spływającego po zboczu Góry Strachów.

Meteor spoczywał w krzakach. Podczas gdy przewodnicy zajmowali się przyrządzeniem posiłku, my chłodziliśmy się w wodzie strumienia. Wreszcie posiłek był gotowy i całe towarzystwo rozsiadło się wygodnie pod konarami rozłożystego drzewa, którego gęste liście dawały mocny cień. Przy dobrym jedzeniu humory poprawiły się znacznie i dość optymistycznie patrzeliśmy w przyszłość. Nawet Imla i Aba pogodzili się już z faktem, że odmówiłem im udziału w wyprawie.

Wesoły zawsze Zbyszek opowiadał właśnie jeden ze swoich kawałów, gdy Aba zerwał się z ziemi i jak strzała rzucił ku Meteorowi... o parę sekund za późno... Szklana kula uniosła się pionowo w górę i zatrzymała z 50 metrów ponad naszymi głowami. Z jej wnętrza spoglądały ku nam

pyszczki dwu zastraszonych małpek. Ciekawskie, korzystając z naszej nieuwagi, weszły do wnętrza i któraś z nich musiała przycisnąć pedał wysokościowy.

Byliśmy zrozpaczeni i wściekli. Meteor był tak blisko, a przecież niedosięgły. Co robić? Kini wpadł na pomysł, żeby do strzały przywiązać linkę i przerzucić ją przez rurowe koło. Gdyby to udało, można by następnie przywiązać i podciągnąć do góry grubszą linę, po której Aba wdrapałby się już z łatwością. Mieliśmy ze sobą świetne kuwilińskie łuki, ale brakowało cieniutkiej linki. Kini zakrzętnął się koło jej sporządzenia.

Patrzyliśmy w górę z napięciem. Aba krzyczał na małpki — jakby mogły go zrozumieć — zaklinając je, żeby się nie ruszały i nie dotykały więcej niczego. Jedna z nich wyskoczyła na rurowate koło i obiegła je kilka razy z zadziwiającą zręcznością. Drugiej nie było widać. Wtem Meteor drgnął znowu, obniżył się o dwadzieścia metrów i zatrzymał.

— Szybciej! Szybciej! — wołaliśmy na Kiniego, który ściał już kilka cienkich pnączy i oczyszczał je teraz z liści.

Niestety małpy nie zrezygnowały z ambicji

lotniczych, w pewnej chwili Meteor ponownie ruszył z miejsca. Tym razem poszybował nad dżunglą w kierunku odwrotnym, niż Góra Strachów. Aba wspiał się zaraz na najwyższe drzewo, ale zsunął się zeń wkrótce i bezradnym ruchem rozłożył ręce:

— Ani śladu...

— To i dobrze — rzekła z nieoczekiwanym zadowoleniem w głosie Imla. — Teraz przynajmniej i nas musicie wziąć na wyprawę.

— Musimy, nie musimy — odparłem zgnębiony wypadkiem — powinienem was odesłać do wioski Spaxów z jednym przewodnikiem...

— Po to, żebyśmy po drodze wpadli w ręce dzikich — przerwała Magda — lepiej nie rozstawajmy się.

Była to prawda. Między miejscem, gdzie znajdowaliśmy się obecnie, a osadą Spaxów, leżało terytorium plemienia Mzauri, które nie cieszyło się dobrą sławą. Co innego było przelecieć ponad nimi bezpiecznie Meteorem, co innego przedzierać się dżunglą. I za nami i przed nami czyhały niebezpieczeństwa, lecz zawsze lepiej stawiać im czoła w gromadzie.

Po skończeniu więc posiłku ruszyliśmy od razu w górę strumienia. Szedłem na czele pocho-

du z Abą i dwoma przewodnikami. Za nimi postępowali Zbyszek z Magdą potem Kini z Miss Mary, którą mu oddałem pod specjalną opiekę. Straż tylną naszego "safari" stanowili Paciorek z Imlą. Między tymi dwojgiem panowała, coraz większa harmonia. Odkąd Jacek przestał wzdychać i przy brał maskę obojętności, dziewczyna sama zaczęła szukać jego towarzystwa i obdarzać go cieplejszymi spojrzeniami. Teraz zaś, kiedy powierzyłem Paciorkowi opiekę nad nią, mruknęła co prawda pod nosem.

— Nie wiadomo kto bardziej potrzebuje opieki — ale nie protestowała i nawet dostrzegłem na jej twarzy wyraz zadowolenia.

Zniknięcie Meteoru zrobiło na naszych przewodnikach deprymujące wrażenie. Przejęło te słabe dusze zabobonnym podziwem. Dopatrywali się w tym niewidzialnej ręki czarowników i widać było po ich rumach, że najchętniej czmychnęliby w las, pozostawiając nas na łasce losu.

Dżungla wokół nas radowała oko swą pięknnością, ale stanowiła ciężką przeszkodę dla posuwania się naprzód, żałowałem po niewczasie, że dla nadmiernej może ostrożności nie wylądowaliśmy bliżej celu wyprawy. Zwalone pnie tarasowały nam drogę. Gęste festony pna-

czy najrozmaitszego gatunku oplatały nasze ciała trudną do rozwikłania siecią. Nasi przewodnicy nieustannie musieli machać czymś w rodzaju krótkiej szabli, wycinając w gąszczu wąskie przejście. Miałem co prawda ze sobą podarowany przez Narę dezintegrator, który obracał w proch wszystko, na co padły jego promienie, ale zarazem tyle sprawiał huku i wznosił takie tumany kurzu, że o naszym marszu wiedziano by na kilka kilometrów wokoło.

Wreszcie weszliśmy w las o niesamowitym kształcie, gdzie posuwanie się naprzód stało się prawie niemożliwe. Drzewa o krótkich pękatych pniach wypuszczały potężne korzenie już na wysokości dwóch, a nawet trzech metrów nad ziemią, nasuwając porównanie z owymi bajkowymi "kurzymi łapkami", na których czarownice zakładały swe domki. Rosły bardzo blisko siebie, a korzenie ich tak były wzajem poplątane, że tworzyły naturalną zaporę niesłychanie trudną do pokonania. Patrzyliśmy bezradnie na to plątaństwo.

— Pal licho ostrożność — wyrwał się z rada Paciorek — musimy użyć dezintegratora...

— I znaleźć się w sytuacji wojska króla Olbrachta — odparł Zbyszek. — Przecież, jak

zniszczymy korzenie, to pnie zwałą się nam na głowy.

Jedyną drogą, która nam pozostała, było koryto strumienia. Woda mile chłodziła rozpalone dusznym upałem ciało, ale bystry prąd, liczne głazy, lub leżące w poprzek pnie niezmiernie utrudniały brodzenie. Dobrze, że po godzinie puszcza zrzędła i mogliśmy z powrotem wyjść na brzeg.

Mimo tych różnych przeszkód, które stawiała nam na drodze, dżungla wenuzjańska ma jedną zdecydowaną zaletę w porównaniu z ziemską: brak w niej niebezpiecznych zwierząt i dokuczliwych owadów. Nie groził nam tu żaden lew, pantera, wąż trujący czy boa dusiciel, moskity nie gryzły ciała. Wszakże i tu ze strony miejscowej fauny spotkała nas mała przygoda.

Po wyjściu ze strumienia zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Członkowie safari rzucili j się z ulgą na miękkie niech w cieniu wielkiego drzewa. Jeden ze Spaxów zniknął i po chwili wrócił z doskonałymi owocami „uaku”, sycącymi pragnienie i głód.

Zbyszek i Magda po zjedzeniu owoców usunęły się na bok i rozłożywszy się przy wielkim, żółtym kamieniu o dziwnie regularnym kształ-

cie, coś żywo dyskutowali. *Ich* rozmowa nie miała trwać długo. Zajęty byłem właśnie rozłupywaniem orzecha amru, który przyniósł Aba, gdy za moimi plecami rozległ się przeraźliwy śmiech połączony z jękiem i piskiem. Zerwaliśmy się wszyscy. Na mchu w spazmach śmiechu tarzali się Zbyszek i Magda.

— Rrrrrrrratanku, bo skonam! — wykrztusił z siebie młody małżonek, zanosząc od śmiechu. Myśleliśmy, że to żarty z wyjątkiem Spaxów podbiegliśmy niebacznie do obojga.

— Co was tak nagle rozweseliło? — zapytał Paciorek.

Odpowiedź nadeszła, sama. Ledwo zbliżyliśmy się do Zbyszka i Magdy, a i my sami poczęliśmy wykonywać dziwny taniec i śmiać się baraniami I nas opadły "mzili", owe ledwo dostrzegalne okiem skaczące mrówki, które wenuzjańscy Polacy nazywając "śmieszkami". Ich ugryzieniem jest tak łechcące, że choćby kto był i w najbardziej smętnym nastroju, dusi się od śmiechu.

— Aj szima, aj szima! (do u ody!) — poczęli krzyczeć ku nam przewodnicy, a sami przezornie przenieśli się czym prędzej na drugą stronę strumienia. Poszliśmy natychmiast w ich radą, lecz w wodzie, choć śmieszki splukaliśmy bez

trudności, ponieważ rozweselenie nie od razu przeszło. Śmiech osłabł jednak na tyle, że od czasu do czasu mogliśmy uchwycić zbawczy łyk powietrza. Jeszcze w godzinę później raz po raz ktoś porykiwał wesoło, jakby mu się nagle coś śmiesznego przypomniało.

Dnia tego nie uszliśmy już wiele dalej. Jeszcze przed zachodem słońca rozbiliśmy obozowisko na wygodnej polanie.

Gdy układaliśmy się do snu, odezwał się Paciorek:

— Że też ci Wenuzjanie nie wyniszczą tych przeklętych śmieszek promieniami ze swojej Wieży Babel.

— Mają na to pewnie za dużo poczucia humoru — odpowiedział mu Zbyszek.

— Też mi humor — zachnął się Jacek — gdyby nie strumień w pobliżu, podusilibyśmy się od tego śmiechu.

Nazajutrz, ledwo wzeszło słońce, ruszyliśmy w dalszą drogę. Marsz stał się uciążliwszy niż ubiegłego dnia, gdyż teren podnosił się coraz bardziej. Mimo to parliśmy naprzód.

Jeszcze przed południem doszliśmy do źródła strumienia, który dotąd nas prowadził. Od tego miejsca rozpoczęła się jeszcze mozolniejsza

wspinaczka po dobrze już stromym zboczku krateru. Nie było tu drzew. Czerwonych skał czepiały się karłowate krzewy i kolczaste rośliny. Koło piątej po południu osiągnęliśmy krawędź i w szerokiej rozpadlinie zatrzymaliśmy się na nocleg. Widać stąd było doskonale wewnątrz pierścieniowej góry, rozległe, porośnięte dżunglą. Spomiędzy drzew przeświecała z dala powierzchnia wielkiego jeziora, a ponad zielonością lasu wystrzelał ku niebu wierzchołek białej piramidy. Tam musiały leżeć ruiny starożytnego miasta.

Noc nadeszła czarna i nieprzenikniona. Siedząc tuż koło siebie, nie widzieliśmy się wzajem zupełnie. Nie można było jednak zapalać ogniska, które byłoby widoczne z dala. Nieprzyjaciel był przecież tuż.

Wystawiliśmy podwójną wartę. Gdy nieco po północy przyszła moja kolej, musze przyznać, czułem się bardzo nieswojo. Wyteżając z całej siły słuch, starałem się odszyfrować w tajemniczych szmerach nocy sygnał nadchodzącego niebezpieczeństwa. Była to przecież Góra Strachów, jeśli więc jest jakaś prawda w tej nazwie, to niezadługo powinno się już "coś" wydarzyć. Nasłuchiwałem... Czy to stopa skradającego się

nieprzyjaciela potraciła ten kamyk co przed chwilą stoczył się w dół czy sam oderwał się od skały, przezartej erozją? Co oznacza ten szmer w sąsiednich krzakach? A to...? Czy to szelest wiatru, czy szept ludzki? Nagle w ciemnościach zabłysła para zielonych oczu — zwierzę to, czy upiór? Głupstwo! Nigdy nie byłem zabobonny, ale czemuż właśnie teraz przychodzą mi do głowy wszystkie historie o duchach, których się dość nasłuchałem w życiu?

Tymczasem minęła godzina i nic szczególnego się nie zdarzyło. Nie uspokoiło mnie to jednak. Przytulony do mnie Aba, z którym pełniłem wartę, spał. Czułem się bardzo samotny, przynięciony poczuciem odpowiedzialności za losy wyprawy, którą prowadziłem w sarny paszczę diabelską. Czy mamy jakąkolwiek szansę podejść niepostrzeżenie pod osadę w nieznanym terenie, gdzie na każdym kroku możemy wpaść w zasadzkę? Mimo naszych promieniówek dzicy wystrzelaliby nas w lesie z łuków, jak kaczki. A nawet jeśli uda nam się szczęśliwie dojść do osady to co dalej? Jak porwać Dorotę i Kobrę? A cc będzie, jeśli nam się nie powiedzie i wpadniemy w ręce Hazy? Bałem się go jakoś bardziej niż Kobry i Abgajów. Byłem przekonany, że to

jego okrutną twarz widziałem wówczas na pokładzie Takili, gdy po przebudzeniu znalazłem tajemniczy nóż. Tesli wtedy omal nie zamordował mnie na odległość, co będzie, gdy zetkniemy się z nim oko w oko?

Wzdrygnąłem się i pot wystąpił mi na czoło. Moje drżenie zbudziło Abę.

— Co ci? — zapytał.

— Nic, nic. Staram się odpędzić senność.

— A wiesz? Ja się zdrzemnąłem trochę. Wstyd... Ale to i tak nie szkodzi — dodał po chwili refleksji. — Na pewno mój Akali (Anioł Stróż) czuwał za mnie. Nie zapomniałem o nim w wieczornym pacierzu.

Rozgrzeszywszy się w ten sposób, chłopiec ponownie zapadł w sen. Lecz jego wzmianka o Aniele Stróżu podniosła mnie na duchu. Czemu się niepokoję jak poganin? Czyż nie istnieje wyższa moc, niż wszystkie ludzkie razem wzięte? Martwienie się nie dokona niczego, nic nie zmieni w przyszłości, którą jest w rękach Boga. Czy czekają nas jutro przykre czy przyjemne niespodzianki, będzie z nami Boska Opatrzność, która dba o nas więcej, niż my sami o siebie. A więc głowa do góry! Odwagi!

Zerwaliśmy się, na nogi skoro świt. Wnętrze

krateru zasnuwały mgły, ale nas ciepłym uśmiechem powitało słońce. Kiedy byliśmy gotowi do marszu, zwróciłem się do naszej gromadki, czynając może nieco zbyt, uroczyście:

— Moi kochani, nasi przodkowie rozpoczynali bitwę, śpiewając Bogurodnicę. I dla nas nadzedł, mówiąc językiem nowoczesnym, „D-Day”, w którym najprawdopodobniej zetkniemy się z przeciwnikiem. Proponuję więc, żebyśmy rozpoczęli ten dzień wspólną modlitwą.

— Nie tylko dziś, ale co dzień powinniśmy byli to robić — zauważyła Magda, klękając na czerwonej skale.

Wszyscy bez słowa poszli za jej przykładem; nawet przewodnicy, choć nie rozumieli moich słów, pojęli, że tu jakiś ważny obrzęd się odbywa.

— Kyrie, elejson! — zacząłem litanie do Matki Boskiej, którą znałem na pamięć.

— Chryste, elejson! — odpowiedział zgodny chór.

Dyskretnie rzuciłem trochę niespokojne spojrzenie na Paciorka, lecz i na jego twarzy malowała się skupiona powaga. Gdy zaś doszliśmy do „Baranku Boży”, Jacek walił potężną łapą w rozłożystą pierś tak szczerze, że aż dudniało.

Padło wreszcie dźwięczne ostatnie „Amen”. W tej chwili w pobliżu nas skalna maczuga, którą przez setki, a może tysiące lat rzeźbiły wiatry i woda, zatrzęsała się i zwała ku wnętrzu góry.

— Dobry omen — stwierdził Zbyszek.

Zsuwaliśmy się po sypkim urwisku, pociągając za sobą lawinę kamieni i żwiru. Zanim ogarnęła nas mgła, odkryliśmy wąwóz, wiodący w dół. Dnem jego spływał potok. W wąskich przejściach wypełniał sobą całą przestrzeń, od ściany do ściany tak, że brodziliśmy w wodzie po pas, a nawet *po* piersi. Parokrotnie o mało co nie skręciliśmy karków i nie połamali nóg w licznych siklawach. Gdyby ktoś chciał tu urządzić zasadzkę, miałby po temu znakomitą okazję. Z drugiej jednak strony wąwóz dawał nam osłonę przed niepożądanym okiem i chronił przed zagubieniem się we mgle. Ta zresztą ustąpiła dość szybko.

Gdy koło południa wydostaliśmy się z wąwozu na piaski teren, zastąpiła nam drogę dżungla. Zagłębiliśmy się w nią ostrożnie z bronią gotową do strzału. Szliśmy gęsiego, porozumiewając się znakami rąk lub co najwyżej szeptem. W czasie mej ostatniej wizyty w Kamiru Nara miał mi dać specjalny detektor, wykrywający

obecność ludzką w promieniu co najmniej kilometra. Niestety przy wyjeździe obaj zapomnieliśmy o tym. Szkoda. Taki przyrząd oddałby nam teraz nieocenione usługi.

Po godzinie ostrożnego posuwania się dżungla urwała się raptownie. Wyszliśmy na leśny dukt szeroki na 200 metrów, pokryty sypkim, ceglastym piaskiem. Wraz z dwoma przewodnikami wyszedłem na otwartą przestrzeń. Rozciągała się daleko w lewo i prawo. Regularny kształt piaszczystego pasa wskazywał, że stworzyła go ręka ludzka. Ale po co?

Poczułem na ramieniu gwałtowny uścisk dłoni Kauli, jednego z przewodników.

— Patrz na prawo, tam! — szepnął strwożonym głosem.

Z dziesięć metrów od nas, do połowy zasypany piaskiem, bielił się szkielet ludzki.

Byłabyż to jakaś "strefa śmierci", gdzie działały zabójcze promienie? Ale w takim razie pełno musiałoby tu być także i kości zwierzęcych. Tymczasem poza owym szkieletem nie dostrzegłem żadnych innych znaków śmierci. Przeciwnie, liczne ślady prowadziły z jednej strony duktu na drugą. Dojrzałem w tej chwili niewielkie zwierzątko, jak spokojnie ruszyło ku

przeciwległej ścianie puszczy i dotarło tam bez przeszkód. W powietrzu uwijały się ptaki, goniąc za owadami. Ochłonałem więc nieco z pierwszego wrażenia i choć z przysłowiową „duszą na ramieniu”, postanowiłem zaryzykować.

— Poczekajcie tutaj. — zwróciłem, się do członków naszego safari — aż ja z przewodnikami przejdę na drugą stronę i dam wam znak.

— Ja też pójdę z tobą — ofiarował się Paciorek.

Nie oponowałem. Ruszyliśmy naprzód. Przewodnicy szli za nami, z ociąganiem, ale po chwili zdecydowali najwidoczniej, że lepiej tę niebezpieczną przestrzeń przebyć jak najszybciej i puścili się klusem. Nie dobiegli wszakże i połowy duktu, gdy wrzasnęli przeraźliwie i zawrócili pędem z powrotem. Usiłowaliśmy ich zatrzymać i dowiedzieć się, co ich tak przestraszyło, ale wyrwali się i znikli w lesie. Zdołaliśmy tylko wyczytać w ich twarzach obłędne przerażenie.

Popatrzyliśmy niepewnie na siebie z Paciorkiem.

— Może tam przebiega prąd elektryczny? — rzuciłem.

— Nie ma co zgadywać — odpowiedział Paciorek z determinacją w głosie. — Musimy się

sami przekonać.

Szliśmy teraz jak najostrożniej, patrząc z uwagą pod stopy. Wtem wydało mi się, że teren pode mną ugiął się. Ja sam wszakże nie zapadłem się, tylko moje nogi wydłużyły się przeraźliwie. Jednocześnie usłyszałem okrzyk Paciorka. Spojrzałem ku niemu. Ujrzałem mego druha, zdeformowanego przez jakąś straszliwą siłę. Był to teraz olbrzym o potwornej gębie, plecach i rękach giganta. Za to nogi i dolna część tułowia skurczyły mu się jak u karła. Widok był i przeraźliwy i niesłychanie śmieszny zarazem.

Postąpiliśmy parę kroków naprzód i znów nastąpiła karykaturalna przemiana. Paciorek skurczył się w linii pionowej, natomiast rozszerzył niesamowicie w płaszczyźnie poziomej. Wyglądał tak komicznie, że wybuchnąłem głośnym śmiechem.

— Coś się tak rozpłaszczył? — wykrzyknąłem. — Ha, ha, ha! Toż to prawdziwe strachy!

— Co to jest? — zapytał Paciorek głosem niezbyt swobodnym. — Ty wyglądasz za to jak drapacz chmur.

— To tak jak w krzywym zwierciadle — odparłem — Jesteśmy w polu, gdzie działają siły, wyginające promienie świetlne. Dawni władcy

miasta wymyślili doskonały sposób wystraszenia niepożądanych gości. Właściciel tego szkieletu, co tam leży, pewnie umarł ze strachu.

— Ja o mało też nie — przyznał szczerze Jacek.

Obejrzeliśmy się do tyłu. Las, gdzie pozostali nasi towarzysze, wydawał się oddalony o parę kilometrów. Daliśmy im znak, żeby dołączyli do nas. Po chwili przestachu i oszołomienia rozległy się wesołe śmiechy. Zbyszek i Magda stali się nagle szczupli jak śledzie, osiagając w zamian imponujący wzrost żyrafy. Postać Imli niemal rozlała się przy ziemi. Miss Mary przybrała kształt znaku zapytania, Aba stał się okrągły jak księżyc w pełni. Przy każdym ruchu nasze ciała przyjmowały nowe karykaturalne kształty, lecz i przyroda wokół ulegała tajemniczej metamorfizie. Na szlaku naszego marszu wyrosła naraz głęboka dolina, a przeciwległy skraj lasu sięgał chmur. Po przejściu dalszych 50 metrów zjawisko wykrzywiania się promieni ustało. Świat i my sami wróciliśmy do stanu normalnego.

Nasi przewodnicy nie odważyli się podążać za nami. Widzieliśmy ich na skraju lasu. Machaliśmy ku nim. Nic. Zawróciłem więc i starałem się ich namówić na przejście duktu tłumacząc,

że jak nam nic się nie stało, tak i ich nie spotka nic złego.

— Ty, Andra, jesteś sam wielkim czarownikiem, to tobie i twoim czary amgów nie szkodzą, ale nam...

— Te wam nie zaszkodzą. Biorę was pod swoją opiekę

Zdecydowali się wreszcie, ale gdyśmy doszli do strefy wykrzywionych promieni, nie wytrzymali nerwowo i uciekli. Zaszyli się tak głęboko w dżunglę, że ich nie mogłem odnaleźć. Trzeba więc było zrezygnować z ich towarzystwa i pomocy. W zmniejszonym składzie posówaliśmy się naprzód, aż natrafiliśmy na drugi dukt. Ten wszakże przeszliśmy nie napastowani przez żadne „strachy”. Cokolwiek tam kiedyś było, obecnie przestało działać.

Tuż dobrze nad wieczorem zagroził nam drogę strumień, spadający ze skały szumną kaskadą. Poniżej wodospadu, w odległości kilkuset metrów, natrafiliśmy na obszerną grootę. Zatrzymaliśmy się w niej na nocleg.



W tym to teraz olbrzym o potwornej głowie, plecach i rękach
giganta. Za to nogi i dolna część tułowia skureziły mu się jak
u karia. (Str. 135)

W sam czas znaleźliśmy tak doskonale schronienie, nadciągała bowiem burza. Błyskało i grzmiało potężnie. Wreszcie czarna chmura wyłała z siebie strugi gorącego deszczu. Kilka piorunów uderzyło bardzo blisko, napełniając dżunglę oślepiającym światłem i straszliwym hukiem. W powietrzu czuć było ozon. Nawałnica wszakże nie trwała długo. Oddaliła się w ślad za zachodzącym słońcem, pozostawiając po sobie ciężką duszność.

Nie mogłem spać. Przewracałem się z boku na bok. Wreszcie zrezygnowany wstałem i zabrawszy broń wyszedłem na zewnątrz groty.

— Ga kuori? (Dokąd idziesz?) — ozwał się obok mnie cichy szept Aby.

— Pojdę pod wodospad trochę się ochłodzić.

— Idę z tobą

— Fegidu (Dobrze) — zgodziłem się.

Poszliśmy, zameldowawszy się wpierw Paciorkowi, który właśnie pełnił wartę.

Noc była stosunkowo jasna. Niebo oświetlała słaba zorza, a w dżungli pełno było świeciuszek. Podstawiliśmy zgrzane ciała pod chłodną strugę wodospadu. Parę kroków od jego stóp walczyła z nurtem strumienia mała kępa, obramowana głazami. Wiatr zwiewał ku niej perliste odpryski

wody. Aba zaproponował, żebyśmy nie wracali do dusznej groty, ale spędzili na tej wysepce resztę nocy. Pomysł spodobał mi się. Ułożyliśmy się na wilgotnej trawie i szybko zapadliśmy w głęboki, zdrowy sen.

ROZDZIAŁ VII

SŁOŃCU W OFIERZE

Zbudziły nas promienie wschodzącego słońca, prześlizgujące się pomiędzy wierzchołkami drzew. Zerwaliśmy się szybko zawstydzeni, że przespaliśmy naszą kolejkę warty, która wypadła przed świtaniem. Rzuciliśmy spojrzeniem ku grocie. Nikogo z naszych nie było widać — pewnie spali jeszcze w ciemnościach jaskini. Poszliśmy ich budzić. Według moich obliczeń ruiny miasta i osada. Abgajów powinny się już znajdować w pobliżu. Zamierzałem pozostawić w pieczarze większość członków wyprawy, a pójść na zwiady z Kinim i Abą.

Weszliśmy do groty. Była pusta. Żadnych śladów napadu czy walki. Zdumieni i przerażeni. przeszukaliśmy dokładnie samą pieczarę i teren okoliczny. Między krzakami Aba odkrył porzucony jeden z naszych płomieniowych pistoletów. Gdyby nie jego obecność, moglibyśmy przypuszczać, że nasi towarzysze sami opuścili

jaskinię z jakiegoś ważnego powodu. Jednakże w wypadku niespodziewanego alarmu każdy trzyma broń pilnie przy sobie, a nie zestawia jej w krzakach.

— Rozwiali się w powietrzu? — szepnął Aba.
— To na pewno sprawka czarowników, porwali ich tak jak wtedy Dorti.

— Chyba nie — odparłem — Jeśli ich widzieli na odległość, zobaczyliby i nas. To raczej Abgajowie podkradli się w nocy, obezwładnili strzałkami i zabrali. Nas przy tym nie zauważyli, ale może się to stać w każdej chwili...

Rozglądaliśmy się niespokojnie po otaczającej dżungli, lecz nie dostrzegliśmy nic podejrzanego. Powietrze drżało świergotem ptaków, kilka tysięcy jaszczurek wygrzewających się na kamieniach patrzyło na nas obojętnie wylupiastymi oczami.

Ostrożnie, z bronią gotową do strzału, posuwaliśmy się wzdłuż biegu strumienia, który, jak przypuszczałem, wpadał do jeziora, gdzie leżała osada. Wkrótce natknęliśmy się na debrze udeptaną ścieżkę. Poszliśmy nią. Prowadziła w głąb boru. W jednym miejscu na podmokłym gruncie widniały wyraźne odciski bosych stóp.

— Przechodzący tędy dźwigali coś ciężkiego,

najprawdopodobniej naszych... I to z godzinę, dwie temu. — Stwierdził znający się na śladach Aba.

Uszliśmy jeszcze kilkaset metrów, gdy chłopak zatrzymał się raptownie i nadśluchiwał.

Ktoś szedł za nami. Coraz wyraźniej można było słyszeć śmiech i ożywioną rozmowę. Aba wskazał olbrzymie liście rośliny "kbali" ścielące się tuż przy ziemi. Schowaliśmy się pod nie czym prędzej. W parę minut potem przeszły obok nas dwie pary brązowych, bosych nóg, ozdobionych złotymi bransoletami. Męskie głosy dźwięczały znajomą kuwilińską mową, tylko akcent był inny i intonacja mniej śpiewna. Wyjrzałem ostrożnie za oddalającymi się. Byli to dwaj młodzi tubylcy, muskularni i zgrabni. Nie tylko nogi, ale i ręce ich zdobiły liczne bransolety. Na czubku wygolonych głów tkwił pęk barwnych piór. Wracali najwidoczniej z polowania, dźwigali bowiem dwie dzikie świnki i kilkanaście sztuk wodnego ptactwa.

Gdy zniknęli nam z oczu, wysunęliśmy się z kryjówki.

— Może szkoda, żeśmy ich nie zatrzymali — szepnął Aba — to Kuwilińczycy, nie mogą być źli, może by nam pomogli?

Nie podzielałem jego rasowych złudzeń, ale nic nie odrzekłem. Szliśmy dalej. Ścieżka wróciła do brzegu strumienia, który coraz bardziej stawała się rzeką. Równy dotąd teren ustąpił miejsca rozległemu rumowisku skał i głazów, przez które woda przedzierała się z trudem, wiążąc się i pieniąc gniewliwie. Wreszcie doszedł naszych uszu grzmot wodospadu. Ścieżka szła teraz stromo w dół. W skale wycięte były wygodne stopnie. Dwa czerwone bloki skalne tworzyły rodzaj wąskiej bramy. Gdy przeszliśmy między nimi, oczom naszym ukazało się szerokie rozlewisko, porośnięte po brzegach olbrzymimi nenufarami. U podnóża wodospadu w spienionym nurcie zobaczyliśmy niespodzianie dwie dziewczęce głowy. Chcieliśmy się cofnąć, ale za późno — dostrzeżono nas.

— Andra! — zabrzmiał ponad hukiem spadającej wody znajomy głos: dźwięczały w nim zdumienie i radość.

I nam zapało oddech w piersiach z niespodzianego spotkania. Była to Dorota... Machnęła ku nam ręką i zawołała:

— Usuńcie się na chwilę, zaraz do was dopłyniemy.

Posłusznie odwróciliśmy się i odeszli kilka

kroków od brzegu. Po paru minutach dziewczyna zjawiała się przed nami przybrana w improwizowaną zelę z dwu olbrzymich liści nenufarowych przepasanych kilkakrotnie ukwieconym pnączem. Wyglądała jak rusałka z leśnego strumienia. Na ramiona spadały jej mokre włosy, zielone oczy błyszczały nieukrywaną radością.

— Andra, Andra — powtarzała, nie mogąc ochłonać jeszcze ze zdumienia. — Aba... Jakżeście mnie odnaleźli? Jak bardzo się cieszę!

Uściskaliśmy się serdecznie. **W** tej chwili za Dorotą ukazała się jej towarzyszka: dziewczynka może dziesięcioletnia, o płowych włosach i szarych oczach, patrzących poważnie i śmiało.

— To Paumi — Dorota przedstawiła przybyłą — z tutejszego plemienia. A to jest Andra i Aba, o których ci tyle opowiadałam.

Dziewczynka dotknęła palcami kolejno oczu, uszu i ust w abgajskim pozdrowieniu. Oznacza ono: „nie chcę patrzeć na nic złego, ani słyszeć nic złego, ani mówić nic złego”.

— Skąd wiedziałeś, że tu jestem? — pytała dalej Dorota. — Czy po mnie przyjechałeś, czy to znowu Nara wysłał cię w pościg za moim ojcem?

— Czekaaj, Dorti — odparłem. — Obecnie

nie jest ważne jak i po co przybyliśmy... trzeba ratować resztę naszej gromady, to jest Zbyszka, Magdę, Kaniego, Imlę, Paciorka i Mary. Spali tu niedaleko w grocie i zniknęli bez śladu... Musisz nam pomóc.

W paru słowach opowiedziałem jej nasze przygody i wydarzenia ostatniej nocy.

— To wyście się wyprawili całą gromadą, żeby mnie ratować? Jesteście strasznie kochani...

— Pewnie, że nie po to pchaliśmy się przez dżunglę, żeby sobie urządzić piknik, — przerwałem jej niecierpliwie — ale czas ucieka, trzeba coś przedsięwziąć...

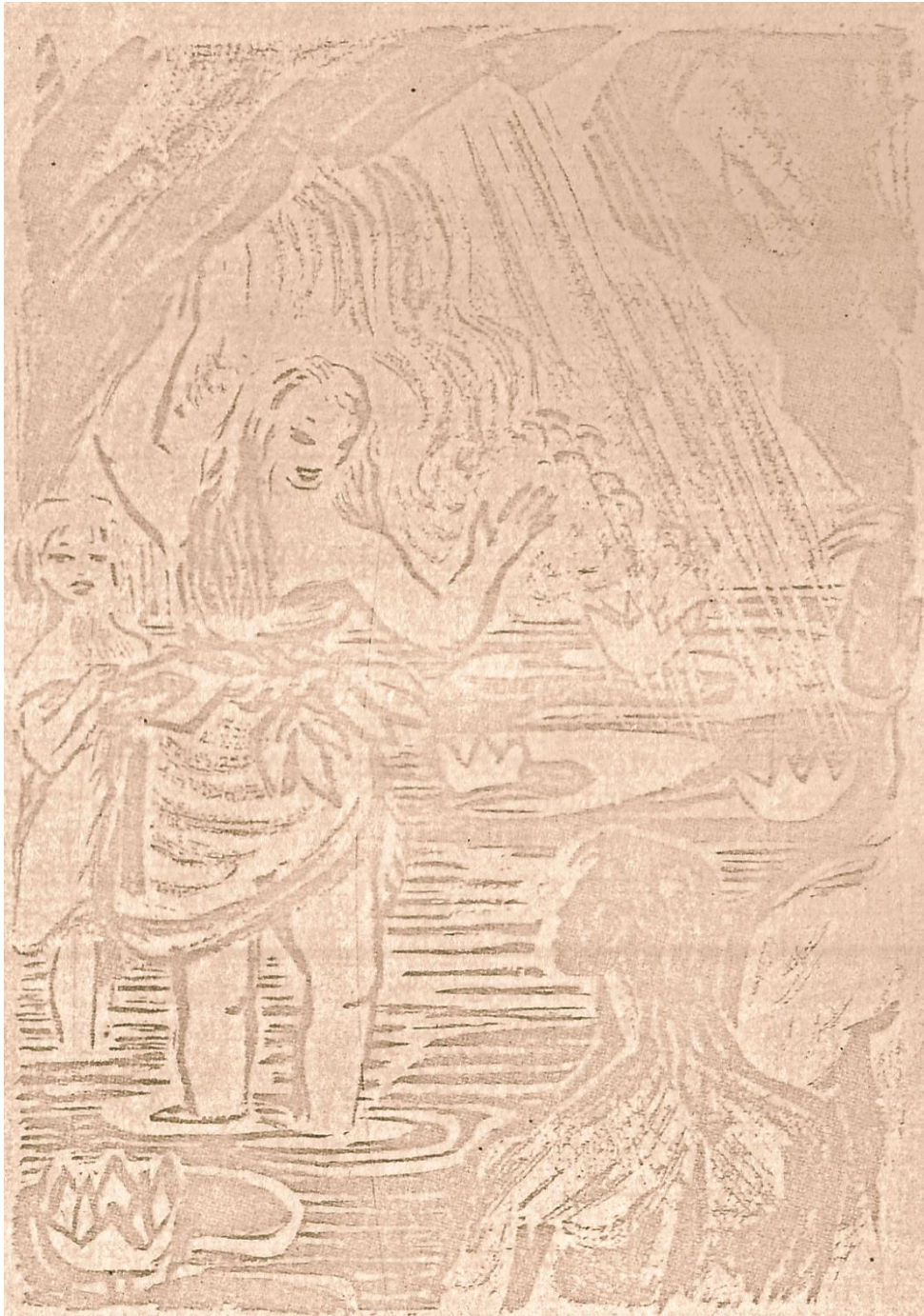
— Zaraz, zaraz — odpowiedziała — trzeba działać ale rozważnie. O tym porwaniu nic mi nie wiadomo, lecz to na pewno sprawka Kary. Wyratujemy ich. Nie martw się. Teraz chodźcie za mną!

Przepłynęliśmy rzekę tuż przy wodospadzie i zagłębiliśmy się w dżunglę. Nie uszliśmy jednak i dwudziestu kroków, gdy odsłoniła się przed nami niewielka polana. W jej środku stał obszerny bungalow, wzniesiony z bambusu i trzciny, o dachu krytym palmowymi liśćmi.

— Mieszkam tutaj z ojcem — wyjaśniła Do-

rota — lecz teraz go nie ma. Udał się dziś nad ranem na parodniowe polowanie. Chciał i mnie zabrać, ale nie miałam ochoty. Dobrze się stało.

Na werandzie domu, zwinięty w kłębek, leżał wielki wąż koloru stali. Za naszym zbliżeniem podniósł głowę. Miał długi, ostry pysk, który gdy otworzył, składał się w coś na kształt uśmiechu. Ze zdumieniem spostrzegłem, że zaraz za głową



Wyglądała jak rusalka z leśnego strumienia. Na ramiona spadały jej mokre włosy, zielone oczy błyszczały nieukrywaną radością. (str. 141)

wyrastała mu para jaszczurczych łapek. Dorota rzuciła mu owoc. Schwycił go w locie owymi łapkami i smakowicie począł go obgryzać, przypominając w tym ruchu raczej wiewiórkę, niż węża.

-- To jest Auri, mój wierny przyjaciel, — objaśniła Dorota — a to - wskazała na małą małąkę o kocich wąsach, która w tej chwili z piskiem skoczyła jej na ramię - to jest Kobala, przemile stworzonko.

Weszliśmy do środka domu. Urządzony był prosto ze smakiem. Zwracała uwagę duża ilość skór i barwnych mat, pokrywających podłogę i porozwieszanych po ścianach. Poza tym pełno tam było broni, tarcz, posążków, ozdób i innych przedmiotów prymitywnej sztuki.

Przy śniadaniu złożonym ze smażonych ryb i owoców, opowiadaliśmy sobie wzajemnie, wydarzenia zaszłe od chwili porwania Doroty. Jej niezwykle przeniesienie na Wyspę Ognistą spowodowali na prośbę Kobry amgowie Hazy. Kobra chciał w ten sam sposób sprowadzić następnie żonę Emmę i synka Vili, ale czarownicy ociągają się z, tym. Dorota orientowała się, że obie strony miały daleko idące plany i chciały się wzajemnie wykorzystać. Wydawało się, że dotąd jeszcze nie

osiągnięto pełnego porozumienia. W każdym razie Kobra nie zrezygnował z chęci zemsty na Wenuzjanach z Kamiru. Prośby i przekonywania córki nie dawały żadnych rezultatów.

— Usiłowałam go nawrócić na chrześcijaństwo — mówiła smutnie dziewczyna. — Opowiadałam mu te wszystkie piękne rzeczy, które słyszałam od ojca Piotra i od ciebie, Andra, na próżno. Tata ma na wszystko odpowiedź, która brzmi zawsze bardzo mądrze i przekonywująco. Trudno mi z nim prowadzić dyskusję. Czasami już i sama zaczynam się chwiać i napadają mnie wątpliwości, że może on ma rację. Opieram się jednak nim jak mogę. Ojciec nieraz drwi ze mnie i gniewa się, że się dałam złapać w sieć przesądów i legend przywiezionych z zacofanej Ziemi. Choć mi brak argumentów, przecież wewnętrznie czuję, że moja niedawno zdobyta wiara jest prawdą a on się myli. Ale jest mi ciężko. Zawsze uwielbiałam mego staruszka. Wydawał mi się najwspanialszym i najmądrzejszym z ludzi...

W oczach dziewczyny pojawiły się łzy.

Okolicę, w której znajdowaliśmy się. Kobra ukochał specjalnie. Tu pośród przyjaznych Abgajów spędzał najczęściej chwile wypoczynku. Pasjonowały go ruiny starożytnego miasta dość

dobrze dotąd zachowane. Z namiętnością archeologa prowadził szczegółowe badania, odcyfrowywał stare napisy, zbierał pamiątki po cywilizacji zaginionej kilką tysięcy lat temu. Dorota dzieliła zainteresowania ojca. Towarzysząc mu w poszukiwaniach poznała doskonale całą okolicę i większość tajemnic Góry Strachów.

W zamierzchłych czasach był to ośrodek krwawego kultu krwawych bogów. Zbuntowanego Haze jakiś instynkt zła przyprowadził do tego miejsca. Od razu przystąpił do wprowadzania własnej religii, ponurej i demonicznej jak jego własna dusza. Odnowił też krwawe obrzędy, których ofiarą padały na razie tylko zwierzęta. Szeptano jednakże, iż niezadługo sięgnie i po ludzi. Abgajowie znienawidzili Haze od pierwszego dnia jego przybycia, ale strach przed jego tajemniczą mocą tłumiał wszelką chęć buntu. Zły amga sprowadził ze sobą nie tylko towarzyszy czarowników, ale też kilkudziesięciu wojowników z plemienia Mzauri, dzikiego i okrutnego. Stanowią oni jego przyboczną straż.

— To on na pewno ze swoimi ludźmi napadł w nocy i uprowadził tamtych. Jak tylko skończyliśmy śniadanie, wyśle Paumi na zwiany do wioski.

Dziewczyna jest bardzo do mnie przywiązana

można na niej polegać.

Kończyliśmy śniadanie, dopijając orzechowego mleka, gdy ze skraju polany dobiegło przeciągłe: „Ho, hooooo!”

Zerwaliśmy się w popłochu od stołu.

— To Izolk — wyjaśniła Dorota — jeden z amgów. Darzy mnie wielką sympatią i od czasu do czasu tu zachodzi. Udaje mi się zwykle wyciągnąć od niego wiele informacji. Pewnie chce mi teraz w sekrecie powiedzieć o uprowadzeniu naszych przyjaciół... Idźcie do drugiego pokoju i siedźcie cicho. Paumi, sprzątnij szybko ze stołu!

— Czy on nie odkryje naszej obecności? — zapytałem z niepokojem. — Ci amgowie podobno i na odległość widzą, a co dopiero poprzez ścianę?

Dorota pogardliwie wydeła wargi:

— Izolk? On jest najgłupszy z nich wszystkich i nigdy nie posiadał żadnych tajemnych zdolności. Nie ma się czego obawiać.

Przez trzciniową ścianę dobrze było widać czarownika. Od głowy po kolana tak był przybrany w pióra, że wyglądał jak ptak rajski. Na rękach i nogach miał mnóstwo złotych bransolet, które dźwięczały za każdym ruchem. Z pospolitej twarzy patrzyły pogodnie małe niebieskie oczy

Dorota prowadziła z nim rozmowę po kuwilińsku. Od treści dosłyszanych słów włosy podniosły się nam na główne. Pojmanych w nocy jeńców Haza postanowił ofiarować bogom w ofierze i to już nazajutrz.

— Oni są niebezpieczni — mówił Izolk. — Jakaś wyższa siła zasłoniła ich przed naszym wzrokiem, który zwykle widzi bardzo daleko. Gdyby ich wczoraj wieczorem nie wypatrzył przypadkiem jeden z Mzaurich, nic byśmy nie wiedzieli o ich obecności. Jak też oni przeszli „obręcz strachów”? Haza chce się ich pozbyć jak najszybciej .

-- To nasi Akali przeszkodzili im w dostrzeżeniu nas. — szepnął mi do ucha Aba.

— Szkoda, że nie zrobili tego i wczoraj wieczorem — pomyślałem sobie, lecz zaraz mi się wstyd zrobiło tej myśli. I tak dużo zawdzięczaliśmy już naszym Aniołom Stróżom. A teraz choćby to spotkanie z Dorotą...

Za ścianą dźwięczał teraz oburzony głos dziewczyny:

— Ależ Haza nie może tego zrobić, to morderstwo... Mój ojciec nigdy na to nie pozwoli... Zaraz idę do Hazy.

— Nie ma po co — odpowiedział Izolk. —

Kobra wie o pojmaniu tych ludzi i planach Hazy. Trochę się opierał, ale w końcu ustąpił. Umyślnie dziś rano oddalił się, żebyś go nie mogła pomawiać o współdziałanie. Tylko nie zdradź, że ci to powiedziałem. Obrzęd odbędzie się jutro w południe z całym przepychem. Jeńcy będą spaleni. Samo słońce podpali stosy. Haza przysłał mnie, żeby cię zaprosić... i ty lepiej przyjdź... on nie znosi oporu...

— Powiedz mu, że... będę... — odpowiedziała zmienionym głosem Dorota.

Po odejściu amgi zastaliśmy dziewczynę siedzącą bezsilnie na trzciniowym fotelu. Oczy jej miały wyraz bezmiernego smutku.

— Słyszałeś. Andra — wymówiła z trudem — jak mój ojciec nisko upadł? To potworne i wstrętne,... ale nic... — Widać było, jak z całych sił stara się otrząsnąć z bólu. — Teraz najważniejsza rzecz pomyśleć o ratunku naszych przyjaciół. Żebym i sama miała zginąć, nie dopuszczę do ich śmierci.

— Czy masz jakiś pomysł? — zapytałem.

— Znam dobrze podziemia miasta, ale nie wiem o żadnym przejściu, prowadzącym do domu Hazy, gdzie są uwięzieni, o czym wspomniał Izolk.

— Moglibyśmy — zaproponowałem — podkraść się nocą a nawet i w dzień, możliwie blisko miejsca ich uwięzienia i zdobyć je śmiałym atakiem. Mamy trzy pistolety promieniowe i dezintegrator. To wielka siła. Kto nam się oprze?

— Nie. nie — potrząsnęła złotą czupryną. — Zanim dotarlibyśmy do więźniów, Haza mógłby ich wymordować. Pamiętaj też, że czarownicy mają na swoje usługi różne magiczne sztuki. Widziałam, jak je Haza produkował przed dzikimi. Potrafi on na przykład zakreślić wokół siebie koło, którego nikt nie zdoła przekroczyć. Sama próbowałam i czułam, jakby mi nogi wrosły w ziemię...

— Czyli uważasz sytuację za beznadziejną?

— Nie. Tylko musimy sobie zdawać sprawę, że mamy bardzo niebezpiecznego przeciwnika. Otwarty atak nie zda się na nic. Trzeba obmyślić jakiś podstęp.

Nastąpiła cisza. Przez głowę przesuwały mi się różne projekty jedne gorsze od drugich. Wreszcie Dorota klasnęła w ręce:

— Mam, mam. To może się udać.

— Co? Co? — zapytaliśmy podnieceni.

— Lepiej wam tego nie powiem na razie Boję się telepatycznych zdolności Hazy. Ja

wiem, jak się przed nimi bronić. Już mi to raz nawet wypowiedział z przekąsem. Wy moglibyście się zaradzić nie chcący...

— I my też mamy sposób — wyrwał się żywo Aba.

— To świetnie, ale i tak na razie wam nic nie powiem. Czas działania przyjdzie dopiero w nocy. Teraz tylko wyślę Paumi, żeby mi się kilku rzeczy dowiedziało w wiosce.

Wysłana na zwiady Paumi wróciła niezadługo z wiadomościami. Haza już ogłosił wszystkim, że jutro w południe zostaną złożone na cześć wszystko ożywiającego słońca ofiary ze złapanych jeńców i nakazał przygotowania do uroczystości. Plemię Abgajów ogarnęła zgroza, ale nikt nie ośmielił się przeciwstawić potężnemu amdze. Wszyscy pamiętali jeszcze zbyt dobrze, jak wkrótce po jego przybyciu nastąpił spor pomiędzy nim a naczelnikiem plemienia dobrym Mnumu. Haza szybko sobie z nim poradził. Wymówił jakieś zaklęcie, poruszył kilkakrotnie ręką w powietrzu, a Mnumu, ogarnięty szaleństwem, rzucił się w przepaść.

— Gdzie się odbędą ofiary? — spytała Dorota dziewczynkę.

— Nad jeziorem u stóp piramidy, tam gdzie

stoją posagi świętych zwierząt — odpowiedziała Paumi.

— Czy raczej nie na szczycie piramidy? — wtrąciłem.

— Rzeczywiście tam się powinny odbywać wszelkie obrzędy — odpowiedziała Dorota — ale na tę piramidę nikt nie może wejść, a raczej utrzymać się na niej. Kto dotrze do wierzchołka, natychmiast niewidzialna siła unosi go z powrotem do podnóża. Mój ojciec odkrył jej sekret i potrafi ją wyłączać; zdobył tym sobie wielki podziw u Abgajów.

Po obiedzie Dorota zwróciła się do mnie z nieśmiałą prośbą:

-- Dziś w nocy ruszamy na niebezpieczną wyprawę i nie wiadomo, co nam dzień jutrzejszy przyniesie. W razie czego chciałabym być pewna swojego zbawienia. Czy mógłbyś mnie ochrzcić? Mnie i Paumi. którą pouczyłam, jak umiałam wierze katolickiej. Bardzo jej się to wszystko podoba...

Obrzęd chrztu odbył się samym wieczorem nad brzegiem rzeki, gdy słońce zdobyło świat królewską purpurą. Całą przyrodę tchnęła głęboką ciszą, tylko wodospad szeptał swe monotonne pacierze i jakiś wenuzjański słowik

śpiewał powitalną pieśń nocy w głębi boru. Obie dziewczyny były bardzo przejęte i szczęśliwe, a i ja z Abą czuliśmy głębokie wzruszenie. Z zapadnięciem zmroku ruszyliśmy w kierunku ruin starożytnego miasta. Kibić Doroty owijał WAŻ AURI.

— MA świetny węch — objaśniła szeptem dziewczyna — ostrzeże nas od razu przed bliskością człowieka.

Nie napotkaliśmy wszakże nikogo. Dorota prowadziła nas ze świetną znajomością terenu przez dżunglę. Po godzinie marszu zamajaczyły przed nami na tle nieba lśniącego srebrzystą poświatą zorzy sylwetki budowli. Przesunęliśmy się między potężnymi kolumnami, minęliśmy wielką salę pogrążoną w niepokojących ciemnościach, wreszcie stopy nasze wyczuły schody, prowadzące w dół. Były kręte, śliskie, naliczyłem ich trzysta.

Zapłonęło światełko latarki. Znajdowaliśmy się w skalistej komnacie o gładkich ścianach, pokrytych szczelnie nieznanym mi pismem.

Dorota przyglądała się czas jakiś zygzakowatemu napisowi na jednej ze ścian i nie spuszczać zeń oka poczęła nucić prostą melodię bez słów. Wpierw cicho, potem coraz głośniej, aż

nagle ściana drgnęła. Część jej uchyliła się bezszelestnie, ukazując jasno oświetlony otwór. Przesunęliśmy się przezeń. Ściana zamknęła się za nami. Staliśmy teraz w bardzo długim korytarzu, którego sufit rzucał łagodne żółtawe światło na ściany, pełne malowideł o żywych, świeżych barwach, przedstawiających sceny z codziennego życia zgrabnego ludu o charakterystycznych, kędzierzawych włosach. Szliśmy tym korytarzem bardzo długo, a... zastąpiła nam drogę ściana bez śladu jakichkolwiek drzwi, Ale i tu Dorota wyszukała odpowiedni napis, który zapewne był nutami melodii otwierającej przejście, owym „Sezamie otwórz się!“ Rzeczywiście, na dźwięk jej śpiewu rozwarł się mur przed nami, przepuszczając nas do olbrzymiej sali, której sklepienie podpierały zgrabne kolumny. Lecz nie one przykuły nasz wzrok.

Sala zatłoczona była figurami ludzkimi tak świetnie wykonanymi, że zdawały się być żywymi ludźmi, zastygłymi w postawie na baczność na rozkaz niewidzialnego wodza. Przez chwilę miałem nawet złudzenie, że słyszę miarowe oddechy, kilkuset piersi, lecz były to nasze, amplifikowane przez akustykę sali. Większość figur przedstawiała żołnierzy w pancerzach,

hełmach z mieczami i dzidami w rękach.

— Czy uwierzysz, Andra — odezwała się Dorota — że są to wszystko... zaraz, jak wy to nazywacie?

— Roboty? — odpowiedziałem zdumiony.

— Tak, roboty. Wyobrażam sobie, jaką miałyby minę Haza i jego banda, gdybyśmy tak wyprowadzili na niego to całe wojsko. Niestety nie potrafię tego zrobić, a właściwie za mało mam czasu, żeby się tego nauczyć. Są one poruszane dźwiękiem. Widzisz tam na ścianie te trąbki, flety, bębny?... oto aparatura do ożywienia robotów. Ten starożytny lud przeniknął tajemnice dźwięku i wykorzystał je w pełni. Potrafił nawet wznieść się w powietrze. W następnej sali pełno jest latających przyrządów. Wszystko poruszane dźwiękiem. Ale biedni, gdy przyszła katastrofa, nie mogli opuścić planety, bo w przestrzeni nie ma powietrza, nie ma więc i jego drgań. Wymyślili w zamian inny ratunek. Nic z tego wszakże nie wyszło... choć kto wie?... Tego jednak nie mogę wam powiedzieć.

Przeszliśmy do następnej sali, która wyglądała jak muzeum. Popod ścianami bowiem ustawiane były gablotki z różnymi przedmiotami za szklaną szybą. Mijaliśmy je szybko, aż doszliśmy

my do miejsca, przypominającego jakąś stację rozdzielczą, pełną tajemniczych dźwigni.

— Tu się włącza i wyłącza „obręcze syrachów” wokół miasta — wyjaśniła Dorota. — Wasze szczęście, że ta druga strefa, przez którą przeszliście bez kłopotów, już od dawna nie działa. W przeciwnym wypadku słyszelibyście nie tylko straszliwe wycia, ale rzucałoby was do góry i na dół. Nie moglibyście w ogóle przekroczyć tego pasa. Tamta piąta dźwignia z kolei włącza pole związane z piramidą: te inne już nie działają. Naziemne miasto leży w większości w gruzach, a z podziemi oparła się zniszczeniu tylko ta część, gdzie w tej chwili jesteśmy. Reszta się zawaliła.

Dorota zatrzymała się teraz przed jedną ze ścian, pokrytą gęstym pismem. Studiowała je przez chwilę, wreszcie wyciągnęła z torby przewieszanej przez ramię notatnik i zaczęła, w nim coś pisać.

— Co robisz? — zapytałem.

— Zobaczysz jutro. Chcę Hazę raz na zawsze skompromitować w oczach krajowców i wiedzą starożytnych Kajnów dopomoże mi do tego... No ale chodźmy dalej, bo czas ucieka.

Przeszliśmy jeszcze parę sal i korytarzy.

— Jesteśmy już pod piramidą — oznajmiła nasza przewodniczka — zaraz pokażę wam coś ciekawego.

Na dźwięk odpowiednie; melodii otworzyło się znów przed nami, nie wiem już które z kolei przejście. Znaleźliśmy się w długim chodniku, jasno oświetlonym samo-świecącym sufitem. Po prawej stronie ściana była przezroczysta. Za nią mieściła się ogromna sala. zawierająca kilkaset łóżek. Na każdym spoczywała postać ludzka, zdająca się spać.

— Czy to znowu roboty? — spytałem.

— Nie, to zmarli władcy miasta.

— Musieli być świetnie zabalsamowani. Wydają się żywi.

Z pewnym wahaniem Dorota odpowiedziała:

— Nie... Ojciec mi właściwie nie pozwolił nikomu mówić, ale... dlaczego właściwie nie miałabym powiedzieć. Kiedy zbliżała się katastrofa, o której Kajnowie wiedzieli, a od której nie potrafili uciec tak jak moi przodkowie, znający tajemnicę lotów międzyplanetarnych, wymyślili inny sposób. W tych podziemiach zapadli w sztuczny letarg, spodziewając się z niego obudzić gdy już na Wenus warunki będą z powrotem możliwe do życia. Tymczasem nie zbudzili się.

Leżą za tą ścianą w kompletnej próżni od tysięcy lat. Ojciec odkrył i odcyfrował przepis, co zrobić, żeby ich przywołać do życia. Próbował... nic z tego nie wyszło. To są już dziś chyba tylko trupy...

Staliśmy przez długą chwilę patrząc w milczeniu na ten dziwny cmentarz przed nami. Czy cmentarz? Czy ludzie, którzy kładli się kiedyś z nadzieją powstania, mieliby powstać dopiero w dniu Sądu Ostatecznego?

— Może i lepiej — przerwała milczenie Dorota — że nie wstali. Był to naród miłujący krew wojnę. Przybyli oni niegdyś na Wenus niezależnie od nas, to jest od przodków naszej kamirskiej rasy, kochającej pokój. Przynieśli ze sobą wiele zła i cierpień. Musieliśmy z nimi walczyć. Wygubiliśmy wreszcie ich przywódców, a wraz z nimi zginęło wiele ich tajemnic naukowych, między innymi tajemnica podróży międzyplanetarnych. Zaczęli się jednak na nowo odradzać i doganiać nas w wyścigu techniki, aż przyszła katastrofa. Potomkami ich rasy są dzisiaj szczepy Kauin: politeistyczne, okrutne, ludobójcze i ludożercze. Jak te rzeczy głęboko tkwią we krwi... Ale chodźmy...

— Mówiąc o Wenuzjanach z Kamiru — ode-

zwałem się — zaznaczasz zwrwsze „my“. Zauważyłem, że masz jak to nazywamy na Ziemi kompleks niższości, jeśli chodzi o tę część ziemskiej krwi, która płynie w tobie. Tak podkreślasz swą „wenusjańskość“... Czy to potrzebnie? Czy to nie wszystko jedno, czy kogo przodkowie przybyli na Wenus kilkadziesiąt tysięcy lat temu, czy dopiero niedawno; czy się pochodzi z tego, czy z tamtego narodu. Kocham Polskę, cieszę się, że jestem Polakiem, ale wiem, że o istotnej mojej wartości decyduje przede wszystkim, czym sam jestem. I jeśli ciebie cenię, to nie dlatego kim są twoi rodzice, ale dlatego, że jesteś dzielną dziewczyną...

Dorota zaczerwieniła się. Była zła. Przez chwilę nic nie odpowiadała, wreszcie rzekła twardo:

— Bo ja jestem wenuzjanką i... i... nie mówmy więcej na ten temat!

Weszliśmy do obszernej komnaty, wypełnionej dziwną maszyną.

— Jesteśmy na miejscu — powiedziała nasza przewodniczka po podziemnym świecie.

#####

Jeńcy Hazy obudzili się w zupełnej ciemności. W pierwszej chwili nie mogli się zorientować, co się stało. Dopiero po jakimś czasie uprzytomnili sobie, że nie znajdują się w grocie, gdzie się ułożyli do snu, lecz w wilgotnym pomieszczeniu o gładkich ścianach bez śladu drzwi. Nie trudno im było zgadnąć, że znaleźli się w ręku amgów.

— Co się stało z Andrzejem i Abą? — zapytała Magda. — Czy ich rozdzielili od nas?

Paciorek przypomniał sobie, że poszli się kąpać i w ten sposób pewnie uszli losu reszty członków wyprawy.

— Dzięki Bogu! — zawołała Imla. — Przynajmniej jest nadzieja, że postarają się nas uwolnić.

— Słaba nadzieja — mruknął Zbyszek. — Lepiej nie liczyć na nich. Musimy sami coś przedsięwziąć. Gdzieś musi być wyjście z tej nory. A wyjście jest po to, żeby przez nie wychodzić. Chodź tu, Paciorek, podsadź mnie, a wymacamy, jak się przedstawia sprawa z sufitem.

Zbyszek namacał niewielki otwór w kamiennym sklepieniu więzienia. Zamykał go płaski kamień, który niesposób było poruszyć.

— Nie ma co, trzeba się uzbroić w cierpliwość,

aż ktoś tu do nas zajrzy — powiedział z rezygnacją.

Na tę chwilę więźniowie długo musieli czekać. Wreszcie zachrobotąło coś u góry. Do wnętrza ciemnicy wdarło się światło. W otworze ukazała się głowa.

— Macie tu jedzenie i wodę — zabrzmiało po kuwilińsku.

Wychyliła się ręka, podając kosz z żywnością. Nie za kosz jednakże, ale za rękę uchwycił Kini, siedzący na karku Paciorka. Zaskoczony napa-dem więzienny karmiciel zleciał w czeluść ciemnego otworu. Uderzył głową o kamienną podłogę i legł bez ruchu. Niestety tu był kres powodzenia: Kiniego, wysuwającego się z otworu, spotkały ostrza dwu dzid i zmusiły do odwrotu.

— Jeśli nas natychmiast nie wypuścicie — próbował ratować sytuację Zbyszek — udusimy tego, którego tu mamy.

Groźbę pominięto na razie milczeniem. Dopiero po paru minutach nad otworem ukazała się para jarzących oczu i ostry, nieprzyjemny głos ostatecznie pognębił uwiezionych.

— Tego tam głupca możecie rozerwać w kawały, nic mi po nim. Jeśli zaś o was chodzi to ciescie się i radujcie! Szykuję wam zaszczyt nie

lada. Jutro, gdy boskie słońce stanie na szczycie niebios, zginiecie w płomieniach na jego cześć...

Z głuchym łoskotem opadł kamień zakrywając otwór z powrotem. W ciemnościach więzienia zapanowała ponura cisza.

Przerwała ją Mary, pytając się niespokojnie:

— What did he say? What did he say? (Co on powiedział?)

Łamanym językiem angielskim Zbyszek wytłumaczył jej, o co chodzi. Po czym znowu zapadło milczenie.

Perspektywa śmierci w ogniu wstrząsnęła wszystkimi. Na ucieczkę nie można było liczyć, ewentualny ratunek z zewnątrz był wielką niewiadomą. Sytuacja wyglądała tragicznie.

— A, raz kozie śmierć! — ozwał się wreszcie Paciorek. — Imla i tak mnie nie chce, to mi i życia nie żał. Tylko nie bardzo mam ochotę na to przypiekanie. Brrrrr...

Nikt nie odpowiedział. Tylko Imla, która siedziała obok Paciorka, przygarnęła się do niego. Poczul on na swojej ręce gorące łzy.

— Nie płacz — szepnął serdecznie i objął ją ramieniem.

— Ja nie chcę umierać — łkała dziewczyna — i nie chcę, żebyś ty ginał... i inni... Ja... ja cię

bardzo lubię... Ja cię bardzo przepraszam, że byłam taka niedobra.

— Ależ, Imla... to ja jestem niedobry, bo się tobie narzucałem. Ale czy teraz... Jeśli przypadkiem szczęśliwie wyjdziemy z tej przygody, czy...? - tu młody człowiek zakrztusił się i nie mógł wydobyć głosu.

Przecież Imla wiedziała, o co chciał zapytać.

— Tak — szepnęła cichutko — jeśli szczęśliwie wyjdziemy.

Gdy tych dwoje zamilkło, odezwała się Magda. Głos jej tył pełen spokoju i wiary.

— Moi drodzy, mam takie jakieś wewnętrzne przekonanie, że nie zginiemy. Miłosierny zlituje się nad nami. Jeśli zaś sami nie jesteśmy godni ratunku, to jestem pewna, że zmiłuje się nad tym maleństwem, które noszę poci sercem... Zbyszek już wie, ale wam jeszcze nie mówiłam... Ofiarowałam tę kruszynę Matce Bożej, Ona nie da jej zginąć.

Ufna wiara Magdy i nowina o obecności jeszcze jednej małej osoby napełniły serca pokojem. Następne godziny upłynęły to na rozrachunkach z Bogiem w głębi sumienia, to na wspólnej modlitwie, to na przyjacielskiej rozmowie. Zbyszek zdobywał się nawet na humor.

Wreszcie dobroczynny sen przyniósł ukojenie udręczonym myślą.

####

Na obszernym placu pomiędzy białą piramidą w stylu przypominającym architekturę Azteków, a zielonymi wodami jeziora wszystko było gotowe na złożenie ofiar. Dwa olbrzymie posągi świętych jaszczurów, umajone dziś kwiatami, patrzyły wyczekująco na trzy złowrogie stosy. Po środku każdego stosu sterczał pał, a u podnóża stał niewielki trójnóg z soczewką tak ustawioną, żeby dokładnie w samo południe sprowadziła ogień z nieba. Bez tego ofiara nie mogłaby być miłą bogom. Nie było wszakże obawy: słońce wyjątkowo wyraźnie przebijało się dziś przez gazowy welon planety; chmur i obłoków ani śladu.

Na pierwszych stopniach piramidy, pomiędzy posągami, stał w dumnej postawie Haza. Towarzyszyło mu pięciu innych amgów. Przybranie ich stanowiły skóry zwierzęce, twarze zaś kryły potworne maski z piór w złote bransolety i naszyjniki z drogocennych kamieni. Różnobarwne skrzydła na głowach, drgające nieomal życiem

przy każdym poruszenia stwarzały wrażenie jakiegoś bajkowego zlotu rajskich ptaków. Mimo odświętnego przybrania tłum nie zdradzał podniosłego nastroju. Na twarzach malował się niepokój i przygnębienie.

W pierwszym rzędzie Abgajów stała Dorota, ubrana tak jak dzicy, ale bez skrzydlatego nakrycia głowy. Jej ramię i szyję oplatał wąż Auri. W prawym ręku trzymała bębenek, obleczony skórą. Otaczała ją wielka gromada dzieci, z którymi coś cicho szeptała.

Po obu stronach stosów w niezbyt wyrównanych szeregach stała gwardia Hazy — wojownicy z plemienia Mzauri. Ich nagie, muskularne ciała, wysmarowane oliwą, błyszczały w słońcu pysznym brązem. Czarne, kędzierzawe czupryny, niskie czoła i nieco przyplaszczony nosy wskazywały na rasę odmienną od kuwilińskiej. W rękach trzymali długie dzidy i elipsowate tarcze ze skóry.

Przez milczący dotąd tłum Abgajów przeszedł nagle pomruk. Wszystkie twarze zwróciły się w lewo. To amga Izolk wiódł jeńców, otoczonych oddziałem Mzaurich.

Skazańcy szli z godnością; tylko ich blade twarze i spojrzenia rzucały nerwowo wokół

zdradzały wewnętrzny niepokój.

— Żadnych szans — mruknął Paciorek do idącego obok Zbyszka.

— Jeśli Andrzej miałby nas ratować, to tylko teraz — odpowiedział tamten — ale jak?...

— Patrzcie, tam na prawo — zawołała Magda — to przecież Dorota!

— Udaje, że nas nie zna, jędza! — zaperzył się Paciorek.

Rzeczywiście Dorota ani nie spojrzała na zbliżający się pochód, zdawała się być uosobieniem zimnej obojętności.

Wprowadzono ofiary na stosy i straż poczęła przywiązywać ich parami do słupów. Ponieważ dano prawo wyboru, Zbyszek znalazł się na jednym stosie z Magdą, Paciorek z Imlą, a Kini z Mary. Bostonianka trzymała w ręku różaniec. Teraz, wodząc, że jej zwiążą ręce, założyła go sobie na szyję.

Izolck wbił w ziemię przed Hazą prosty kij. Króciutki cień wskazywał, że południe już blisko.

Kończono właśnie przywiązywać jeńców, gdy Dorota zakołysała się nagle tanecznie w biodrach, uderzyła w bębenek i zaczęła śpiewać. Z jej ust szły dziwne, niezrozumiałe dźwięki. Tem

po pieśni stawało się coraz szybsze... Abgajskie dzieci podchwyciły nutę. Zadudniły bębenki. Małe stopy wystukiwały dziki takt, twarze przybladły, zmaciły się oczy... śpiewający wpadali coraz bardziej **w** jakiś szaleńczy trans, który udzielił się i dorosłym. Tłum kołysał się. falował, tupał. Cały plac rozbrzmiewał niesamowitą melodią, która nabierała siły, przechodziła w krzyk.

Ani Haza, ani jego czarownicy nie wykazali żadnego zdziwienia czy gniewni wobec tego niespodziewanego wystąpienia dziewczyny. Trwali nieporuszeni, pozornie obojętni, jak te posągi obok nich.

Tymczasem ponad głowami zgromadzonych poczęło dziać się coś niezwykłego. Jasne dotąd słońce zaćmiła mgła, jawiąca się nie wiadomo skąd. Gęstniała w oczach, ciemniała. W tłumie ozwały się głosy przerażenia, śpiew osłabł nieco, ale na zachęcający znak Doroty znowu nabrał siły. Chmura rosła nieprzerwanie, zasnuwała coraz większy obszar nieba, zwisała ciężko nad placem. Wtem błysnęło w niej osłepiające świa



tło, potężny grzmot targnął- powietrzem.

Pieśń urwała się. Przez tłum przebiegł strach.

Poczęto niepewnie cofać się ku jezioru i na boki. Koło Doroty wytworzyła się pusta przestrzeń, Wojownicy Mzauri przestępowali niepewnie z nogi na nogę, twarze ich poszarzały z trwogi. Od panicznej ucieczki powstrzymywała ich tylko opanowana postawa czarowników, którzy nawet nie drgnęli na huk piorunu.

Wreszcie jednak Haza uznał, że nadszedł dlań czas działania. Wzniósł obie ręce w górę, a za nim uczynili to jego czarownicy. Tłum na placu zastygł w oczekiwaniu, co się stanie. Zrobiło się w bezwietrznym powietrzu tak cicho, że słyszeć można było tylko przyspieszone bicie serc. I w tej chwili gdzieś od szczytu piramidy nadleciał wiatr. Sypnął piaskiem w oczy jeńców, targnął piórami na głowach Abgajów, po czym wzbił się w górę z potępieńczym świstem. Chmura poczęła ustępować. Wiatr szarpał ją, tarmosił, rozrywał w pierzaste skrzepy. Jeszcze parę minut a ukaże się słońce.

Lecz i Dorota miała w zanadrzu nowe "czary". Machnęła ręką. Na ten znak straszliwy ryk zatrzęsł placem. Zdrętwiali ze zgrozy krajowcy ujrzeli, jak posągi świętych potworów ożyły. Roz-

warły się użębione paszcze, poruszyły straszliwe łapska, ogony były z wściekłością o ziemię. Zdało się, że rzucają się zaraz w tłum, niosąc śmierć i spustoszenie.

Na ten widok szalony popłoch ogarnął i Mzaurich i Abgajów, wrzeszcząc i tratując się rzucili się do ucieczki. Nawet i opanowani dotąd amgowie odskoczyli od posagów z oznakami przerażenia. Pierwszy opamiętał się Haza:

— Stójcie! — krzyknął przeraźliwie. — Bogowie żądają krwi i będą ją mieli!

Tylko czarownicy usłuchali jego głosu. Błysnęły noże. Amgowie poskoczyli ku stosom, by własnymi rękami zamordować jeńców. Nie wiadomo, czy był to akt rozpaczliwej nienawiści, czy też rzeczywiście myśleli, że uspokoją w ten sposób rozwścieczone potwory? W tejże jednak chwili znów zaszło coś niespodziewanego. Od strony posagów doszedł suchy terkot. Wdrapujący się na stosy czarownicy padli bez czucia na gałęzie.

Jeden tylko Haza, którego jakoś nie dosięgły niewidzialne promienie, dopadł Zbyszka i Magdy. Wzniósł nóż w górę do fatalnego ciosu, ale nie zdołał go zadać. Mignęło w powietrzu stalowe ciało węża Auri. Amga, uderzony głowa gada w

piersi, zwałił się nieprzytomny z nóg. — To Dorota, widząc, co się dzieje, wysłała w porę do akcji swego wężowego sprzymierzeńca.

Ukryte w paszczach posągów promieniowe pistolety, siekły dalej po uciekającej straży i tłumie, pokrywając plac nieruchomymi ciałami. Tymczasem nożem Hazy Dorota rozcinała więzy niedoszłych ofiar boga-słońca. W parę minut później, niezwykła batalia była skończona. Ustał terkot broni promieniowej. Potwory ucichły i powróciły do swej posągowej nieruchomości. Jeżynie postrzępiona chmura wisiała jeszcze czas jakiś nad placem jakby nie mogąc wyjść ze zdumienia nad tym, co tu za zaszło.

ROZDZIAŁ VIII

OKO W OKO z KOBRA

Dzięki temu, że potwory zamarły z rozdzielonymi paszczami, mogłem się tą drogą wydostać na zewnątrz. Podobnie z drugiego posągu zsunął się Aba, a w chwilę potem Paumi. Podbiegliśmy od razu do naszych ocalałych przyjaciół, którym Dorota zdażyła już porozcinać więzy. Byliśmy wszyscy tak uradowani i wzruszeni, że przez chwilę trudno nam było znaleźć słowa na wyrażenie uczuć.

Pierwszy przyszedł do siebie Zbyszek.

— Dziękujemy wam za ocalenie, — przemówił — to było wspaniałe widowisko, które jednak wolałbym oglądać w kinie, a nie w na turze... brrr... — wzdrygnął się. — Ale czy to nie było trochę okrutne z waszej strony czekać tak długo?

— Póki amgowie stali obok posągów, nie

mogłem do nich strzelać, chyba żebym się zupełnie wychylił — starałem się usprawiedliwić, ale przerwała mi Dorota:

— To swoją drogą, ale ja obok ocalenia was chciałam też upokorzyć Hazę przed tubylcami, pokazać, że nie tylko on potrafi robić czary...

— No, wszystko jedno — odezwała się Magda — dzięki Bogu, że jesteśmy żywi i cali, bo mim genialności waszego planu o mało co nie skończyło się to tragicznie, przynajmniej dla kilku z nas.

— Jak tyś potrafiła sprowadzić tę chmurę? To wyglądało rzeczywiście na cud albo na czary? — zapytał Paciorek.

— Całkiem prosto: za pomocą tej pieśni, którą śpiewaliśmy. Odpowiednio po sobie następujące dźwięki powodowały kondensację pary wodnej w powietrzu. Całe rano uczyłam dzieci w sekrecie tej melodii. Nie wiedziałam, czy z tego co wyjdzie, tymczasem skutek był fantastyczny.

W czasie tej rozmowy podszedłem do leżącego nieruchomo Hazy. Zciągnąłem mu z twarzy maskę. To była ta sama twarz, którą widziałem niegdyś w widziadle sennym. Pełna pychy i okrucieństwa. Jakby pod wpływem mego spojrzenia drgnęły mu powieki. Otworzył oczy, chciał

się zerwać. Odruchowo wpakowałem mu serię promieni w piersi. Znieruchomiał.

— Będzie trzeba pozbierać tych amigów i zamknąć w bezpiecznym miejscu. Za parę godzin przyjdą do siebie. — Zwróciłem się do Doroty, która w tej chwili podeszła do mnie.

— Wydam odpowiednie polecenie Abgajom — odparła. — Nabrali już odwagi i zbliżają się ku nam.

Rzeczywiście dzicy ochłonęli z trwogi i nadbiegali gromadnie, wznosząc radosne okrzyki. Poczulem się nagle chwycony silnymi dłońmi i wyniesiony ku górze. W tryumfalnym pochodzie niesiono nas ku wiosce, ale po drodze Dorota kazała zmienić kierunek. Uważała słusznie, że po wstrząsających przejściach pierwszej połowy dnia należy odpocząć, a dopiero później będzie czas na świętowanie. Abgajowie więc zanieśli nas do je i domu i do wieczora pozostawili w spokoju.

Opowiadaliśmy sobie nawzajem nieznane szczegóły naszych przygód. Gdy Dorota doszła do tego, jak ukryła Abę i mnie z promieniówkami we wnętrzu posągów, a Paumi pozostawiła przy poruszającym potwory mechanizmie, przerwała jej Magda:

— Mówiłaś nam, że to miasto, piramida i posągi mają już parę tysięcy lat istnienia poza sobą. Nie podobna, żeby mechanizm wprawiający posągi w ruch przetrwał nienaruszony tyle wieków...

— Kiedy mój ojciec przybył po raz pierwszy do Góry Strachów, cały ten plac, na którym miała się odbyć wasza egzekucja, był zasypany wulkanicznym popiołem, który doskonale zakonserwował posągi. Są one zresztą sporządzone, nie z metalu, ale ze specjalnej trwałej masy. Przez pewien czas pracowała tu ekipa archeologiczna sprowadzona z Kamiru. Odkopano wtedy plac; posągi i cały szereg innych ciekawych zabytków ujrzały światło dzienne. Zeszłego roku, kiedy spędzałam tu wakacje, napracowaliśmy się z ojcem wiele nad doprowadzeniem mechanizmu potworów do użytku. Chcieliśmy napędzić Abgajom trochę strachu i zmusić ich do większego posłuszeństwa. Ojciec pragnął dalej prowadzić prace wykopaliskowe, tymczasem Abgajowie bardzo lubią świętować, a nie cierpią łopaty. Nie doszło jednak wtedy do przedstawienia, bo ojciec otrzymał jakieś wiadomości z zewnątrz, które przyspieszyły nasz wyjazd.

— Musisz nam koniecznie pokazać podziemia — odezwał się Zbyszek. — No i roboty... strasznie mnie zaciekawiają.

— Skąd dowiedziałeś się o robotach? — Dorota zmarszczyła brwi, — to na pewno Aba wypaplał.

— Ja myślałem, że o tych robotach to nie tajemnica — bronił się chłopak. — Ale o tych za szklaną ścianą nic nie powiedziałem...

— Jacy znowu „za szklaną ścianą”? Co wy macie za tajemnice? — Zbyszek coraz bardziej zaintrygowany. — Andrzejowi, pokazałaś i Abie też, a przed nami coś ukrywasz ?

— Wtedy zachodziła konieczność. Zresztą Andra to co innego.

— No wiesz, to uważasz nas za coś gorszego?

— Nie, nie, ale... — tu biedna dziewczyna zarumieniła się zmieszana.

Aba wybawił ją z kłopotu, kierując rozmowę na inny temat:

— Wiecie, — rzekł — że to, co Xudri mówił o aniołach, to prawda? Pomimo swych magicznych sztuczek Haza wcale nie wiedział, że zbliżamy i tylko Mzauri przypadkiem nas odkryli. Izolk mówił, że nas broniły jakieś wyższe siły...

— I ja teraz wierzę w aniołów — odezwał się

nagle Paciorek — bo, pominąwszy już nasze ocalenie, to chyba jakimś nadziemskim mocom zawdzięczam, że wreszcie. Imla jest moją narzeczoną... — Tu zacny młodzian tak się zaczerwienił... że przez chwilę nawet jego piegi znikły pod kraśnym rumieńcem.

Imla uśmiechnęła się potwierdzająco, a Dorota, Aba i ja rzuciliśmy się gratulować, nie wiedzieliśmy bowiem dotąd o tym szczęśliwym wydarzeniu.

Owacje i życzenia przerwał gwar głosów, dochodzący z zewnątrz. To przybył nowy naczelnik plemienia, Gongua, syn Mnumu, zgładzonego przez Hazę. Przybrany wspaniale w pierzasty strój i z twarzą wymalowaną w śmieszna kratkę zapraszał nas w imieniu plemienia do wzięcia udziału w uroczystościach, które miały się odbyć wieczorem w wiosce. Bardziej by nam się uśmiechał odpoczynek w wygodnym łóżku, ale trzeba było iść, żeby nie obrazić krajowców. W czasie drogi przypomniałem sobie o Hazie i jego czarownikach. Zwróciłem się do Gonguy z zapytaniem, czy zgodnie z instrukcjami Doroty umieścił ich w tym samym więzieniu, gdzie przedtem znajdowali się nasi przyjaciele.

— He, he, he — zaśmiał się naczelnik. — Gdy

niewinnych miano palić, słońce skryło swe oblicze za chmurę, ale potem chmura znikła i stosy się zapaliły. He, he he... Haza upiekł się naróżnie, który przygotował dla kogo innego. Kiedy przyszedliśmy go zabrać, pozostał tylko popiół.

Niezbyt się zmartwiłem takim obrotem sprawy. Haza otrzymał zasłużoną karę, a nam spadł z głowy kłopot, co z nim robić dalej. Z amgów ocalał tylko Izolk, który zdołał zbiec w dżunglę. Wojownicy Mzauri zostali wszyscy wyłapani i rozbrojeni. Nie myśleli zresztą o żadnym oporze, a w Dorotę wpatrzeni byli jak w bóstwo. Zobaczyliśmy ich teraz, świętujących razem z Abgajami.

Na samym początku uroczystości odbył się obrzęd symbolicznego adoptowania naszej gromadki do plemienia Abgajów. Każdego z nas zaprowadzono do oddzielnego szałas z wielką beczką pośrodku. Anim się obejrzał, gdy nagle pozbawiono mnie odzienia i mimo protestów wsadzono do czarnej, lepkiej mazi. Przypominałaby ona zupełnie smołę, gdyby nie jej przyjemny migdałowy zapach. Gdy wyszedłem z tej osobliwej kąpieli — z wyjątkiem twarzy — zmieniony w murzyna, kilku Abgajów pokryło moje ciało pierzem i barwnymi piórami. W nie-

spełna dziesięć minut przedzierzgnąłem się w wielkiego ptakaluda z tysiąca i jednej nocy. Głowę przystrojono mi wspaniałym złoto- czerwonym pióropuszem, ręce zaś i nogi ozdobiły złote bransolety, pobrzękujące przy każdym kroku. Gdy wyprowadzono mnie na zewnątrz, zobaczyłem i moich towarzyszy podobnie „uptaszonych“ z wyjątkiem Doroty, która już dawno temu przeżyła taką adaptację. Nie byłem zachwycony tą przemianą. W ptasim stroju było bardzo gorąco, ponadto stale się bałem, że upierzenie może odpaść i znajdę się w kłopotliwej sytuacji. Obawa była płonna. Czarna maz stężała w elastyczną powłokę i trzymała pióra bardzo mocno nawet wtedy, gdy po uroczystym obejściu wioski w koło, musieliśmy się zanurzyć w wody jeziora.

Po obrzędowym spaleniu naszych dawnych strojów — na znak, że nic nas już nie łączy z nie-abgajską przeszłością — usadowiono nas na przybranych kwiatami honorowych miejscach. Rozpoczęły się oryginalne tańce przy muzyce bębenków, piszczałek, fujarek i długich trąb z kory drzewnej. Trwająca do późna w nocy uczta zakończyła obchód zwycięstwa.

Następnego dnia rano. po wykąpaniu się w

oleistej cieczy, pióra odpadły od ciała. Otrzyma-
liśmy stroje tubylcze „na codzień” plecione z
barwionej bagiennej trzciny — efektowne i dość
wygodne. Dorota miała co prawda u siebie na
składzie szereg „cywilizowanych” ubrań, ale nie
mogliśmy ich włożyć, żeby nie urazić Abgajów.
Na Wenus okrycie ciała nie jest konieczne, jeśli
chodzi o względy klimatyczne, natomiast dla
plemion prymitywnych stanowi ozdobę i jest
sakralnym znakiem przynależności szczepowej.
Po zaszczytnej adoptacji włożenie na siebie ob-
cych szatek byłoby rodzajem zdrady. A na życ-
liwości Abgajów zależało nam bardzo. Przyszedł



Gdy wprowadzano mnie, ...zobaczyłem i moich towarzyszy podobnie „uptaszonych” z wyjątkiem Doroty.

bowiem czas rozgrywki z Kobrą. Myśl o nim zaprzętała mnie teraz wyłącznie. Żywiłem obawę, że dowiedziawszy się co zaszło w czasie jego nieobecności, albo nie pokaże się wcale, albo uknuje jaką zdradę. Tym łatwiej by mu to przyszło, że by w posiadaniu niewidzialnego hełmu i pasa. Gdzie je ukrył, nawet Dorota tego nie wiedziała.

Abgajów łatwo pozyskałem, gdyż czuli niechęć do Kobry za współdziałanie z czarownikami. Gongua rozesłał na wszystkie strony swoich wojowników. Mieli oni dać nam natychmiast znać o jego zbliżaniu się.

Dorota walczyła ze sobą ciężko. Zmagająca, się w niej miłość do ojca ze świadomością jego przewinień. Rozumiała też, jak bardzo jest niebezpieczny i ile jeszcze może zrobić złego. Długo rozmawiałem z nią na ten temat. Powiedziała mi:

— Wiem, że musisz go ująć. Nie będę ci ani pomagać, ani przeszkadzać. Straciłam zaufanie do ojca. Mam je dla ciebie. Czyń, co uważasz za słuszne.

Na trzeci dzień po pamiętnych wypadkach siedzieliśmy całą gromadą na werandzie. Była wczesna popołudniowa pora. Nie chciało nam się rozmawiać. Powietrze było parne, żaden po-

wiew nie poruszał liści drzew. Całą dżungłę wokół bas objął spokój i cisza. Zdawało się, że nawet czas się zatrzymał i nie ma już przedtem i potem, a jest tylko niezmiennie teraz. I właśnie wtedy zjawił się przed nami niespodziewanie Kobra.

Był bez żadnej broni. Od pasa do kostek okrywała go zana z jaszczurczej skóry. Spojrzenie jego wielkich oczu przesunęło się badawcze po naszych twarzach.

— Vajni! — rzekł swobodnie, lecz bez cienia uśmiechu, po czym zwrócił się do Doroty:

— Widzę, że masz gości. To zapewne twoi przyjaciele z Lejli, o których mi opowiadałaś. Miło powitać.

Dorota siedziała blada i nie odrzekła nic. Z naszych ust wyszło słabe:

— Vajni eneke! (dzień dobry panu).

-- Widzę, że nastrój jak w rodzinnym grobowcu — ciągnął dalej Kobra — może to ja go popsulem swoim przyjściem? Bardzo przepraszam, nie będę przeszkadzał... Paumi, daj mi coś co napicia się! — zwrócił się do dziewczynki, po czym zniknął w drzwiach, domu. Paumi poszła za nim posłusznie.

Wiele razy już planowałem sobie, jak się za-

chowam przy spotkaniu z Kobra. Tymczasem jego pewność siebie opanowanie, wspaniała postawa i podobieństwo do Nary, którego przywykłem szanować i słuchać, sprawiły, że poczułem się bardzo malutki i bezradny. Jakżeż mam tego człowieka aresztować i odstawić do Kamiru?

Odczuwałem na sobie wzrok wszystkich obecnych. Oczekiwali ode mnie jakiejś decyzji, działania, ja tymczasem miałem wrażenie, jak wtedy przy spotkaniu z małpoludem, że moja dusza nagle wyszła z ciała i zawisła nad nim bez żadnej chęci powrotu.

Dopiero widok wstającej Doroty ocknął mnie z bezwładu. W przyływie nagłej determinacji zerwałem się z trzcinowego fotela, powstrzymałem Dorotę, szepnąłem coś do Aby i stanowczym krokiem wszedłem do wnętrza domu.

Zastałem Kobrę w jego pokoju. Rozsiadł się w wygodnym leżaku i popijał czerwony płyn ze zgrabnego kubka. Bezceremonialnie wziąłem bambusowe krzesło i usiadłem naprzeciw niego. Me okazał zdziwienia. Żaden mięsień nie drgnął mu w twarzy, przymrużył tylko oczy, przypatrywał mi się uważnie i, jak mi się zdawało, złośliwie. Było mi nieswojo pod tym wejrzeniem, dlatego od razu zacząłem mówić:

— Na pewno, podobnie jak twój brat Nara, umiesz czytać w myślach, więc chyba nie potrzebuję wyjaśniać kim jestem i z czym przychodzę?

Kobra chwilę milczał, po czym przecząco potrząsnął łysą głową.

— Niestety nie czytam w myślach. Nie miałem dość cierpliwości, by się poddać koniecznym ćwiczeniom. Pozostawiłem to memu kochanemu braciszкови, który ma wytrwałość kiri (zwierzę pociągowe na Wenus). Wolałem w innym kierunku wyteńczyć siły. Domyślam się, że jesteś Andra, ale może mi łaskawie wyjaśnisz, jaki jest cel twojego wtargnięcia do mego pokoju?

— Chyba to łatwo odgadnąć — odpowiedziałem. — Przybyliśmy na Ava-Nari w poszukiwaniu Doroty, a zarazem i ciebie. Chcesz, czy nie chcesz, musisz się udać do Kamiru, lecz wolałbym, żebyś to uczynił dobrowolnie. Czy nie widzisz, że twoja zawiedziona ambicja prowadzi cię do nieuniknionej katastrofy? Już dwukrotnie twoje plany obróciły się w niwecz — na nic się zdał twój geniusz. Ale nawet gdybyś w końcu dokonał zemsty, co ci to da? — Czułem, że mój głos twardnieje i nabiera coraz więcej siły: — Pamiętaj, że nienawiść zżera przede wszystkim tego, kto nienawidzi. Godząc w innych, zabijasz

siebie. Okaż prawdziwą wielkość ducha, która potrafi przejść obok własnej krzywdy, wznieść się ponad nią. Czyż jest coś większego ponad przebaczenie?...

Wstrzymałem potok wymowy. Na cóż te słowa? Czy byłem naprawdę na tyle naiwny, by wierzyć, że moje wzniosłe gadanie przekona go i ugasi ten wulkan nienawiści i pychy?

Kobra przyglądał mi się nadal uważnie. Na wargi jego zabłąkał się ledwo dostrzegalny uśmiech.

— Nieźle, nieźle, jak na młodego mówcę — odezwał się z ironią. — Nie dziwię się, że zawróciłeś Dorti w głowie... ja jestem za stary na te bzdury. Powinienem cię właściwie zniszczyć jak dokuczliwego owada, lecz po pierwsze: cenię sobie przeciwników, którym udało się zaszkodzić mi chwilowo; po drugie: jeśli ci co zrobię, Dorti gotowa wydrapać mi oczy. Wobec tego proponuję ci rzecz następującą: przejdź na moją stronę! Jako Polak masz na pewno żal do mnie, że się sprzymierzyłem z Niemcami. Głupstwo! Potrzebowałem ich do budowy wieży. Potem albo tańczyliby, jak bym im zagrał, albo zniszczyłbym ich jednym przyciśnięciem guzika. Zresztą tu na Wenus powinieneś czuć się przede wszystkim

patriotą globu ziemskiego. Nie zrobiono mnie gubernatorem. Dlaczego? Grała tu nie tylko rolę zazdrość wobec człowieka utalentowanego, ale i złość, iż chciałem przyjść Ziemi z pomocą zaprowadzić tam ład i pokój. Pamiętaj, że to ja przeprowadzałem pierwsze dokładniejsze obserwacje Ziemi, że przewidziałem wasz szybki rozwój techniczny. To ja skłoniłem moje władze do wycofania się z systemu słonecznego, do pozostawienia go wam i zapoczątkowania kolonizacji Wenus waszymi osadnikami. Sam zorganizowałem to wielkie przedsięwzięcie. Nie chodziło mi przy tym o splątanie figla załodze pierwszej rakiety, wystrzelonej z Ziemi, ale o uniknięcie w przyszłości walki między mocarstwami o naszą planetę. Którerekolwiek dostanie się tu pierwsze, znajdzie ją już zaludnioną i zagospodarowaną. Stworzyłem też przez to z Wenus rodzaj gigantycznego laboratorium, w którym możemy się wam dokładnie przyjrzeć i stwierdzić, które narody nadają się najbardziej do zagospodarowania tutejszych terenów.

— Na pewno nie wiesz. — ciągnął dalej, zapalając się coraz bardziej — że z mojej inicjatywy miano rozpocząć na Księżycu budowę gigantycznych urządzeń, za pomocą których mo-

glibyśmy tak kierować życiem na Ziemi, jak to czynimy na Wenus. Czy wiesz, co by to znaczyło dla was?... Pokój, nieustanny pokój, dobrobyt, raj. który utraciliście na początku swej ludzkiej historii... I to wszystko zawdzięczalibyście jednemu człowiekowi: mnie.

— I patrz!... Po tym wszystkim usunięto mnie, skrzywdzono, odrzucono jak brudną, nikomu nie potrzebną szmatę. Ludzie, którzy mi do pięt nie dorośli, sami chcą teraz urządzać system słoneczny. Niedoczekanie ich! — głos Kobry nabrzmiał wściekłością, wielkie oczy cisnęły płomienie gniewu. — Niedoczekanie ich! Mnie nie zniszczą, nie złamią... Ja ich wszystkich rzucę pod moje stopy. Będą mi jeszcze palce lizać i skomleć o litość... i Nara, mój brat. najpodlejszy zdrajca przyjaźni i braterstwa! Byłby drugim po mnie a tak będzie niczym... starą purchawką, którą zdepczę o tak... — to mówiąc z pasją stuknął stopą o podłogę.

Gest był raczej śmieszny. Prysnał czar. Może to był i geniusz — wielki rozmachem myśli, ale mały duchem, zapatrzony w siebie, odmieniający ja, ja, ja, przez wszystkie przypadki. Rozumiałem teraz, dlaczego nie zrobiono go gubernatorem: takiemu człowiekowi nie można

było dawać władzy w dłonie, byłaby ona przysłowiowym mieczem w ręku szaleńca.

— I ty myślisz — odezwałem się ze wzgardą — że będę twoim sprzymierzeńcem? Nigdy! Przyznaję wielkość twych pomysłów... O ile wiem, wiele z nich nadal się realizuje... Ale z twoich słów jasno widzę, że przede wszystkim szukałeś siebie, upijałeś się swoim geniuszem. Gdyby ci dano władzę, o której marzyłeś. stałbyś się nie zbawcą, lecz tyranem systemu słonecznego i jego mieszkańców. Nie, Kobra, nie pójdę z tobą, natomiast ty pójdziesz ze mną do Kamiru, jeśli nie dobrowolnie, to w kajdanach!

Twarz Kobry stała się purpurowa. Myślałem, że albo trafi go apopleksja, albo rzuci się na mnie.

— Ty, ty? Ty zaprowadzisz mnie w kajdanach do Kamiru? Ty chłystku! Ty durniu! Ty chcesz na mnie rękę podnieść?

Oczy Kobry stały się jakieś dziwne. Czuję, iż wypływa z nich obezwładniająca siła, której nie mogę się oprzeć. Siedziałem jak przykuty do krzesła nie mogąc nawet drgnąć. Myśl mętniała, zdawało mi się, że się zapadam.

-- Aba! - zdołałem z trudem wyrzucić poprzez martwiejące wargi.

Zaszeleściło za plecami Kobry. W trzcinowej ścianie ukazał się koniec małej dmuchawki. Fiuuut... świsnęła strzałka. Kobra zwałił się na ziemię, a ja powoli wracałem do siebie.

Gdy wyszedłem nieco chwiejnym krokiem przed dom, zastałem tam Gonguę i kilku wojowników.

— Kobra spotkał w dżungli Izolka — wyrzucił sobie zaniepokojony naczelnik — od niego dowiedział się, co zaszło. Kazał wojownikom, z którymi polował, udać się do wioski, a sam zniknął z czarownikiem.

— Wszystko w porządku — odpowiedziałem — Kobra jest tutaj i więcej szkodzić nie będzie.

Izolka złapano w godzinę później. Ukrywał się w pobliżu.

####

Pora była popołudniowa. Leżeliśmy na mchu pod wielkimi drzewami o kolosalnych liściach, dających gęsty cień. Czuliśmy wielkie znużenie drogą. Dżungla była miejscami tak gęsta, że nie bylibyśmy w stanie przebić się przez sploty lian, krzewów, zwałonych pni i kolczastych roślin,

gdyby nie użycie dezintegratora. Działał on wspaniale, ale zarazem tworzył masę pyłu, który wdierał się w płuca i dusił. Nazwaliśmy go przez to "rozpylaczem". Sprawiał przy tym wiele huków, co mogło nam sprowadzić na karki nieprzyjaciela, mieliśmy bowiem nowego wroga.

Opuściliśmy Górę Strachów dwa dni temu, nazajutrz po spotkaniu z Kobrą. Gościnni Abgajowie radzi by nas zatrzymać jak najdłużej, mnie się wszakże bardzo śpieszyło. Chciałem jak najszybciej dotrzeć do Takili, zawiadomić Narę o przebiegu wypadków i pozbyć się kłopotliwego więźnia. Kobra po przebudzeniu znalazł na swej prawicy stalową bransoletę, której zdjąć nie mógł. Był teraz w mojej mocy. Przez przyciśnięcie guziczka w przyrządzie, który miałem w swojej torbie podróżnej, mogłem go w każdej chwili pozbawić przytomności. W razie ucieczki więźnia ten sam przyrząd wskazywał, w jakim kierunku i w jakiej odległości się znajduje. Kobra przyjął swój los z pozorną obojętnością. Niemniej byłem pewny, że jego myśl gorączkowo opracowuje plan wyrwania się z moich rąk.

Zamierzaliśmy dostać się do Takili łodziami, płynąc w dół rzeki Danga. Dla zabezpieczenia sobie wolnego przejazdu puściliśmy do domu

dawną gwardię Hazy. Mieliśmy nadzieję, że w ten sposób wieść o tym, co zaszło, rozejdzie się szybko między plemionami, wzbudzając respekt dla pogromców czarowników. Stało się inaczej. Poniewczasie dowiedziałem się, że wśród Mzaurich żyje jeszcze jeden amga z grupy Hazy, mianowicie Geru, który stał się faktycznym władcą tego plemienia. Rozwścieczony klęską swych współtowarzyszy postanowił pomścić ich śmierć. Ponieważ rzeka Danga płynęła przez terytorium Mzauri, miałby doskonałą okazję urządzić zasadzkę i wymordować nas po drodze.

Po naradzie postanowiliśmy pójść na przełaj przez dżunglę i dotrzeć do brzegów innej rzeki, zwanej Ubla, która wpadała do morza w odległości kilkudziesięciu kilometrów od siedzib Spaxów. Od jej ujścia ruszylibyśmy łodziami wzdłuż wybrzeża morskiego z powrotem do Takili. Droga była o wiele dłuższa, ale wydawała się bezpieczniejsza.

Gongua dał nam dziesięciu swoich wojowników. Do safari przyłączył się Izolk, który postanowił powrócić na wyspę amgów. Proponowałem Dorocie, byśmy zabrali także ze sobą kilka robotów z podziemia. Mogliby nieść nas w lektykach.

— Jeśli chcesz im grać całą drogę na fujarce. możemy ich wziąć — odpowiedziała. — Ruszają się bowiem wtedy, gdy się wygrywa odpowiednia melodię. Zresztą służyli zawsze raczej do zabawy niż do celów praktycznych.

Trzeba więc było z nich zrezygnować. Ruszyliśmy wczesnym rankiem, zegnani przez Sbgajów.

Wydostaliśmy się z Góry Strachów podziemnym tunelem, przeprowadziliśmy się przez rzekę Danga i zagłębili się w dżunglę. Pierwsze dwa dni marszu minęły bez specjalnych wydarzeń. Kobra zachowywał się swobodnie. Szedł nie jak więzień, ale jak zwykły członek wyprawy. Rozmawiał z nami, rzucał nawet od czasu do czasu dowcipną uwagę. Znał świetnie miejscową przyrodę, udzielał chętnie wyjaśnień na pytania. Tylko z córką nie zamienił ani słowa. Zdawał się jej w ogóle nie widzieć.

Dziewczynę kosztowało to wiele. Magda w dobroci swego serca starała się jej stale dotrzymać towarzystwa, zabawiała ją rozmową, ale nie zdołała rozpogodzić smutnego nastroju Doroty.

I teraz widziałem jak siedziała z dala od innych na zwalonym pniu z opuszczoną głową.

Podszedłem do niej.

— Andra — rzekła podnosząc na mnie swe wielkie zielone oczy — ja już dłużej nie wytrzymam. Pilnuj mnie. bo się boję sama siebie. Weź ode mnie pistolet, nie rękę bowiem, czy w jakiej chwili nie zacznę strzelać do was albo wręczę go ojcu. Jego wzrok pełen wyrzutu męczy mnie niesłychanie. Już nie mogę...

Nie przyjąłem podanej broni. Usiadłem obok Doroty i objąłem ją ramieniem.

— Głowa do góry! — powiedziałem serdecznie. — Nie załamuj się. Twój ojciec umyślnie cię dręczy. To sprytny gracz, ale pamiętaj, że i my prowadzimy z nim grę o jego duszę. Powiem ci coś na pociechę. Umyśliłem sobie, że jak dołączymy do Takili to zawieziemy Kobrę najprzód bo dobrych amgów. Niech tam pozostanie czas jakiś. Wśród tych ludzi oddanych modlitwie, tak pełnych spokoju, może odnajdzie siebie, zrozumie, że tylko miłość jest twórcza...

Dziewczyna zarzuciła mi ręce na szyję.

— Kocham cię, Andre, jesteś bardzo dobry! — powiedziała cichutko i wycisnęła pocałunek na moim policzku. Poczulem się w siódmym-mym niebie.

W godzinę później ruszyliśmy w dalszą drogę.

Dorota poweselała i ja też. Posuwanie się na-
przód było teraz o wiele łatwiejsze, bo dżungla
rzedła. Pomiedzy mchem i trawą coraz częściej
ukazywały się łachy czerwonego piasku. Teren
wznosił się łagodnie. Mieliśmy niedługo przeciąć
po średnicy wewnątrz góry pierścieniowej, pu-
stynne, usiane niewielkimi wulkanami. Czekало
nas 20 km ciężkiego marszu po rozpalonym
piachu i zastygłej lawie. Abgajscy przewodnicy
uważali wszakże, iż to lepsze niż obchodzenie
góry naokoło poprzez dżunglę, gdzie Mzauri
mogli łatwo urządzić zasadzkę. Ja co prawda nie
przypuszczałem, by Geru chciał wyprawiać się
za nami w pościg, ale ostrzegł mnie o tym Izolk.

— Andra-Andra — powiedział z szacun-
kiem — czuję ich za nami. Są jeszcze daleko, ale
posuwają się szybciej od nas.

Czyżby Izolk posiadał pewne zdolności spo-
strzegania pozazmysłowego wbrew niepochleb-
nej o nim opinii Doroty? Raczej powątpiewałem
o tym, ale nakazałem ostrożność.

Ostrzeżenie przyszło dnia poprzedniego. Jeśli
było prawdziwe, nieprzyjaciel mógł już być bli-
sko. Rozglądaliśmy się uważnie, lecz puszcza
wokół nas wyglądała przyjaźnie. Uciekały nam
spod nóg wesołe jaszczurki o przepysznych

barwach, uganiały się po drzewach, a niektóre nawet przeskakiwały z gałęzi na gałąź jak wiewiórki. Był to gatunek ciemno-miedzianego koloru z błoną między łapkami, pełniącą rolę spadochronu.

Ogromne ważki siadały ufnie na naszych głowach wachlując przyjemnie przejrzystymi skrzydłami. Widzieliśmy też mnóstwo mrówek małych, dużych i olbrzymich dochodzących do 30 cm długości. Dźwigały pracowicie to liście, to patyki, to martwe szczątki innych owadów.

— Spełniają, one rolę czyścicieli dżungli — objaśnił Kobra. — Nie atakują żadnego żywego stworu, natomiast zbierają wszystko, co było kiedyś materia organiczną. Nie należy się ich obawiać. Ludzkiemu ciału nie czynią szkody. Co najwyżej w czasie snu mogą człowieka obrać dokumentnie z ubrania. Widzicie tamto żółte wojsko? Jest szczególnie niebezpieczne, bo operuje bardzo delikatnie. W czasie jednej z naszych wypraw z Narą zabrały nam w nocy wszystko: i ubranie, i torby podróżne, i notatki. Zostawiły tylko metalową broń. Lepiej zawsze spać w pobliżu ogniska, wtedy nie podejda.

Jeszcze przed zapadnięciem mroku dotarliśmy do potężnej wyrwy w górze pierścieniowej.

Ta przełęcz, najprawdopodobniej utworzona przez wstrząs ziemi, ułatwiła dalszy marsz, oszczędzając żmudnej wspinaczki. Posunęliśmy się nią z pół kilometra i rozłożyli na nocny spoczynek. Choć słońce zaszło, nie zapadły ciemności. Ceglasty piasek, i stoki górskie wydawały z siebie silny blask, barwiąc ludzi, drzewa i krzaki intensywnym czerwonym kolorem. Z wnętrza pierścienia góry dochodziły groźne pomruki; przez grunt pod nami przechodziło raz po raz drzenie. Czuliśmy się nieswojo.

— Wygląda mi to na przedpiekle — stwierdziła Magda.

— Oby się tylko rzeczywiście diabli nie ukazali — rzuciłem w odpowiedzi. — Ej, Izolk! czujesz Mzauri w pobliżu?

Amga popatrzał na mnie z zakłopotaniem.

— Jakoś nic nie czuję. Andra-Andra. Mnie to nie zawsze przychodzi.... teraz jestem zbyt zmęczony...

Prawie nie zmrużyłem oka tej nocy. Czerwone światło wpychało się pod powieki, drażniło. Raz po raz obchodziłem warty, obawiając się, by kto nie usnął i nie dał się podejść nieprzyjacielowi. Choć było jasno, jednak wielkie głązy, skały i dość gęste jeszcze zadrzewienie sprzyjały

przeciwnikowi. Nie pokazał się przecież tej nocy.

Nazajutrz rano, po śniadaniu, chciałem dać znak do wymarszu, gdy powstrzymał mnie Kobra.

— Chcesz, żebyśmy się upiekli na pustyni? Czy wiesz, jaki nas tam żar czeka?

I nie zwracając na mnie uwagi rzucił jakieś rozkazy Abgajom. Ci rozbiegli się w oka mgnieniu po okolicy. Część zaczęła zrywać wielkie liście z drzewa „bdauli“, inni naznosili pełne naczeka ciemnobrazowych owoców kaktusowej rośliny „ukla“, której sporo tu rosło.

— Idźcie dziewczęta za tę skałę — komen-derował dalej Kobra — i wysmarujcie się od stóp do głów sokiem tych owoców. My to samo zrobimy tu na miejscu. Potem możemy skakać i w ogień.

Rzeczywiście, gdy tylko dotknąłem ciała oleistą ciecżą, przeniknął je przyjemny chłód. Utrzymawał się on do dwóch godzin, potem należało powtórzyć operację.

— Że też wcześniej nie poznaliśmy tej rośliny — westchnął Paciorek.

Z zerwanych liści Abgajowie porobili rodzaj kapeluszy. Na nogi założyliśmy kierpce sporządzone uprzedniego dnia ze skóry grzybów-giga-

ntów. Zabrawszy ze sobą zapas owoców ukli, wody i żywności zagłębiliśmy się w przełęcz. Zwęzłała się ona coraz bardziej, aż po godzinie rozdarła się nagle szeroko na pustynne wnętrze pierścieniowej góry. Rozległą płaszczyznę zasnuwały dymy z dwu czynnych wulkanów. Ogołocony z tej roślinności teren pokrywały czerwone piaski szary popiół i zastygłe rzeki i jeziora czekoladowej lawy. Małe martwe kratery przerywały monotonna płaskość równiny. Widok był smutny, lecz nie pozbawiony swoistego piękna. Nie kontemplując go zbyt długo ruszyliśmy naprzód. Marsz nie był łatwy. Stopy grzęzły w piasku, rozpalone powietrze *wysuszało* płuca, przyjemne działanie ukli ułatwiało się z każdą minutą. Ogarniał nas coraz większy żar i znużenie.

Zaczynałem już żałować, że nie wybraliśmy dłuższej drogi przez dżunglę, gdy za nami rozległ się dziki wrzask. Obejrzeliśmy się. Z gardzieli przełęczu wysypywali się wojownicy Geru, uzbrojeni w dziiryty i tarcze. Była ich chyba setka. Zobaczyliśmy i samego czarownika, niesionego w lektyce. O ile Mzauri byli prawie nady, o tyle jego kryła złocista szata, błyszcząca wspaniale w słońcu. Pojawienie się nieprzyja-

ciela nie wzbudziło w nas popłochu. W tym otwartym terenie osiem promieniówek i rozpylacz i na liczniejszego przeciwnika. Podpuściliśmy dość blisko dziką falangę i przywitaliśmy ją „ogniem” porażających promieni. Padło od razu ze trzydziestu. Mzauri rzucili się do ucieczki. Kosiliśmy ich, póki nie znaleźli się poza zasięgiem naszej broni. Geru zeskoczył z lektyki i wiał jak sarenka. Niestety trzymał się od początku poza plecami swych wojowników i nie zdołaliśmy go dosięgnąć. Wystrzeliłem jeszcze na postrach z dezintegrator czyniąc dużo huk i wznosząc tumany pyłu.

Właściwie powinniśmy się byli udać w pościg za Geru i ująć go. Jednak gorąco, zmęczenie i piasek, w który zapadaliśmy się po kolana, odebrały nam ochotę. Zadowoleni z łatwego zwycięstwa, ruszyliśmy dalej w swoją drogę. Z pustynnego gruntu wystrzelały teraz nieoczekiwanie w górę srebrzyste iglice kaktusowej rośliny. Było ich z kilkadziesiąt sztuk. Zaraz za nimi weszliśmy w zastygłe morze lawy. Jej szklista powierzchnia zdawała się pozornie gruba i mocna, w rzeczywistości pełna była bąbli powietrza. Przy stąpieniu cieniutka warstwa pękała jak kruchy lód i nasze stopy wpadały w dziury, raniąc się o

ostre kanty. Na szczęście dwieście metrów dalej ukazał się znowu mialki piach. Nauczeni doświadczeniem, wygięliśmy prostą dotąd linię marszu, chcąc możliwie daleko ominąć niezbyt już odległy krater, którego stoki i podnóże pokrywała obficie lawa. Nie wzbudzał on też w nas zaufania i z tego względu, że dymił zapamiętale i mruczał pod nosem jakieś swoje diabelskie pacierze.

Mzauri ukazali się znowu poza nami, ale trzymali się teraz w bezpiecznej odległości. Na otwartej przestrzeni nie mogli nam nic zrobić, ale co będzie, gdy wejdziemy w dżungłę?

Koło zachodu słońca dotarliśmy do połowy pustyni. Rozłożyliśmy się na nocleg we wnętrzu jednego z pomniejszych kraterów. Tworzył on jakby naturalną twierdzę. Mimo nocy Mzauri nie mogli nas podejść, gdyż piasek i lawa promieniowały czerwonym blaskiem, zabarwiając purpurą dymy nad nami, nas samych i całą okolicę. Z nadejściem nocy zrobiło się nieco chłodnie. Poczulibyśmy się lepiej, gdyby nie to, że jednocześnie wiatr począł nawiewać ku nam dym. śmierdziało siarką i zachodziła obawa, że możemy zatruć się gazem.

Umieściłem się na krawędzi krateru. Obok

mnie, nieco poniżej, siedział Izolk. Był wyraźnie zaniepokojony. Czułem, że chce mi coś powiedzieć i nie ma odwagi. Sam więc zagailem rozmowę:

— Dziękuję ci, żeś nas ostrzegł przed napadem. Muszę się przyznać, że nie bardzo wierzyłem w twoje przeczucia...

— Ja nie jestem bardzo potężnym czarownikiem — przyznał pokornie amga, — ale coś niecoś się nauczyłem... Słuchaj, Andra, czy myślisz, że Xudri mi przebaczy i przyjmie z powrotem?

— Na pewno, to bardzo dobry człowiek.

W razie jednak gdyby cię nie chciał przyjąć, to pojedziesz z nami na Lejlę i tam sobie jakoś urządzisz życie.

Izolk nic nie odparł, ale czułem, że jego niepokój nie ustąpił.

— Haza mi mówił — odezwał się znowu po chwili, — że jak go zdradzę, to on mnie nawet po śmierci znajdzie i zamorduje. Ja się boję...

— P'massevu fumba! (Głupiś!) — Odpowiedziałem — Haza siedzi teraz gdzieś w ogniu piekielnym, może właśnie tu na dzień tego, wulkanu, co tak dymi. Ma on teraz inne zmartwienia niż swoja osoba. Zresztą wcale go nie zaradziłeś.

On nie żyje i jesteś wolny...

— Nie, nie jestem wolny. Jak on zginął powinienem być razem z Geru... Myśmy przysięgali Borajowi, że będziemy mu służyć.

— Cóż to za Boraj?

— To wielki duch podziemi.

— A, przysięga dana diabłu nie ma znaczenia. Oddaj się pod opiekę naszemu chrześcijańskiemu Bogu. Jego potęga jest nieskończona i nawet twój Boraj, chce czy nie chce, musi go słuchać.

— To prawda, Andra-Andra, twój Bóg jest bardzo potężny. Gdy Koza wyczuł na odległość, że ty jedziesz w sztucznej rybie, by zabrać Kobrę i Dorti, Kobra uprosił go, by cię zabił. Zebraliśmy się, wszyscy amgowie, i siłą naszej woli wysłaliśmy nóż... ale ty żyjesz. Haza nam od razu powiedział, że was wszystkich broni jakaś niezwykła siła. Twój Bóg jest wielki...

— A zarazem bardzo dobry i miłosierny. Jak będziesz żałował, przebaczy ci wszystko złe...

Od dymiącego wulkanu dobiegł potężny grzmot, silniejszy niż poprzednie pomruki.

— Więc ty myślisz. — odezwał się znowu Izolk drżącym głosem. — że Haza siedzi w tym kraterze?

Nie zdążyłem odpowiedzieć, gdyż ziemia poczęła się trząść pod nami, raz, drugi, potem coraz gwałtowniej. Jednocześnie ze wszystkich stron poczęły dochodzić jakieś ryki i pomrukiwania, jakby dzikie bestie czaiły się wokół nas. Nagle nie cały kilometr od nas z nieczynnego dotąd krateru wytrysł w górę ze straszliwym świstem słup gazu, świecącego jaskrawym białobłękitnym światłem. Po paru minutach płomień gazu opadł. Zamiast niego wystrzeliła w górę żółto-czerwona lawa i niby płynne złoto poczęła wylewać się z ogromną, szybkością na zewnątrz. Płomienista rzeka potoczyła się ku Mzaurim. Rzucili się do ucieczki, ale widzieliśmy, jak lawa ogarnęła kilku z nich.

Nam nie zagrażało na razie bezpośrednio niebezpieczeństwo. Rozpalona lawa odcinała nas tylko od drogi, którą przybyliśmy i od nieprzyjaciela. W każdej chwili mógł nastąpić jeszcze silniejszy wybuch i nas dosięgnąć. Ziemią nadal wstrząsały konwulsyjne drgania. Od strony płonącego krateru dochodziły głośnie huki i bulgotanie wydobywającej się lawy.

Staliśmy wszyscy na krawędzi, oglądając groźne zjawisko. Obok mnie stał Kobra.

— Czy nie lepiej uciekać? — zapytałem j go.

Pokręcił przecząco głową.

— Raczej nie. Znajdujemy się na wzniesieniu, lawa nie powinna tu dotrzeć. W tym terenie nie da się szybko uciec, ogień może nas dogonić.

— A co będzie, jak ten stożek, na którym stoimy — wtrącił Zbyszek — wyleci w powietrze?

Odpowiedziało mu milczenie. Wulkan ponownie bluzgnał ogniem. W boku krateru powstała druga z kolei wyrwa. Lawa znalazła sobie nowe łożysko i odcinała nas teraz od zamierzonego kierunku dalszego marszu. Po chwili obie odnogi ognistej rzeki złączyły się, chwytając nas w potrzask. Znaleźliśmy się na wyspie, otoczonej płomienistymi ramionami. Żar, idący od roztopionej lawy uniemożliwił dalsze patrzenie. Musieliśmy skryć się poza zrab krateru. Ponadto z nieba zaczęło padać coś w rodzaju śniegu: szare, dziwne płatki, jakby spopieliałe kartki jakiejś ogromnej, diabelskiej księgi.

Po kilku minutach grzęźliśmy już po kolana w tej niezwykłej substancji. Robiło się coraz goręcej. Każdy smarował się jak mógł, resztkami soku ukli.

Siedziałem na występie skalnym. Przysiadła się do mnie Dorota. Chwyciła mnie kurczowo za

rękę.

— Jeśli trzeba umierać, to umrzemy razem...
będzie mi raźniej przy tobie...

Usłyszał jej słowa Kobra.

— Nie śpiesz się zbytnio z tym umieraniem
— rzekł. — Według mojej oceny wybuch ma się
już ku końcowi. W tych stronach zdarzają się
często, ale są stosunkowo słabe i trwają krótko.

Kobra miał rację. Huki poczęły przycichać.
Drżenie ziemi ustało. Lawa zaledwie się sączyła.
Niemniej było nadal potwornie gorąco i męczy-
liśmy się bardzo. Nikt też nie mógł zagwaran-
tować, czy za chwilę nie nastąpi nowy wybuch,
choćby tego krateru, w którym znaleźliśmy tym-
czasowe schronienie. W niepewności więc oczy-
kiwaliśmy dnia.

Izolk znowu podjął rozmowę:

— Powiedz mi coś o waszym Bogu — prosił.

Zupełnie nie czułem nastroju do katechizacji.
Zaschło mi w gardle, byłem zmęczony, w głowie
mi się mąciło. Ponadto moja znajomość kuwi-
lińskiego języka, dobra na co dzień, uboga była
w pojęcia bardziej oderwane. Miałem ochotę mu
odpowiedzieć: „powiem ci to innym razem”, ale
przyszła mi myśl: czy będzie to "innymi razem"?
Zacząłem więc mówić. Zbliżyli się wojownicy

abgajscy, słuchał i Kobra. Dopomagała mi Dorota, dopowiadając brakujące słowo, lub prostując myśl niezdarnie wyrażoną. To i owo dorzucał czasem Kini, Imla czy ktoś inny z naszej gromadki. Jedyna w swoim rodzaju lekcja religii tuż obok piekielnego pieca.

— Czemuż nie wiedziałem tego wcześniej?
— powtarzał raz po raz Izolk.

Nadszedł wreszcie zasnuty dymami ranek. Wulkan uspokoił się zupełnie. Ogniste ramiona obejmujące nasz krater ściemniały. Tylko tu i tam spod czekoladowej zastygłej ławy wyglądała burakowa barwa wolniej chłodniejącej substancji. Po Mzauri i Geru ani śladu. Jeśli nie zginęli, opuścili w ogóle wnętrze pierścieniowej góry.

— Te lawy tutaj — odezwał się Kobra — twardnieją szybko. W niektórych miejscach można by już zaryzykować przejście, gdyby nie zbyt gorąco.

— Ile czasu trzeba czekać — zapytałem — zanim temperatura stanie się możliwa?

— Trzy, cztery dni, może tydzień.

— Ojej! Mielibyśmy tutaj tydzień czekać?
— zawołała Imla. — Bez wody i jedzenia!

— Niestety, panienko, na to się zanosi. Nie

przefruniemy tej lawy. Chyba Izolk?... ale i to wątpię.

Izolk na dźwięk swego imienia podniósł się z głazu, na którym siedział. Tak jak i reszta z nas miał okropny wygląd: twarz czerwona od gorąca i brudna od popiołu i potu, oczy podbite, zmęczone, ubranie pokryte szarą warstwą wulkanicznego „śniegu”, który nie topniał, ale przykleił się szczelnie do szat i ciała.

— Przefrunąć nie potrafię; to umiał tylko Xudri, Haza i kilku wybitniejszych amgów. Ale ja was przeprowadzę przez lawę...

Patrzeliśmy na niego z niedowierzaniem. On tymczasem wspiał się na skraj krateru. Rozglądał się czas jakiś, wreszcie skinął na nas:

— Chodźcie za mną!

Skierował się ku miejscu, gdzie dwa ramiona lawy spotkały się. Zalana przestrzeń nie była tu szersza, niż dwieście metrów i z konfiguracji terenu wynikało, że musiała być stosunkowo płytka. Biło jednak od niej takie gorąco, że nie mogliśmy się zbliżyć na więcej niż sto, może siedemdziesiąt metrów. Lawa była gładka jak lustro. Izolk szepnął coś jednemu z Abgajów. Ten wspiał się na pobliski wzgórek i stracił z jego szczytu wielki odłamek skalny. Głaz potoczył się

z hukiem, odbił się z hukiem, odbił się dwukrotnie od zastygłej powierzchni i znieruchomiał.

— Powinna utrzymać człowieka — stwierdził Izolk, po czym wskazał na mnie palcem — ty pójdziesz pierwszy, a potem ty, ty i ty... — ustawił wszystkich w kolejce.

Posłuchaliśmy, ale bez wielkiego zapału. Ja szczególnie nie miałem ochoty być pierwszym obiektem, jego szaleńczego może eksperymentu. Uspokoił mnie Kini:

— Ja wiem, co on chce zrobić — powiedział — Araru to też potrafił. Tak nas zaczaruje, że będziemy mogli przejść cało na drugą stronę.

I ja przypomniałem sobie, że czytałem kiedyś o umiejętności chodzenia po ogniu niektórych prymitywnych plemion (np. na wyspach Fidżi); niemniej z niepokojem oczekiwałem rozpoczęcia tej przeprawy.

Izolk ustawił mnie między sobą a lawą. Skupił się. Mruczał pod nosem niezrozumiałe zaklęcia. Obie ręce wznosił w kierunku zamierzonego przejścia i zastygł w tym ruchu. Nad błyszczącą taflą lawy drgało rozgrzane powietrze. Piasek pod moimi nogami był tak gorący, że przestępowałem ze stopy na stopę. Izolk nadal mam-

rotał magiczne formułki. Nagle przestałem czuć gorącość piasku pod nogami, a i żar bijący od lawy przestał mnie palić. Izolk dotknął mego ramienia.

— Idź! — powiedział.

Miałem potwornego stracha, ale usłuchałem. Ile sił w nogach pobiegłem ku lawie. Wstąpiłem na nią i pędziłem dalej. Nie załamała się choć alarmująco zatrzeszczała parę razy. Gdy dopadłem drugiego brzegu, pierwszym odruchem było obejrzenie stopy: ani śladu jakiegokolwiek spaleniźny. ani jednego bąbla. Natomiast mokasyny z grzybowej skóry zwęgliły się zupełnie, a trzcinista popia tliła się w kilku miejscach.

Dałem znak innym. Jeden za drugim przebiegli wszyscy. Wreszcie po drugiej stronie pozostał tylko Izolk. Stał nadal z wyciągniętymi ramionami niby Mojżesz na pustyni.

— Przechodź! — krzyknąłem ku niemu.

Postąpił niepewnie kilka kroków, zatoczył się i padł na ziemię.

— Co mu się stało? — padły pytania.

— Omdlał. Musiało go to zbytńio wyczerpać.

Chciałem biec na pomoc. Postąpiłem parę kroków ku lawie, ale zastąpiła mi drogę ściana takiego żaru, że cofnąłem się natychmiast. Izolk

nadal leżał bez ruchu. Czekaliśmy godzinę, dwie.

Ani drgnął.

— Nie żyje — stwierdził wreszcie stanowczo Kobra. — Idźmy dalej.

— A jeśli żyje? Nie możemy go tak zostawić — zaprotestowałem.

— I tak mu nic nie pomożemy — poparł Kobrę Paciorek. — Jeśli przyjdzie do siebie, to nas dopędzi później. My lepiej chodźmy. Już i tak jesteśmy prawie ugotowani w tym gorącu, ponadto wulkan znowu mruczy i ziemia dygocze. Nie daj Boże nowego wybuchu!

Był to głos rozsądku. Należało go posłuchać. Z ciężkim sercem udaliśmy się w dalszą drogę. W kilka godzin później, gdy dotarliśmy do pierścienia górskiego, opasującego ognistą pustynię, staliśmy się świadkami nowego gwałtownego wybuchu. Na ile z oddali można było się zorientować, zmiotł on całkowicie ów krater, który dał nam przytułek ubiegłej nocy. Gdyby nie Izolk, zginęli byśmy teraz w płomieniach. Uratował nam życie kosztem swojego.

Tej jeszcze nocy przekroczyliśmy, mimo ogromnego wyczerpania, łańcuch górski znaną Abgajom przełęczą. Woleliśmy mieć jak najdalej

poza sobą szalejące siły przyrody.

Wczesnym rankiem zastąpił nam drogę pierwszy strumień. Rzuciliśmy się weń jak szaleni.



Wreszcie po drugiej stronie pozostał tylko Izok. Stał nadal z wyciągniętymi ramionami niby Mojżesz na pustyni.

Piliśmy i leżeli w wodzie ponad godzinę, aż spłukała pot i popiół i przyniosła ulgę zgrzanym i umęczonym ciałom. Po wyjściu ze strumienia każdy legł gdzie bądź i momentalnie zapadł w sen. Aniśmy pomyśleli o jakichkolwiek ostrożnościach.

ROZDZIAŁ IX

NIEWIDZIALNY MOST

Nie zbudziło mnie ani słońce, ani śpiew ptaków, ani rozmowy. Z objęć snu wyrwały mnie dopiero smakowite zapachy pieczonego mięsiwa. To Abgajowie upolowali jakiegoś zwierzaka i obracali go teraz na zaimprovizowanym różnie. Usiadłem.

Znajdowaliśmy się w uroczej dolince porosłej niskimi drzewami o rozłożystych koronkach. Przypominały oliwki. Pomiedzy nimi dostrzegłem kilka dobrze zachowanych figur kamiennych. Przedstawiały postacie ludzkie w pozycji siedzącej. Brzegi strumienia nosiły ślady dawnej regulacji. Tu i ówdzie wały się w nim równo przycięte gałęzie. Niegdyś w tej dolinie musiało się krzewić, życie ludzkie.

Nasze panie jeszcze spały. Nie zbudził się także Kobra i Zbyszek. Na widok więźnia odczynałem z ulgą. Tak łatwo mógł zbiec. Nie wystawiliśmy żadnej straży. Ale i on musiał być wyczerpany nie mniej od nas. Sto sześćdziesiąt

lat, nawet wenuzjańskiego życia, to nie zabawka. Czy jednak tylko zmęczenie odegrało tu rolę powstrzymującą? Czy nie przełamywało się coś w sercu tego człowieka? Wspólne przeżycia zbliżyły nas. Wykazał dużo hartu ducha, służył radą i pomocą. Okazywał uprzejmość, nawet z córką wymieniał ostatnio krótkie zdania. Zaczynaliśmy go niemal lubić.

Wstałem, przeciągnąłem się i skinąwszy głową Abgajom ruszyłem w dół strumienia. Chciałem się wykapać. Niezadługo dobiegły mnie wesołe głosy Paciorka i Kiniego. Strumień przeciskał się przez dwa bliźniacze głązy, zasłaniające dalszy jego bieg przed moimi oczami. Gdy wychyliłem się zza nich, znalazłem się naraz pod niespodzianym prysznicem. Oślepiła mnie fontanna wody, bijąca wprost w twarz; zakrztusiłem się i przysłoniłem oczy rękami. Drugi silny strumień, jakby ze strażackiej sikawki, uderzył mnie w piersi. Moją przygodę powitały głośnie śmiechy Paciorka i Kiniego, lecz nagle umilkły, bo i oni otrzymali takie same "zmywanie głowy" i szukali ratunku pod powierzchnią wody. Na przeciwległym brzegu stało sześć „nkauli“, zwierząt nie większych od owiec, ale zaopatrzonych w długie słoniowe trąby. Pokrywała je krótka sierść żół-

tawej maści, nakrapiana brązowymi plamkami. Miały spiczaste uszy, sterczące w górę i świńskie oczka. Uważały widocznie za swą wyłączną własność obszerny basen, w którym Kini i Jacek chcieli zażyć kąpieli, bo przywitały intruzów strugami wody. Moich przyjaciół bynajmniej nie odstraszył ten niespodziewany prysznic, a i ja teraz, zrzuciwszy odzież, zanurzyłem się w chłodnej wodzie.

Nkauli widząc, że nie ustępujemy, przerwały atak, pomruczały coś między sobą i zabrały się do objadania liści z nadbrzeżnych krzaków. Gdyśmy wychodzili z wody, ryknęły groźnie i znowu mszyły ku strumieniowi.

Wracając do obozowiska spotkaliśmy cały nasz babiniec, idący naprzeciw.

— Chciałyśmy się wykapać — oznajmiła Magda. — Czy nie widzieliście, gdzie jakiego dobrego miejsca?

— O tak, tam za tymi dwoma głazami — odpowiedziałem usłużnie. — Jest tam doskonały naturalny basen pływacki, a nawet... prysznice.

— Świetnie tak ryczało?

— A, to jakiś niewinny zwierz w lesie.

Nie spodziewające się niczego dziewczyny poszły, a my czekaliśmy, dusząc się z tłumione-

go śmiechu.

Za chwilę doszły naszych uszu rozpaczliwe piski. Najoczywieściej kauli znowu bawiły się w strażaków. Czuliśmy przez chwilę wielką pokusę biec na ratunek, lecz za chwilę piski zmieniły się w śmiechy, wskazujące, że sytuacja została oprowadzona.

Chociaż według zapewnień Abgajów do rzeki Ubla nie było dalej, niż kilka godzin marszu, postanowiliśmy nie ruszać się nigdzie tego dnia. Należał nam się wypoczynek. Spędzaliśmy więc czas albo na słodkim nieróbstwie, albo na uzupełnianiu braków garderoby, poprzypalanej w czasie przeprawy przez gorącą lawę.

Wieczorem, gdyśmy po kolacji siedzieli przy ognisku, ogarnął nas nastrój pogawędki. Najrozmowniejszy był Kobra. Skończył właśnie opowiadać którąś ze swych międzyplanetarnych przygód, gdy zapytała go Magda:

— Dlaczego otwarcie nie wylądujecie na Ziemi? Wydaje mi się, że wiele dobrego mogłoby z tego wyniknąć. Byłaby to lekcja pokory dla ziemskiego człowieka, któremu się wydaje, iż jest technicznie najwyższą rozwiniętą istotą w kosmosie; a i nasze mocarstwa wstrzymałyby może obłądny wyścig zbrojeń, gdyby się zorien-

towały, że i tak są zdane na łaskę i niełaskę kogoś o wiele potężniejszego od nich.

— Ukazywaliśmy się chyba wystarczająco — odpowiedział Kobra — żeby każdy, kogo komórki mózgowie jako tako pracują, doszedł do wniosku, że nie jest samotnikiem we wszechświecie. Jednakże nie chcemy nawiązywać, bezpośredniego kontaktu. Wyobraźcie sobie, że lądujemy jutro w jakimkolwiek kraju na Ziemi. Szalona sensacja, entuzjazm. Włóczą nas po bankietach, fetują, a w tym samym czasie nasz statek przestrzenny rozrywany jest w strzępy w poszukiwaniu sekretu poruszającej go siły. A ponieważ okazałoby się to bezskuteczne, tedy biada nam! Prosto z sali bankietowej przewieziono by nas do celi tortur, żeby wydobyć z nas wszystko, co możemy wiedzieć...

— E, przesada! — przerwał Zbyszek. — Można by się przed tym zabezpieczyć. Jeden „talerzyk“ by wylądował, a z tuzin innych krążyłoby w powietrzu, grożąc w razie czego odwetem. Stale zresztą, przedstawiciele różnych mocarstw odwiedzają się wzajemnie i nikt nikogo nie ciągnie do celi tortur... bądźmy łagodni!

— Słuszna uwaga — przyznał Kobra, choć z cieniem niezadowolenia w głosie — jesteście tro-

szkę inteligentniejsi niż przypuszczałem. Wszystko jedno. Mamy swoje powody, dla których nie chcemy otwarcie lądować... przynajmniej na razie. Gdy urządzenia na Księżycu będą gotowe, może się na to zdecydujemy. I tak nie zależy to teraz ode mnie.

Kobra zasepił się na chwilę, po czym ciągnął dalej:

— Pewnie, nie trudno byłoby nam urządzić demonstrację naszej siły i wyższości technicznej, zmusić was do rozbrojenia, do sprawiedliwszego rozdziału bogactw naturalnych między narody... lecz czy stalibyście się przez to lepsi? Wymuszona dobroć nie jest rzeczywistą dobrocią. To nie tyle wasze rządy są chore, ale człowiek, ten szary człowiek jest chory, zasklepiony w egoizmie, brutalny wobec słabych, zazdrosny... A rządy ma takie, na jakie sobie zasłużył. Rozwikłanie zagmatwanego problemu ziemskiego to przemiana człowieka, a tego nie można dokonać siłą. Konieczność tej przemiany musicie sami dojrzeć i sami ją przeprowadzić.

Kobra mówił ze szczerym przekonaniem i słowa jego zawierały niewątpliwie prawdę. Patrzyłem na niego ze zdumieniem. Jak ten człowiek jasno widział belkę w oku bliźniego, nie dostrze-

gając jej w swoim? Dziwna jest dusza ludzka! A może w nim samym następowała przemiana?

Zapanowała chwila milczenia, którą rwała Mary prosząc, bym jej przetłumaczył słowa Kobry. Gdy skończyłem, zabrała głos Dorota:

— Nie przeceniajmy też zbyt wenuzjańskiej potęgi. Trzeba przyznać, że w pewnych dziedzinach nauka ziemska poszła dalej, niż tujejsza. Na przykład, mimo dokładnej wiedzy o budowie materii, Wenuzjanie nie umieli rozbijać atomu. Dopiero niedawno wykradli Ziemianom sekret bomby atomowej i wodorowej i robią z nimi próby na jednym z księżyców Jowisza. Obie nauki rozwinęły się w odmiennych kierunkach.

— DORTI ma rację — przerwał córce Kobra. — Przeoczyliśmy wiele możliwości, które wy umieliście wykorzystać i odwrotnie. Często szczerze was podziwiam. Na przykład radio i telewizja nie były u nas znane, choć mieliśmy Wszystkie dane po temu i obecnie rozwiązaliśmy telekomunikację dużo lepiej od was. Może temu była nieco winna telepatia, którą posługiwaliśmy się. Natomiast bijemy was na głowę, jeśli chodzi o pokonanie siły grawitacyjnej. Wy używacie silników opartych na zasadzie eksplozji, my zaś... — tu przerwał i chrząknął. — Mniejsza o to.

Niezbyt słuchałem ostatnich słów Kobry. Patrzyłem ze zdziwieniem na Dorotę: po raz pierwszy nie podkreśliła swej „wenuzjańskości”, a nawet przyznała, że i z Ziemi może pochodzić coś dobrego. Dziewczyna pochwyciła moje spojrzenie i uśmiechnęła się.

Kobrę zaś męczył Paciorek.

-- Czy poza człowiekiem w przestrzeni natrafiliście na inne istoty rozumne?

To było fascynujące pytanie. Przywarliśmy wzrokiem do ust Kobry. Ten zaś jakby chwilę ważył odpowiedź, po czym rzekł:

-- Nie, ale to nie znaczy, że ich nie ma. Dotąd nie wyszliśmy w naszym poznaniu poza galaktykę Mlecznej Drogi, do której należy i nasz układ słoneczny. Odkryliśmy dopiero kilka planet, na których człowiek może się osiedlić lecz na wielu znaleźliśmy życie. Jawi się ono gdziekolwiek warunki po temu stają się możliwe. Niemniej są jej pozbawione. Tu na Wenus prawdziwymi autochtonami są istoty człekokształtne, zwane po naszymu Karabu, ale i one nie przekroczyły progu zwierzęcości. Jakie jednak tajemnice kryje w sobie kosmos? Co jest w innych galaktykach? A nawet w naszej, której zbadałszy zaleci, wie nieznacznym ułamkiem?

— A nie powiesz im nic o Anaguaszi? — zapytała nieśmiało Dorota.

— Czemu nie? Mamy dowody na to, że istniała niegdyś rasa istot rozumnych, wyższych od człowieka, ale w zasadzie niezbyt się różniących od niego. Zamieszkiwali planetę, której orbita leżała pomiędzy Marsem a Jowiszem. Rozpadła się wskutek wewnętrznego wybuchu już w czasie istnienia człowieka. Jej pozostałością w przestrzeni są planetoidy komety i deszcze meteorów; ponadto mnóstwo jej szczątków spadło na inne planety nie wyłączając Ziemi, Księżyca i Wenus. Katastrofa ta wywołała poważne zakłócenia w całym systemie słonecznym.

— Czy wszyscy Anaguaszi zginęli? — zapytałem.

— Najprawdopodobniej tak, bośmy ich nigdzie nie spotkali. Choć właściwie przynajmniej część powinna była ocaleć, posiadali oni bowiem umiejętność podróżowania w przestrzeni. Są pewne dane, że odwiedzali Ziemię, Wenus i Marsa, kontaktowali się z człowiekiem. Pozostały c nich wspomnienia w baśniach ludowych. Przypuszczam też, że wiele mogli by o nich wiedzieć amgowie z Ava-Divu, lecz oni zazdrośnie strzegą swej wiedzy przed obcymi.

Posypał się grad pytań, ale Kobra nie wiele co miał do dodania na temat owych Anaguaszi, Zapadło więc milczenie. Zadumaliśmy się nad tajemnicami wszechświata. Słońce zaszło już z godzinę temu. Ognisko przygasło. Las wokół nas pociemniał, tylko niebo świeciło czerwoną łuną od strony wulkanicznej góry, „Góry Izolka”. jak ją nazwaliśmy.

Jeden z Abgajów podrzucił drzewa na ogień. Strzeliły w górę iskry, Magda zanuciła: „Płonie ognisko i szumią knieje...” Podchwyciliśmy pieśń. Za nią poszła druga, trzecia... Potem i Abgajowie poczęli śpiewać.

Dochodziła chyba północ, gdy powstaliśmy, by udać się na spoczynek. Zauważyłem, że Kobra skinął na Dorotę. Rozmawiali chwilę na osobności. Gdy ległem na posłaniu z mchu, ze zdziwieniem zobaczyłem, że Dorota ułożyła się w pobliżu. Zwykle nasze panie spały w swej własnej gromadce nieco na uboczu.

— Pogniewałaś się na nie? — zapytałem dziewczynę.

— Nie — odparła; miała trochę zdziwiony wyraz twarzy. — Sama nie wiem, dlaczego się tu położyłam. Może chciałam być bliżej ciebie? — dodała z sennym uśmiechem.

Paciorek, który leżał po drugiej stronie, nachylił się ku mnie i szepnął:

— Co myślisz? Gdybyśmy tak Kobrze przypalili pięty, czy zdradziłyby tajemnicę ich silników?

— Ach, jakiś ty pierwotny! — odszepnąłem mu i zasnąłem niemal momentalnie.

Świtało dopiero, gdy zbudził mnie Paciorek targając gwałtownie za ramię:

— Wstawaj szybko! Stary nawiał!

— Gdzie? Jak? — zerwałem się półprzytomnie i od razu sięgnąłem do torby, gdzie znajdował się przyrządek, kontrolujący jeńca. Przyrządu nie było.

Dlatego wczoraj wieczorem położyła się tak blisko.

Tymczasem Paciorek wyjaśniał:

— Nie wiem, jak to się stało, dość, że strażnik Abgaj leży z rozbitą głową, a Doroty, która z nim pełniła wartę, nie możemy się dobudzić.

Strażnik oprzytomniał po wylaniu na niego tykwy wody. Był uderzony kamieniem w tył głowy.

— To mogła zrobić tylko ona — wskazał na śpiącą Dorotę — znajdowała się za mną, gdy otrzymałem cios. Kobra, dobrze pamiętam, leżał

w tym czasie pod drzewem. Wydawało się, że śpi. Tak, jak kazałeś, Andra, nie spuszczałem zeń oka.

Po długim tarמושzeniu i kilku tykwach zimnej wody Dorota doszła wreszcie do siebie.

— Co się stało? — wymamrotała niezbyt przytomnie.

— Nie udawaj — wrzasnałem z pasją. — Wykradłaś mi z torby „talukę”, ogłuszyłaś strażnika i pozwoliłaś ojcu uciec. A teraz grasz komedię. Jakiż ja byłem naiwny!

Dziewczyna oprzytomniała i zerwała się gwałtownie na równe nogi.

— Jak ty możesz tak mówić — odparła żywo z rumieńcem na twarzy — Ja tego nie zrobiłam. Ale jak to się mogło stać? Nic sobie nie mogę przypomnieć... — potrząsnęła głową, jakby chcąc pobudzić się do jaśniejszego myślenia. — Pamiętam tylko, jak przy ognisku ojciec mnie zawołał go siebie, a potem nic, czarna pustka.

Nie słuchałem jej. Trzeba było natychmiast zorganizować pościg. Kini, Aba i Abgajowie zatonczyli krąg wokół obozowiska i ber trudu, znaleźli świeży ślad zbiega. Na co liczył. Kobra? Nie był przecież naiwny. Musiał zdawać sobie sprawę, że te dzieci lasu od razu go wytropią.

Zabrałem ze sobą Kiniego, Paciorka. Abę i dwóch najzaufańszych Abgajów. Miałem przy sobie pistolet promieniowy i rozpylacz. Moi przyjaciele uzbrojeni byli w promieniówki, Abgajowie w łuki. Biegliśmy spiesznie za śladem stóp Kobry dobrze widocznym na rannej rosie. Teren podnosił się. Coraz więcej pokazywało się kamieni i głazów, roślinność zaś stawała się skąpsza. Wznoszące się słońce wypijało rosę. Już parę razy zatrzymaliśmy się, straciwszy, ślad. Na szczęście Aba okazał się niedościgniony w tropieniu. Zdawał się mieć mikroskopy zamiast oczu.

Koło południa doszliśmy do brzegów rzeki Ubla, płynącej tu w głębokim kanionie, którego ściany spadały prostopadle sto metrów w dół. Tu już i Aba rozłożył beznadziejnie ręce. Na litej skale nie można było nic odczytać. Czy Kobra piał się w górę rzeki, czy poszedł z jej biegiem!? Należało by się podzielić na dwie grupy. Gdy naradzaliśmy się, co czynić dalej, podszedł do mnie Kuaga, jeden z Abgajów.

— Domyślam się, — rzekł — dokąd Kobra ucieka. Niedaleko stąd — wskazał ręką w górę rzeki — jest „niewidzialny most“. Zwykły człowiek po nim nie przejdzie, ale amgowie to umieją. Gdy

zdaży przejść na drugą stronę, nie złapiemy go nigdy.

Co tchu w piersiach i sił w nogach puściliśmy się pod górę. Ściany kanionu stawały się coraz wyższe. Rzeka poniżej huczała i pienila się groźnie.

Wreszcie dojrzeliliśmy ów most czarowników, a właściwie nie most tylko dwa kamienne przyczółki i Kobrę sunącego między nimi w powietrzu.

Był już tylko kilka metrów od przeciwległego brzegu. Zmierzyłem doń z promieniówki. Zaterkotała broń ale bez skutku.

Pościliśmy się biegiem do przyczółku mostowego. Znaleźliśmy się tam w tej samej chwili, gdy dotarł do przeciwległej krawędzi kanionu. Strzeliłem za nim wzdłuż osi niewidzialnego mostu, lecz o sekundę za późno. Kobra zdażył w porę uskoczyć za jedną z dwu olbrzymich kamiennych figur strzegących przyczółku po jego stronie, lecz niedługo tam pozostał. Zanim zorientowaliśmy się wykonał kilka gwałtownych skoków i przyczaił się za kupą głazów i krzewów, nieco w prawo od linii mostu. Począł nas stamtąd ostrzeliwać z pistoletu promieniowego. Ogień jego nie mógł nam szkodzić, osłaniała nas bo-

wiem kamienna konstrukcja przyczółku, którą po wielkie słupy, pokryte płaskorzeźbami. Niemniej nie mogliśmy się ich wychylić. Kobra trzymał nas w szachu.

Zastanawiałem się przez chwilę nad sytuacją i doszedłem do wniosku, że jedynym wyjściem jest przejście przez most. Wysunąłem się zza słupa, znalazłem się w ten sposób w polu widzenia przeciwnika, ale — co słusznie przewidziałem — jak przedtem jego, tak teraz mnie zasłaniała przed działaniem broni niewidzialna konstrukcja mostu. Mimo groźnego terkotu promieniówki Kobry bezpiecznie dotarłem do krawędzi skały i zacząłem macać przed sobą. Most był. Czulem pod palcami elastyczną, bardzo śliską nawierzchnię. Wybadałem dalej, że miała ze dwa metry szerokości, a z boków osłaniała, ją szczelna balustrada na wysokość człowieka.

Korzystając z tego, że uwaga Kobry skoncentrowała się na mnie, Paciorek oderwał się od słupa i w dwóch skokach znalazł się w szczelinie skalnej, idącej równolegle do krawędzi kanionu. Posunął się nią ze dwadzieścia metrów w dół i stamtąd począł nękać Kobrę bocznym ogniem

Ja tymczasem przeżywałem chwilę wahania i emocji. Wstąpić na most? U moich stóp rozwiera

ła się głęboka przepaść. Instynkt samozachowawczy wzdrygał się przeciw postawieniu kroku w pustkę. Ale rozum mówił, że przecier tam coś jest. Z bijącym sercem wysunąłem nogą naprzód postawiłem ją. Wyczułem opór pod stopą, lecz niewidzialna nawierzchnia mostu była tak śliska, że w sekundę później leżałem jak długi. Nadaremnie próbowałem się podnieść. Czuję się, jak ten student z nowelki Prusa, którego opuściła siła tarcia. Niewidzialny most był bardziej śliski, niż lód. Przyszedł mi na ratunek Aba, wyciągając za nogę. Znalazłem się znów na solidnym gruncie.

Jak przekroczyć ten przeklęty most? Trzeba by mieć chyba specjalne łyżwy... Głupstwo, przecież Kobra przeszedł przezeń chwilę temu... Nie przeszedł, prześliznął się. Gdyśmy go widzieli w powietrzu, nie przebierał nogami, ale sunął z rozwianymi dla równowagi rękami. Cofnąłem się parę kroków dla nabrania rozpędu i powtórnie znalazłem się na niewidzialnym moście. Niemal od razu straciłem balans i upadłem, niemniej sunąłem dalej dzięki sile rozpędu. Most miał ze sto metrów długości. Gdzieś od połowy zdałem sobie sprawę, że moja szybkość krytycznie maleje. Choć przede mną siła tarcia była zredukowa-

na do minimum, robił swoje opór powietrza. Z dziesięć metrów przed przyczółkiem zatrzymałem się. Wszystko przez to, że wziąłem taki mały rozpęd. A nie mogłem się cofnąć bardziej *do tyłu*, żeby nie narazić się na ogień Kobry. Teraz wisiałem bezradnie w powietrzu nad przepaścią. Spojrzałem w dół; aż mi się w głowie zakręciło. Przez chwilę miałem złudzenie, że pędzę w górę rzeki, wskutek ruchu wody. płynącej pode mną wartkim prądem.

Próbowałem się poruszyć, wstać. Nic z tego. Nie było za co się złapać, od czego się odepchnąć. Co za niesamowita śliskość! Żebym miał przy sobie broń palną, sprawa była by już rozwiązana. Posłużyłaby mi za swojego rodzaju napęd raketowy. Moja promieniówka ani rozpylacz nie nadawały się do tego celu. A może huk? Krzyknąłem ku moim, którzy bezradnie przyglądali się memu szamotaniu. Rozpędził się Aba. Też się wywrócił po drodze, lecz dotarł do mnie szczęśliwie. Stuknął mnie przy tym, dzięki czemu posunąłem się o metr dalej ale nie więcej. Miał przy sobie huk i strzałę z cieniutką linką, używaną na ryby. Strzelił. Strzała utkwiała w kaktusowatej roślinie rosnącej tuż koło posągu, strzegącego Wejścia na przyczółek mostowy.

Wbiła się dość mocno. Za chwilę Aba znalazł się na twardym gruncie, po czym wyciągnął i mnie. Przywarowaliśmy za kamienną figurą.

Kobra był z pięćdziesiąt kroków od nas. Słyszeliśmy terkot jego promieniówki, lecz, nie wiedzieliśmy czy strzela ku nam, czy ku Paciorkowi. Baliśmy się wychylić. Dobrze, że i on miał związaną swobodę ruchów dzięki ogniovi naszego piegowatego, przyjaciela. Siedział za kupą głazów, wokół której w promieniu dziesięcin metrów nie było żadnej innej osłony.

Z kolei dotarł do nas Kini. Postanowiliśmy atakować. Wyciągnąłem z torby rozpylacz i kładłem ogień możliwie blisko Kobry. Nie chciałem go zabijać. Chodziło mi o stworzenie z kurzu zasłony dla naszego natarcia. Promienie dezynTEGRatora podnosiły rzeczywiście tumany pyłu, które wiatr zwiewał ku przeciwnikowi. Wskazałem Kiniemu głaz, leżący w pobliżu nieco w lewo od osi mostu. Sam wybrałem drugi na wprost. Postanowiliśmy skakać jednocześnie ku upatrzonym celom. Przynajmniej jednemu powinno się udać. Strzelałem nadal z rozpylacza, licząc jednocześnie :

— Raz, dwa...

— Hej ! — zawołał nagle Aba za nami. —

Abgajowie coś krzyczą, nie mogę usłyszeć.

Wstrzymałem ogień. To wołał Kuaga, że Paciorek został trafiony i leży bez ruchu.

— To nic — machnąłem ręką — tym szybciej my musimy atakować.

Na nowo stworzyłem sztuczną kurzawę.

— Raz, dwa, trzy...

Wyskoczyłem zza słupa i na tym skończyło się moje wojowanie. Uczułem lekkie uderzenie w bok. Ogarnęła mnie ciemność.

Ocknąłem się w sześć godzin później. Słońce już zaszło, lecz na niebie świeciła zielonkawa zorza. Przy trzaskającym wesoło ognisku siedział Paciorek i Abgajowie. Po mojej lewej stronie leżeli nieruchomo Kini i Aba. Za sobą miałem słupy przyczółku mostowego. Przeniesiono nas więc z powrotem na prawy brzeg rzeki.

— Halo, Andrzej! żyjesz? — Paciorek zauważył moje przebudzenie.

— Co się stało? Gdzie Kobra?

— A lichy go wie. Pokonał nas, sprytna bestia. Ja sam ocknąłem się kilka minut temu, ale Abgajowie opowiedzieli mi już przebieg wydarzeń. Ty i Kini dostaliście promieniami jeden po drugim. Później Aba spróbował wojny w pojedynkę. Dotarł nawet do pierwszego głazu, ale

wychylił się nieostrożnie i też oberwał. Wtedy Kobra wylazł zza osłony, przytaszczył was do mostu, za pomocą strzały wystrzelonej z łuku Aby przerzucił linkę do Abgajów i kazał was ciągnąć. Był nawet tak rycerski, że przesłał waszą broń z wyjątkiem rozpylacza. Potem wyłączył most. Sprawdziłem, nic tam już nie ma. Ko i poszedł sobie. Szukaj teraz wiatru w polu. Bez tego mostu nie będziemy mogli dostać się na drugą stronę.

— Na pewno jakoś go można z powrotem włączyć. Trzeba by poszperać po tych słupach. Ale to już i tak z sześć godzin temu, jak odszedł. Po nocy nie znajdzie się żadnych śladów. O, Kini się budzi.

Po Kinim wkrótce i Aba doszedł do przytomności. Z niepysznyymi minami koło północy powróciliśmy do obozu.

Nikt jeszcze nie spał, czekali na nas. Gdy skończyłem opowiadać dzieje niefortunnego pościgu, zapanowało milczenie.

Przerwał je Zbyszek:

— Z czego może być zrobiony ten niewidzialny most? — zapytał.

— Z niczego. — Odpowiedziałem. — Pamiętasz w Kamiru kolej, sunącą bez kół po niewidzial-

nym torze? To to samo. Pole pewnych, nieznanym nam Ziemiom sił, które z obrębu swego działania wypychają wszelką materię, stwarzając niemal doskonałą próżnię. Jak słyszałem, podobne pole otacza w locie wenuzjańskie latające talerzyki, dzięki czemu mogą się posuwać w atmosferze nieograniczoną szybkością bez narażenia się na spalenie wskutek tarcia powietrza. W przestrzeni międzyplanetarnej takie same pole zabezpiecza przed uderzeniem meteorytów

— Bardzo to ciekawe — burknęła bez przekonania Magda — ale co my teraz zrobimy ?

— Bo ja wiem? — odparłem wzruszając ramionami. — Gonić Kobrę po dżungli to prawie to samo, co szukać igły w stogu siana. Jedna Dorota może wie lub domyśla się, dokąd się udał, ale trudno od kogoś, kto ułatwił ucieczkę, domagać się teraz pomocy w poszukiwaniu zbiega.

Dorota zerwała się z pnia, na którym siedziała.

— Już ci mówiłam, że nie pomogłam ojcu do ucieczki. Gdybym to zrobiła, przyznałabym się albo uciekła z nim razem. Ja mam wiele wad, ale nigdy nie kłamię...

— W takim razie kto uderzył wartownika?

Orzech mu spadł na głowę? Tu orzechy nie rosną. Kto wyciągnął mi z torby talukę? Duchy? Po coś się wczoraj ułożyła tuż obok mnie? Z wielkiej miłości, he?

Dorota poczerwieniała z gniewu. Myślałem, że się rzuci na mnie. Jednakże opanowała się i bez słowa siada z powrotem na pniu, ukrywając twarz w dłoniach. Pewnie płakała, ale mnie to nie rozczuliło. Byłem wściekły na Kobrę, na Dorotę, na siebie i na cały świat. A najgorsze, że zupełnie nie wiedziałem, co dalej robić.

Abgajowie poczęli roznosić spóźnioną kolację. Każdy kąsek "rósł" mi w ustach. Niewiele co mogłem przełknąć. Obok mnie siedziała Magda. W pewnej chwili położyła mi rękę na ramieniu serdecznym, siostrzanym ruchem.

— Andrzej! — szepnęła — czy ty przypadkiem nie jesteś niesprawiedliwy wobec Doroty? Jestem przekonana, że jest niewinna. Jak poszłiscie ścigać Kobrę, rozmawiałam z nią. Twierdzi, że o niczym nie wie. Jeśli Kobra posłużył się nią, to bez jej świadomości. Może ją zahipnotyzował.

— E, bujda! — odparłem niecierpliwie. — Czytałem, że człowieka nie można zahipnotyzować wbrew jego woli. Zresztą kiedy by to na-

stąpiło? W czasie tej krótkiej rozmowy po kolacji? Na oczach nas wszystkich?

— A co się z tobą zaczęło dziać, kiedy rozmawiałaś z Kobrą jeszcze na Górze Strachów? Straciłbyś przytomność, gdyby nie interwencja Aby.

— To chyba nie była hipnoza. Ale, ale może masz rację. Chciałbym wierzyć, że jest niewinna.

— Na pewno! Zawierz mojej kobiecej intuicji. Ponadto, Andrzej, chyba zdajesz sobie sprawę, że ona cię kocha...

Chwyciłem Magdę za rękę:

— Dość! — szepnąłem jej. — Nie mów więcej. Ja ją przeproszę.

Skończył się posiłek. Wstałem pierwszy.

— Teraz, idziemy spać — odezwałem się głośno — a jutro ruszamy do rzeki Ubla. Wracamy na Takilę. Z pościgu na razie trzeba zrezygnować. Chciałem też publicznie przeprosić Dorotę. Zdaję sobie, z tego sprawę, że oskarżyłem ją na gorąco bez zbadania dokładnie całej...

Nie dokończyłem. Naokoło nas zaszeleściło podszybie dżungli. Z mroków nocy wyłoniły się w zupełnej ciszy groźne postacie, dzierżące dzidy i podłużne tarcze — Mzauri!

Skamienieliśmy w bezruchu. Po wypadkach

zaszłych w Górze Izolka pewni byliśmy, że zrezygnowali z pogoni. Nie stosowaliśmy zbyt wielu środków ostrożności. A teraz... nawet nie zdążylibyśmy sięgnąć po broń; kilkadziesiąt dziryków przeszłoby nas w jednej sekundzie.

Jednakże dzicy nie kierowali ku nam zabójczych ostrzy. Otaczali nas szczelnym kołem, lecz w ich twarzach, zdawało mi się, że czytam niepewność, a może nawet strach. Czarownika Geru nie mogłem dostrzec, krył się prawdopodobnie za plecami swych wojowników. Przed szeregiem wystąpił olbrzym o długich złotych kolczykach, spadających aż na piersi.

— Krabla tralt obu nadała maklabzd — rozpoczął uroczyście w narzeczu Kauin, z którego nie rozumiałem ani słowa. Zwracał się wyraźnie ku Dorocie i ku niej też pochylił się z szacunkiem, głową niemal dotykając ziemi. Następnie obrócił się ku swoim i powiedział coś, co brzmiało jak rozkaz.

Z gromady wysunął się teraz dzikus bez broni z pakunkiem, owiniętym w wielki liść. Rozwinął go szybkim ruchem i cisnął pod nogi Dorocie. Przerażeni zobaczyliśmy, jak toczy się po ziemi łyśa głowa ludzka.

— Ojciec! — krzyknęła Dorota cofając się i

zakrywając twarz rękami.

Jednym skokiem znalazłem się przy dziewczynie i chwyciłem ją w ramiona. Przygarnęła się, drżąc na całym ciele. Ponad złotą falą jej włosów jeszcze raz rzuciłem okiem na obciętą głowę poczerniałą i okropną. To chyba nie była głowa Kobry...

— Lab o ngu Geru indalt — tłumaczył coś przywódca Mzaurich.

Dorota rozumiała język Kanim odsunęła się ode mnie.

— Dzięki Ci Boże! — szepnęło. — to nie ojciec, to Gera, amga, który nas ścigał.

Jak wynikło z dalszej rozmowy. Mzauri bardzo niechętnie udali się za nami w pościg, słyszeli bowiem o nadzwyczajnych wydarzeniach na Górze Strachów od współplemieńców, przybyłych stamtąd. Łatwe odparcie ataku w Górze Izolka, następnie wybuch wulkanu który, pochłonął aż siedmiu wojowników, zwiększyły jeszcze obawę dzikich przed nami. Toteż, kiedy Geru, niezrażony niepowodzeniem, nalegał na dalszy pościg, Mzauri przebili go dzidami, obcięli głowę i przynieśli ją nam w darze, spodziewając się w ten sposób zasłużyć na przebaczenie i łaskawość.

Kazaliśmy czym prędzej zakopać głowę nie-
szczęsnego amgi ułożyliśmy się do snu w zwięk-
szonym zespole.

Wymęczeni wypadkami dnia spalibyśmy na-
zajutrz na pewno bardzo długo, gdyby nie to, że
skoro świt postawiło nas na nogi zamieszanie
pośród Mzaurich. Szukając nas rozrzucili pa-
trole szeroko po dżungli. Właśnie w tej chwili
dotarli do naszego obozowiska wywiadowcy z nad-
brzeżów Ubli. Trzęśli się ze strachu i opowiadali
coś bełkotliwie, gestykulując żywo rękami. Przez
jednego z Abgajów, znającego narzecze Mztu-
rich, dowiedziałem się powodu niepokoju.

Okazało się, że ubiegłego dnia wieczorem
wojownicy ci dostrzegli na środku rzeki płyną-
cego spokojnie w łodzi łysego jegomościa i wzięli
go za zmarłychwstałego Geru. A więc, Kobra
popłynął w dół rzeki. To była cenna wiadomość.

Ruszyliśmy natychmiast ku Ublu. Droga była
łatwa. Teren słabo porośnięty opadał łagodnie w
dół. Pokazały się czerwone piaski, szliśmy bo-
wiem znów u stóp Góry Izolka.

Humory były niezłe. Ponieważ Dorota jeszcze
trochę boczyła się na mnie, na złość jej asy-
stowałem Mary w czasie marszu. Nie było to
zresztą nieprzyjemne. Amerykanka miała w so-

bie zawsze dużo prostoty i uroczej naiwności, a ponadto nie była brzydka. Ostatnie przygody znacznie wysubtelniły jej pulchną dotąd sylwetkę, co wpłynęło bardzo dodatnio na jej urodę. Opowiadałem jej najrozmaitsze kawały amerykańskie, jakie jeszcze pozostały, w mej pamięci. Przyjmowała je wybuchami serdecznego śmiechu, choć podejrzewałem że znała ich co najmniej połowę. Zerknąłem na Dorotę w nadziei, że zielenieje z zazdrości, ale dostrzegłem w jej twarzy tylko smutek i zamyślenie. Zrobiło mi się przykro i już gorzej udawało mi się zabawianie panny Mary.

Po paru godzinach marszu dotarliśmy do brzegów rzeki. W tym miejscu nie płynęła już wąwozem, ale rozlewała się szeroko, tworząc przy brzegach bagniste zatoczki, porośnięte sitowiem. W powietrzu uganiały się chmary wodnego ptactwa. Rej wodziły czarno-czerwono-żółte ptaki o długich, wąskich skrzydłach i dziobach w kształcie kowalskich obcęgow.

Mzauri z wielką wprawą rozpoczęli budowę trzech łodzi z trzciny przybrzeżnej. Nad wieczorem były gotowe. Przypominały łodzie używane przez Indian peruwiańskich na jeziorze Titicaca. Nie wyglądały zbyt zgrabnie, niemniej

pływały doskonale, były lekkie i dość zwrotne. Ze zdziwieniem zauważyłem, że dzicy wkładają w nie zapasy żywności w dużych ilościach: owoce i pieczone mięso, owinięte w liście rośliny "blu" dla zabezpieczenia przed gniciem. Zazwyczaj dżungla wenuzjańska jest sama w sobie świetnie zaopatrzoną spiżarnią, z której w każdej chwili można czerpać do woli — po cóż więc ta zbędna przezorność? Zapytałem przez abgajskiego tłumacza o przyczynę.

— Spływ do morza — wyjaśnił przywódca Mzaurica — zajmie kilka dni, a przez ten czas trudno wam będzie znaleźć coś do zjedzenia. Ubla płynie przez krainę wiecznego deszczu, gdzie nie można rozpalić ognia i gdzie rosną trujące rośliny. Będziecie musieli płynąć bez zatrzymania, bo na błotnistych brzegach nie sposób lądować... Brrr... — wzdrygnął się — smutna i okropna kraina. Do tego w rzece żyją potwory.

Tego się nie spodziewałem. Wobec tego nie ma sensu, żebyśmy wszyscy narażali się na niewygodną i niebezpieczną jazdę. Ponieważ Mzauri stali się obecnie przyjaciółmi, lepiej będzie wysiać większość naszej gromadki razem z nimi przez dżunglę do rzeki Danga. Stamtąd dostaną

się do Takili szybciej, niż żeglując naokoło wyspy. Ja zaś wezmę Kiniego i Paciorka i pogonimy za Kobrą.

Gdy wystąpiłem z tym nowym pomysłem, powstała burza protestów. Kraina wiecznego deszczu, niewidziane dotąd rośliny i zwierzęta pobudziły wyobraźnię — każdy chciał to wszystko oglądać własnymi oczami. Duch przygody nadal płonął żywo w młodych sercach. Nie zważając na moje argumenty towarzystwo zaczęło wsiadać do łodzi.

— Pojadę razem z tobą w łódce — oświadczyła mi Dorota tonem nie podlegającym dyskusji i z brwią zmarszczoną, ale zaraz potem uśmiechnęła się słodko, pocałowała mnie w policzek i dodała:

— Nie kłóćmy się więcej, bo to nie ma sensu. Już się nie gniewam na ciebie i ty nie gniewaj się na mnie. Niech wszystko będzie jak przedtem. Dobrze?

Skinąłem głową na znak zgody.

— E, poczekajcie! — zawołałem nagle. — Jeśli po drodze ma stale łać, to może by Mzauri zrobili daszki do naszych łodzi?

— Dobry pomysł — pochwaliła Dorota i zwróciła się zaraz z odpowiednim poleceniem do

przywódcy Mzaurich.

Dzicy okazywali najwięcej szacunku zielonookiej dziewczynie, uważając ją za coś w rodzaju bogini czy wróżki, jej bowiem przypisywali chwałę zwycięstwa nad Haza i jego czarownikami. W mig wykonywali wszelkie jej polecenia, starali się zgadywać myśli. Teraz wszakże odmówili konstrukcji daszków.

— To i tak niewiele pomoże — odparli — bo deszcz przenika wszędzie, a poza tym...

Okazało się, że z rzeką Ubla i z krainą deszczu, przez którą płynie, związane są różne podania. Mzauri wierzyli, że ten deszcz to łzy jednej z bogiń i gdybyśmy się od nich osłaniali daszkiem, płaczące bóstwo mogłoby się obrazić. Natomiast przygotowali specjalne tłuste smarowidło, buraczkowego koloru, które miało dopomóc do zniesienia wilgoci i rzeczywiście stało się później ratunkiem naszych biednych ciał.

Odplynęliśmy e zachodzie słońca, żegnani serdecznie przez Abgajów i Mzaurich. W pierwszej łodzi umieściłem Dorotę, Abę i samego siebie. W drugiej jechali Zbyszek, Magda i Mary, w trzeciej Paciorek. Imla i Kini. Ponadto w każdym czólnie mieliśmy po dwóch dzikich wioślarzy, których ofiarował nam łaskawie przywódca Mza-

urich.

Na środku rzeki chwycił nas silny prąd, płynęliśmy żwawo. Na niebie świeciła słaba zorza i luna od niedalekiej Góry Izolka. Wioślarze nucili rytmiczną, prymitywną pieśń, my zaś milczeliśmy, rozmyślając o tym, co nas czeka. Kobra wyprzedził nas o dzień drogi. Szansa dognienia go była niewielka. Niemniej płynęliśmy za nim I jakiś szczęśliwy traf mógł mimo wszystko wydać go w nasze ręce.

W pół godziny po wyruszeniu woda i dżungla przed nami poczęły się rozjaśniać czerwonym światłem, które z każdą chwilą zwiększyło swe natężenie. Wkrótce oczom naszym ukazało się przepiękne zjawisko. Aż krzyknęliśmy w pierwszej chwili, myśląc że to roztopiona lava spływa do rzeki po stromym w tym miejscu brzegu. Był to jednakże tylko wodospad gorącej wody, przesyconej cząsteczkami świecącego wulkanicznego piasku. Unosząca się w górę para zwijała się w fantastyczne postacie wiedźm i duchów. Rozświetlony od wnętrza strumień, wlewając się w rzekę, zapalał ją całą jaskrawą czerwienią. Płynęliśmy jak po ogniu.

Dorota zanurzyła na chwilę ręce w wodę i wyjęła – od czubków palców aż po ramię zdawała

się być kawałkiem stali rozżarzonej w kowalskim piecu. Zbyszek prysnął ku nam wodą. Mimo woli zasłoniłem oczy rękoma, jak przed iskrami z ogniska. Lecz ten deszcz ognisty nie palił. Śmiejąc się i my odwzajemnialiśmy się energicznym chlastaniem. Za chwilę i łodzie i ich załogi skrzyły się rubinowymi perłami ze świata bajki.

Chociaż chyży prąd szybko oddalił nas od wodospadu, rzeka wokół nas długo jeszcze świeciła smugami czerwoności.

Koło północy wpłynęliśmy w strefę wieczystego deszczu. Jak nas objaśniła Dorota, rósł tu gatunek pewnej gąbczastej rośliny wydzielającej gaz, który powodował nieustanne zagęszczanie się i skraplanie pary wodnej. Całe szczęście, że te gąbki mogły rozwijać się wyłącznie, na określonej glebie, gdyż inaczej cała Wenus byłaby tylko nimi pokryta. Rozmnażały się bowiem bardzo szybko i pochłaniały wszelką inną roślinność. Deszcz uderzał w nas od czasu do czasu gorącym prysznicem, lecz najczęściej mżył drobnymi kroplami, które zdawały się wisieć w powietrzu i przed którymi nie było obrony. Wpychały się w nos, uszy, usta, zalewały oczy, męczyły, dręczyły aż do granic nerwowej wytrzymałości. Mzauri, których potrzeby odzieżowe

i wymogi przyzwoitości były znikome, znajdowali się jeszcze w najlepszym położeniu. Woda szybko spływała po ich nagiej skórze, nasyconej burakową maścią. Nam natomiast niezmiernie ciążyło odzienie, przemoczone do nitki, i tworzące coś w rodzaju ciepłego kompresu. W najgorszym położeniu były z tego powodu nasze dziewczęta, ale trzeba przyznać, że cierpliwiej od nas znosiły przykrości jazdy.

W nocy, mimo pochodni, zrobionych ze świeciszek, widoczność była niemal równa zeru. Płynęliśmy "na wyczucie", trzymając się głównego nurtu rzeki. Przyjeliśmy z ulgą wschód słońca, ale widoczność nie wiele się poprawiła. Otaczało nas smutna szarość, nasiąkła mgłą i deszczem. Chcieliśmy się zatrzymać choć na chwilę, lecz brzeg Ubli był wszędzie obślizgły, bagnisty. Porastały go gęsto gąbki o nieokreślonych kształtach i o żółtej barwie, przechodzącej miejscami w rdzawą czerwień. Przy próbie radowania człowiek zapadał się od razu po pas, a za chwilę po uszy w bagnie.

Dopiero po południu ukazały się po lewej stronie niskie skały. Pokrywał je szczelnie zielony, wilgotny mech. Wyskoczyliśmy na nie z radością. Co to była za ulga rozprostować nogi i

czuć twardy grunt pod stopami. Widać smutna bogini była łaskawa dla nas, bo w tejże samej chwili deszcz ustał, chmury się rozstały i złote promienie słońca poczęły suszyć nasze ciała i przemoczoną odzież. Na niebie ukazała się tęcza, a cała ponura dotąd okolica roziskrzyła się nagle tysiącami barwnych kropel. Tylko gąbkom nie podobał się ten pocałunek słońca, falowały niespokojnie, kurczyły się. Niesamowity to był i widok owo drganie żółtej, gąbczastej masy, pokrywającej brzegi. Patrzyliśmy jak urzeczeni, na ten dziw natury, póki Paciorek nie zaproponował zjedzenia obiadu. Kończyliśmy posiłek już pod gwałtownym i niemiłosiernym prysznicem.

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Prysznic zamienił się w kapuśniaczkę: potem lunęło tak jakby kto z nieba wylewał na nas kubły wody. Osłanialiśmy rękami nosy i usta, żeby umożliwić oddychanie. Ulewa na szczęście szybko minęła, lecz za to ogarnęła nas wilgotna mgła, pachnąca nieprzyjemnie nużącą wonią pleśni. Wreszcie natknęliśmy się na zapowiedziane potwory. Koloru szaro-zielonego, kształtem przypominały ogromne gęsi o niezwykle drugich szyjach i podłużnych gadzich pyskach. Nie były to wszakże ptaki. Zamiast skrzydeł miały łapy z błoną

między palcami. Używały ich jako wiosł. Miały tuste, nieforemne cielska, dwa razy dłuższe od naszych łodzi. Choć bardzo brzydkie, w swych długich szyjach posiadały coś z łabędziej gracji. Stworzenie, te nie okazały wrogości. Wprost przeciwnie. Gdyśmy je mijali, kiwały śmiesznie głowami, co wyglądało na uprzejme pozdrowienia. Trzymały się blisko brzegów, wylawiając z wody ryby, wodorosty i szukając czegoś wśród gąbek.

Rzeka rozszerzała się coraz bardziej. Przy słabej widoczności, spowodowanej nieustannym najczęściej nie widzieliśmy w ogóle brzegów, co czyniło jazdę jeszcze bardziej monotonna i męczącą. Już po pierwszym dniu byliśmy niezmiernie znużeni psychicznie, a noc nie przyniosła żadnej ulgi. Dno trzcinowej łodzi pokrywała woda, trudno było układać się w niej do snu. Nie można było też leżeć z nosem do góry bo groziło to zalaniem płuc wodą. Spaliśmy w końcu na zmiany w postawie półklęczącej, z czołem opartym, na snopku trzcinowym, zasypującym ławeczkę. Na drugi dzień czuliśmy się niewyspani, źli, udręczeni. A krople padały i padał chyba ten nieustanny deszcz rozpuściłby zupełnie i zmył nasze skóry. Przez cały drugi dzień

słońce ani na chwilę nie pokazało swego oblicza. Trzeci dzień — to samo. Wreszcie zdawało nam się, że ta podróż nigdy się nie skończy, że już przez wieczność będziemy tak płynąć we mgle, w wilgoci, w tym nieustannym deszczu. Otepiłiśmy zupełnie. Ucichły rozmowy. Nawet jeść się nie chciało.

Przez cały czas jazdy raz jeszcze tylko natrafiliśmy na skały. Były jednak tak o obślizgłe —



Zamiast skrzydeł miały łapy z błonami między palcami, używały ich jako wiosel. Choć bardzo brzydkie, posiadały w swych długich szyjach coś z łabędziej gracji.

pokryte jakąś galaretowaną substancją — że nie można było na nie wyjść.

Czwartego dnia niebo zaczęło się trochę przecierać. Od strony ujścia rzeki do morza nadchodziły raz po raz świeże powiewy wiatru. Z radością wciągaliśmy je w płuca. Trzymaliśmy się teraz bliżej lewego brzegu. Gąbki panowały jeszcze na nim niepodzielnie. Pośród nich wystrzelały dość często zielonkawe skały, zbyt jednak otoczone bagnem, by się do nich zbliżyć.

Nagle coś ciemnego zamajaczyło po prawej burcie łodzi. Skierowaliśmy się w i w kierunku Z wody wyrastała skała w kształcie wielkiego kowadła.

— Trudno będzie się na nią wdrapać — zawołałem.

— Damy radę — odkrzyknął z sąsiedniej łodzi Paciorek. — Ja muszę postawić nogę na twardym gruncie, inaczej zwariuję... Ej, tam ktoś leży!

Rzeczywiście, poprzez mżący deszczyk dostrzegliśmy na skale ciało ludzkie.

— Czyżby ojciec? — szepnęła Dorota.

Tak, to był Kobra. Na dźwięk naszych głosów drgnął, usiadł, a następnie zerwał się na równe nogi. W rękach trzymał straszliwy dezintegrator.

— Zatrzymajcie się, gdzie jesteście! — zawołał.

Posłuchaliśmy. Przecież w jednej chwili ogień rozpylacza mógł nas zamienić w proszek

— Niech z łodzi Andry — rozkazywał dalej.

— TERAZ ZROZUMIAŁEM, — co się przytrafiło zbiegowi. Musiał stracić łódź. Albo nieco wcześniej uległa katastrofie i Kobra sam dopłynął do skały, albo źle ją, umocował i odpłynęła po lądowaniu.

— Czekaj, Robinsonie — pomyślałem — nie pójdzie ci tak łatwo

--- Słuchaj, Kobra — zawołałem możliwie pewnym głosem, choć skierowana ku nam lufa śmiertelnej broni nie dodawała mi wcale odwagi — nie udawaj bohatera i poddaj się! Jeśli nas pozabijasz, zczeźniesz sam na tej skale. Bez łodzi nie dopłyniesz do brzegu. A jeśli byś jakimś cudem dopłynął, to i tak zginiesz w biocie.

— Wiem, że zginę — odparł ponuro Kobra. — ale wy przedtem. Do niewoli już więcej nie pójdę. Wolę śmierć. No szybciej, chcesz chyba żyć?

— Chcę ale ty też... odkładaj tę pukawkę...

— Liczę — odparł Kobra — do trzech: raz...

— Zgódź się Andrzej — szepnęła Magda ze swojej łodzi. — To człowiek szalony i doprowa-

dzony do ostateczności.

— Strzelaj! — zawołałem nie zważając na jej ostrzeżenie. — Po co to liczenie? Strzelaj od razu! Wspaniały wyczyn na zakończenie błyskotliwej kariery: morderstwo własnej córki, kilku kobiet, dziecka i...

— Nie mam już córki! — wrzasnął Kobra.

— Ta tam... — Nie mógł jakoś wykrztusić więcej. Widziałem, że ręce mu się trzęsły i chwiały się na nogach. — Dwa! — krzyknął znowu.

Ale we mnie wlaźł duch uporów. Zdawałem sobie sprawę, że igrzm z ogniem, lecz gotów byłem nawet na śmierć. Stawiałem wszystko na jedną kartę. Wpłynęła na to niewątpliwie ta czterodniowa podróż przez krainę wiecznego deszczu, która nasze nerwy napięła do granic wytrzymałości. Czułem w tej chwili: okropną złość do Kobry za to, że miałem go ścigać, że był ojcem Doroty, że groził nam śmiercią, że w ogóle istniał. Tak się zapamiętałem w swym gniewie, że nie chciałem utopić. Musiał się poddać!... albo niech strzela! – wszystko jedno. Ja nie ustąpię!

Dorota siedziała przede mną. Nie widziałem jej twarzy. Nie powiedziała ani słowa. Trwała, nieruchoma i milcząca. Zdawała się zupełnie

obojętna wobec rozgrywającej się dramatycznej sceny.

Łódź ze Zbyszkiem i Magdą znajdowała się tuż koło nas. Łódź Paciorka mimo tego, że wiosłarze wiosłowali pod prąd, wysunęła się nieco na przód, zachodząc Kobre z boku.

— Dołączyć do tamtych łodzi! — Kobra starał się krzyknąć, ale głos jego zabrzmiał słabo. Ledwo wypowiedział rozkaz, zachwiał się i osunął na kolana. Musiał być osłabiony. Niemniej jego groźna broń nadal kierowała się ku nam.

Paciorek nie posłuchał wezwania. Jego łódź powoli, ale nieustannie szła z prądem rzeki. Groźnym ruchem Kobra zwrócił lufę rozpylacza ku oddalającej się łódce.

— Stój! - wrzasnął. W głosie jego zawdzięczał nowy przyływ energii. - Trzy!

W tej chwili zaterkotał pistolet promieniowy.

Kobra wypuścił broń z ręki i padł twarzą na skałę.

Strzeliła Dorota. Wpatrując się z napięciem w Kobrę nie widziałem jak powolutku, nieznacznie podniosła z dna łodzi promieniówkę. Strzeliła z biodra w chwili, gdy lufa rozpylacza Kobry skierowała się na moment ku łodzi Paciorka.

Odwróciła ku mnie twarz białą jak ściana.

— On by strzelił Andra — powiedziała.

Czy Kobra rzeczywiście był gotów nas zniszczyć? Nigdy go to później nie zapytałem. Ale co mogło się dziać w sercu człowieka ściganego wyczerpanego, głodem (jak się później dowiedzieliśmy, przez pięć dni nic nie jadł), doprowadzonego, niemal do szachu nieustannym deszczem? Czy mu też nie było już wszystko jedno? W każdym razie wyczuwałem, że moi towarzysze mieli mi za złe mój postępek. Zaryzykowałem nie tylko swoje, ale i ich życie, nie mając do tego prawa.

Z pewnym trudem znieśliśmy nieprzytomnego Kobrę do łodzi. Miał przy sobie obok rozpylacza pistolet promieniowy, nóż i torbę, w której znajdowała się taluka. Ruszyliśmy naprzód. Koło południa chmury, mgły i deszcz naraz ustąpiły, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Na brzegu jakiś czas jeszcze gąbki walczyły z zieloną dżunglą, lecz wreszcie roślinność suchego lądu zwyciężyła. Wysiedliśmy na plażę żółtego piasku, skąpaną w promieniach słońca.

Pierwszą rzeczą po wylądowaniu była... kto zgadnie?... kąpiel w przejrzystych wodach leśnego strumienia. Zeskrobywaliśmy ze skóry burakową maź, splukiwaliśmy odór bagiennej stęch-

lizny, a potem grzaliśmy i grzaliśmy nasze ciała na piasku, piekliśmy je w słońcu aż do zachodu, jakby chcąc z nich wyparować aż do ostatniej kropelki wszelką wilgoć.

Kobra oprzytomniał nad wieczorem. Prosił jeść. Potem leżał milczący, ponury, najwidoczniej bardzo słaby. Wkrótce zapadł w sen. Poszliśmy za jego przykładem.

Usnąłem bardzo szybko, ale obudziłem się w godzinę później. Podrzuciłem drew na ognisko. Położyłem się z powrotem, lecz sen nie wracał. Przeżywałem znowu scenę z Kobrą na rzece. Wtem uszu moich dobiegł szelest spomiędzy drzew. Trzeba było wystawić wartę — pomyślałem — jesteśmy przecież w nieznanym terenie. Nadśluchiwałem, ale szelest się nie powtórzył. Postanowiłem czuwać czas jakiś, lecz właśnie, jakby na przekór zamiarom, nadpłynęła nieprze-parta senność. Nagle szelest dał się słyszeć na nowo, dużo wyraźniejszy i bliższy. Coś mignęło w powietrzu i wpadło w ognisko. Sypnęły się w górę iskry. Chciałem usiąść; nie mogłem. Poczuliem w nozdrzach dziwną, słodką woń. Zasnąłem.

ROZDZIAŁ X

SZKLANE GÓRY

Otworzyłem oczy i powiodłem nimi po otoczeniu. Gdzie jestem? To chyba sen. Leżałem pod barwną narzutą na miękkim łóżku. Do niewielkiego pokoju o różowych ścianach wpadało światło przez duże okno bez szyb. Drzwi zasłaniała kolorowa kotara w geometryczne desenie. Podłoga wyłożona była elastyczną substancją — przyjemną w dotknięciu dla bosej nogi — taką samą jak w domach w Kamiru. Klika lekkich mebelków posiadało wybitnie wenuzjański styl. Czyżby Nara znalazł nas w lesie i przewiózł do stolicy?

Kotara poruszyła się i rozsunała dyskretnie. Najprzód dojrzałem wysłane na zwiady jedno

niebieskie oko, po czym do pokoju wpadło stworzenie o blond warkoczykach, roześmiane i rozpromienione.

— Ewa? — szepnąłem z niedowierzaniem siadając na łóżku.

-- Andrzej! Pamiętasz mnie jeszcze?

— Jakże mógłbym zapomnieć towarzyszkę moich pierwszych dni na Wenus. Co za niespodzianka! Ale na miłość Boską powiedz mi, gdzie jestem?

— W naszym domu. Nasi Abwangowie widzieli, jak lądowaliście. Podkradli się w nocy, uśpili karapą i przywieźli tutaj. Od razu cię rozpoznałam. Coście robili w głębi wyspy?

Zaczął się wzajemny opowiadanie. Dowiedziałem się od Ewy, że u ujścia Ubli do morza Wenuzjanie założyli niegdyś wielką plantację, którą po nich odziedziczył jej stryj Henryk Szwałkowski. Mieszkał tu już od lat z żoną Halią i dwoma synami. Starszy, Zdzisław, kursował na niewielkim żaglowcu pomiędzy plantacją a Nowym Krakowem, młodszy, Jerzy, pomagał ojcu na miejscu. Przed rokiem przybył też z Ziemi „wyreklamowany” brat Henryka Józef z żoną Zofią i dwudziestoletnią córką Hanią. Do nich — nieco później — dołączyła Ewa.

Nowoprzybyła rodzina dostosowała się szybko do nowych warunków. Szczególnie Ewa była zachwycona bliskością morza, dżungli i tubylców, z którymi zawarła dozgonną przyjaźń. Najmniej zadowolona była Hanka, której nudziło się bez towarzystwa i zabaw w gronie koleżanek i młodych ludzi. Ale i ona przestała narzekać, gdy któregoś dnia zawitał u ujścia Ubli żaglowiec Bumerang i młody kapitan, Australijczyk, zakochał się od pierwszego wejrzenia w przystojnej Polce, znającej do tego nieźle język angielski. Od niego dowiedziano się o wypadkach zaszłych na Lejli. Lecz Ewa ani się domyślała, że ów Andra-korsarz, a jej przyjaciel z obozu to jedna i ta sama osoba.

W głębi domu zaczął się ruch, rozmowy. Ewa wybiegła i po chwili wróciła z nowiuteńką popią błękitnego koloru, zapewniając, że mi w niej będzie „do twarzy”. Przyjemnie było czuć wokół ciała miękką, jedwabistą materię zamiast szorstkiej plecionki abgajskiej. Ledwo ubrałem się i umyłem, uderzono w gong wzywając na śniadanie.

Wkrótce i gospodarze i goście znaleźli się w sali jadalnej. Nastąpiły wzajemne przedstawiania się i wyjaśnienia, śniadanie było wyborne,

obie rodziny Szwalkowskich gościnne i sympatyczne. Niezadługo poczuliśmy się u nich jak u siebie w domu. Przyjemny był ten niespodziany przeskok z dzikiej dżungli w warunki cywilizowane.

Dom Szwalkowskich, obszerny i wygodnie urządzone, stał na wyniosłym wzgórzu, a wyglądał, jakby kto nałożył jedną na drugą trzy wielkie opony samochodowe białego koloru. Kiedy po śniadaniu wyszliśmy na taras na szczycie budynku, zapytałem o powód tego dziwnego kształtu.

— Był to niegdyś — odpowiedział pan Henryk — nie tylko dom mieszkalny, ale i statek napowietrzny. Niestety obecnie nie może latać. Przed jego przekazaniem Wenuzjanie wyłączyli aparaturę nośną.

— Taki dom-samolot to świetny pomysł! — zawołała Magda z entuzjazmem. — Bez opuszczania własnego mieszkania można jechać na wakacje, a nawet przenosić się z miasta do miasta. Co za wygoda!

— Tuż przed swoją emigracją Wenuzjanie pobudowali mnóstwo takich fruujących domów — poinformowała nas Dorota. — Całe miasta się z nich składają, tylko że teraz nie

mogą się wzbijać w powietrze z wyjątkiem tych, co są w Kamiru. Kiedy mieszkałam tam jeszcze, najczęściej jeździliśmy na wakacje do Góry Strachów własnym latającym domem. Gdy zdarzyło się to po raz pierwszy, miałam coś z sześć czy siedem lat. Wieczorem położyłam się spać w Kamiru. Nie wiedziałam, że w nocy przelecieliśmy na Wyspę Ognia. Budzę się rano wcześnie, chcę wybiec jak zwykle do ogrodu, a tu zamiast niego dżungla, obce jezioro, nieznane chaty krajowców. Przełękłam się okropnie, zaczęłam krzyczeć i płakać. Dopiero ojciec nadbiegł z wnętrza domu i uspokoił mnie. Potem jednak przez długi czas nie chciałam za żadne skarby wyjść poza obręb budynku. Obawiałam się, że niespodzianie odjedzie i pozostawi mnie samą.

Gawędząc ogarnialiśmy wzrokiem rozległy horyzont. Z dala ponad krainą wiecznego deszczu srebrzyły się w blaskach słonecznych nisko leżące chmury i mgły. Bliżej licznymi odnogami wpadała do morza rzeka, tworząc rozliczne ostrowy, porośnięte dżunglą lub bagienną roślinnością. U stóp wzgórza, na którym wznosił się dom, rozsiadła się wioska Abvadgów; schludne kwadratowe chatki z niezniszczalnej substancji,

pobudowane dla tubylców przez Wenuzjan z Kamiru. Nieco dalej wyrwane dżungli uprawne pola i sady, oraz dziwne zabudowania pokryte szklanymi kopułami. Jak objaśnił pan Henryk, była to wytwórnia gąbek. Po przeciwległej stronie wzgórza piaszczysta plaża i morze. Na jego widnokręgu ciemniały niewyraźnie inne wyspy.

Na polach brązowy ludek przybrany w kolorowe stroje, pracował ze śpiewem. Z niewielkich pękatek krzaków zbierano, właśnie czerwone jagody.

— Jak można — niby Filip z konopi wyrwał się Paciorek — zmuszać tubylców do ciężkiej pracy, gdy prawie bez wysiłku mogą mieć z dżungli wszystko, co im potrzeba do życia: ze szczęśliwych dzieci natury czynią niewolników cywilizacji? To bezduszny kolonializm.

Pan Henryk pokraśniał z oburzenia.

— Mylisz się, młodzieńcze — odpowiedział żywo. — nikt tych ludzi nie zmusza: pracują, bo chcą. Jesteś chyba zakutym mieszczuchem, jeśli nie rozumiesz radości uprawiania ziemi własnymi rękami. Ja urodziłam się i wzrosłam w kresowym majątku mych rodziców. Od dzieciństwa lubię ziemię. Przybywszy tu zastał ten dzielny lud przy pracy. Sami zasmakowali w

radości świadomej współpracy z naturą i nie wrócili do dzikości, choć ich cywilizowani nauczyciele odeszli 50 lat temu. Ja i moja rodzina służymy im wiedzą, ręką i sercem. To nie kolo-nializm. To praca pionierska!

Zawstydzony Paciorek wymamrotał parę słów niezręcznych przeprosin, ale pan Henryk nie gniewał się. Kiedy poznaliśmy go potem bliżej, musieliśmy stwierdzić, że nie miał w sobie nic z plantatora - wyzyskiwacza. Był człowiekiem idei, serca i czynu. Wolał ciężką pracę pionierską na Avi-Nari, chociaż na pewno mógłby sobie ułożyć łatwiej życie w Nowym Krakowie, czy w innym zorganizowanym już ośrodku.

Kiedy po rozmowie zeszedliśmy na dół, udałem się od razu do Kobry. Czuł się słabo i dlatego pozostał w łóżku.

Przywitał mnie ponurym spojrzeniem.

— O mzaj, o mzaj! — wydobył z piersi ciężkie westchnienie. — Nie udało mi się, ale to już ostatni raz. Nie utrzymasz mnie w kajdanach! — potrzęsnał prawicą, na której z powrotem widniała więzienna obrączka.

Wzruszyłem ramionami.

— Nawet jeśli ci się w końcu uda wyrwa: z moich rąk, co dalej?

— Będę się mścił na tobie i na wszystkich. Całe pokolenia popamiętają Kobrę,

— W czasach greckich był taki jeden, co pragnął zapisać się na zawsze w pamięci potomności. Podpalił słynną świątynię i przeszedł do historii, ale jako... kretyn. Odpowiada ci podobna kariera?

Kobra pobladł.

— Zemszcę się, zemszcę! — mamrotał z uporem.

— Ciekaw jestem jak? — ciągnąłem ironicznie. — Wątpię, byś znalazł więcej sprzymierzeńców.

Spojrzał na mnie szyderczo.

— A żebyś wiedział, że znajdę. Jak nie wśród żywych, to wśród umarłych...

— Masz na myśli Kainów z Góry Strachów? Już raz próbowałeś ich bezskutecznie wskrzesić. Nie łudź się, to są trupy...

— Dorti zdążyła ci wypaplać? Powierz tu sekret kobiecie... ale, ale, powiedz, kto do mnie strzelił na tej skale, ty, Zbyszek, Dorti?

— Powiedz mi naprzód, w jaki sposób od nas uciekłeś?

— Nie powiem. Mój sekret może mi się jeszcze raz przydać.

— To i ode mnie nic się nie dowiesz.

Odwrociłem się na pięcie i wyszedłem.

To starcie słowne najwidoczniej wróciło mu siły, bo nazajutrz opuścił łóżko. Przywdział na nowo maskę uprzejmości, dobrego humoru. Służył obu panom Szwalkowskim cennymi radami w prowadzeniu plantacji, prowadził dyskusje z intelektualnie nastawioną panią Zofią, czarował swą rycerskością wrażliwą na to panią Halinę. Uprzedzeni jednak przez nas gospodarze zachowywali wobec niego rezerwę.

Mnie obecność Kobry trzymała w stałym napięciu. Gotów byłem od razu go zabrać ijechać po Taklę, ale reszta naszej gromadki prosiła, by dać im odpocząć. Szwalkowscy ze swej strony chcieli nas zatrzymać jak najdłużej. Postanowiliśmy więc pozostać z tydzień. Nastąpiły przyjemne dni. Spaliśmy, ile nam chciało. Jedliśmy, ile się zmieściło. Godzinami kąpaliśmy się w morzu lub wylegiwaliśmy na plaży. Wieczorami zespół muzyczny krajowców przygrywał nam do tańca.

Jerzy, młodszy syn pana Henryka, zajął się wyraźnie Miss Mary i nie odstępował jej ani na chwilę, a i ona wodziła za nim ciepłym spojrzeniem. Paciorek i Imla byli coraz bardziej zako-

chani w sobie i niezbyt przytomni. Kini nawiązał bliskie stosunki z Abvangami, interesował się ich zwyczajami, pracą i brał w niej żywy udział.

Mała Ewa uszczęśliwiona moim zjawieniem się, dotrzymywała mi nieustannie towarzystwa, i była po dziecinnemu zazdrosna o Dorotę.

— Andrzeju. — powiedziała któregoś dnia — po coś ty się zakochał w tej Dorocie? Jest miła i ładna, lecz ten jej tatuś zbójem patrzy, a ona sama nie wiadomo, co. Wenuzjanka, czy Niemka. Tobie Polki potrzeba! Wydałabym ciebie za Hanke. Niestety zwariowała za tym Australijczykiem... Może to zresztą i lepiej. Wiesz co? Poczekaj na mnie. Ja szybko dorosnę i wtedy się z tobą ożenię...

— Raczej wyjdiesz w mnie za mąż — poprawiłem ją z uśmiechem — lecz zanim dorosniesz, ze mnie będzie już stary dziad i nie zechcesz nawet na mnie spojrzeć.

— Nie, nie! Zobaczysz. Ja bardzo szybko będę duża. Postaram się jak najszybciej. Widziałeś dzisiaj, ile jadłam przy obłędzie? A tobie jeszcze bardzo daleko do starości. Zresztą tu na Wenus i stuletni jegomość jest do wzięcia.

— A co na to wszystko powie Aba? Widzę, że patrzy na ciebie rzewnym okiem.

— E, głupstwa gadasz! Taki dzikus... alewiesz, jak on świetnie z łuku strzela? Dziś wyrzuciłam w górę z procy niewielkie drewniane kółko. Czy uwierzysz? Trafił je strzałą w locie w sam środek. Obiecał, że innie też tak nauczy. Zaraz idę do niego.

Dziewczynka oddaliła się, a ja wpadłem w zadumę. Mnie samemu trudno było dokładnie określić, co czułem wobec Doroty. Było to coś innego niż z Leną. Tara wszystko w proste : zakochałem się w pięknej, dobrej, pełnej wdzięku i wesołości dziewczynie, do której wszystko mnie ciągnęło. Tutaj komplikowała, sytuację postać ojca Doroty. Kobra kładł się złowrogim cieniem między nami. To była córka człowieka, do którego czułem wstręt moralny. Drażniło mnie jej przywiązanie do niego, zranione dziś boleśnie, niemniej stale żywe. Byłem zazdrosny o to uczucie.

Niewyjaśnioną dotąd pomoc Doroty w ucieczce Kobry też nie ułatwiała naszego stosunku.

Z drugiej wszakże strony poprzez wspólne przeżycia dziewczyna stała mi się kimś bardzo bliskim i drogim. Wiedziałem, że mnie kocha i potrzebuje. Podobała mi się jej odwaga, bezpośredniość reakcji, szczerłość. Nawet pewna nie-

obliczalność. Zawsze lubiłem ludzi, od których można było oczekiwać niespodzianek. Stanowili interesujący kontrast ze mną samym. Mam dość równe usposobienie, uregulowany charakter; może to i dobre, ale sam sobie wydawałem się przez to nieco nudny. Dorota zaskakiwała mnie nieraz swym postępowaniem – była przez to interesująca. Do tego trzeba dodać nieprzeciętną urodę i mnóstwo innych wdzięcznych cech osobistych, które sprawiają, że ktoś nam się podoba. Jednak nie przestawały mi brzmieć w uszach słowa ojca Piotra:

„Kiedy dojdiesz do przekonania, że ta, a nie inna jest dziewczyną dla ciebie, wtedy kochaj ze wszystkich sił. Lecz póki nie masz tej pewności, trzymaj się mocno w garści.”

Właśnie „nie miałem tej pewności” i byłem w kłopotcie.

Zwierzyłem się Magdzie. Zgniewała się na mnie:

— Filozofuj, filozofuj, aż przefilozofujesz życie i swoją miłość i swoje szczęście. DORTI jest wspaniałą dziewczyną. Czego chcesz od niej? To, że kocha swego ojca gałgana? Dzięki temu masz pewność, że i ciebie będzie kochać, nawet wtedy, gdy się okaże, iż nie jesteś takie cudo jakby się w

pierwszej chwili wydawać.

Na trzeci dzień po naszym przybyciu zjawił się u ujścia Ubli Bumerang z kapitanem na pokładzie. John Copper zmienił trasę żeglugi i kursował obecnie między Lejlą, Wyspą Ognia i Nowym Krakowem. Z plantacji Szwalkowskich zabierał gąbki, bardzo wszędzie poszukiwane i inne produkty. Ku zmartwieniu Hanki mógł zatrzymać się tylko na dwa dni. W przeddzień jego odjazdu zjawili się u mnie Paciorek i Zbyszek.

— Drogi Andrzeju — zaczął uroczyście piegowaty młodzian — mamy do ciebie prośbę. Puść nas z obiema naszymi paniami na Bumerangu do Krakowa. Ja mam tam swoją rodzinę i chcę sprezentować Imlę. Zbyszek, ponieważ zbliża się powoli czas rozwiązania Magdy, wolałby mieć dla niej opiekę lekarską. Te rzeczy podobno na Wenus odbywają się o wiele łatwiej, jednak młody małżonek z żoną przy nadziei woli być całkiem pewnym. Ty nas już właściwie nie potrzebujesz. Sam zdołasz dowieźć Kobrę do Takili...

— Naturalnie, jedźcie! — odpowiedziałem. — Ja, potem też przyjadę do Nowego Krakowa. Ewentualnie zabiorę was z powrotem na Lejlę, jeśli zechcecie. A teraz weźcie też Dorotę, Mary

i Abę. Kini i krajowcy mi wystarczą.

Dorota, Mary i Aba woleli jednak pozostać na plantacji i czekać na Takile. Natomiast rodzice pozwolili wyjechać z wycieczką do Nowego Krakowa Hance.

Kiedy pożegnaliśmy naszych przyjaciół, postanowiłem i ja następnego dnia ruszyć w drogę z Kinim. Kobrą i sześcioma Mzauri. Obliczaliśmy, że podróż łodzią do ujścia rzeki Danga zabierze nam tydzień czasu. Dorota pragnęła nam towarzyszyć. lecz radziłem jej, by pozostała. Kobra znowu się do niej nie odzywał, cc ją bardzo bolało. Po co miała męczyć się jego widokiem?

Nad wieczorem w wigilię odjazdu siedziałem z Dorti nad morzem. Trzymaliśmy się za ręce i patrzyli na fale, odbywające swą odwieczną pielgrzymkę ku złocistemu piaskowi wybrzeża. Dobrze nam było ze sobą. Cicho. Zapomnieliśmy na chwilę o kłopotach. Cieszyliśmy się swoją bliskością, falami, tym powietrzem pokoju który szedł ku nam z rozległej przestrzeni morza, skąpanego w blaskach zachodzącego słońca.

Dorota przytuliła się do mnie:

— Jeśli uważasz, że tak lepiej — rzekła cicho — zostanę tu, Andra, i będę dzielna. Zawieź

ojca od razu do tych dobrych amgów i wracaj po mnie. Nie wiem, czy potrafię jeszcze kogo kochać. Tak jakoś wszystko zamarło we mnie, ale ty jesteś w tej chwili jedyną naprawdę bliską mi osobą na tym wielkim świecie. Przyjedź po mnie! Może to bardzo egoistyczna prośba, bo ja dziś nic nie potrafię dać z siebie, ale przyjedź!

— Przyjadę.

####

Ruszyliśmy w drogę wielką żaglową łodzią. Wiatr wiał pomyślny. Trzymaliśmy się z dala od brzegu, by uniknąć raf, płycizn i zbytnej ciekawości krajowców.

Na piąty dzień wieczorem złapała nas cisza morska, żagiel zwisał bezwładnie; powierzchnia wody wygładziła się jak lustro. Chwyciliśmy za wiosła i pracowaliśmy nimi prawie do północy. Potem pojawił się lekki podmuch, wystarczający, by dać odpoczynek zmęczonym ramionom. Nad świtaniem wszakże wiatr ustał ponownie. Wiosłowaliśmy znowu, raz po raz przecinając pasma mgły, leżącej na wodzie. Niespodzianie wyłonił się z szarości świtu zarys żaglowca, stojącego na kotwicy. Chcieliśmy go minąć

niepostrzeżenie, lecz zauważono nas. Z pokładu dobiegł ostry głos; wołał wpierw po angielsku, następnie powtórzył wezwanie w narzeczu kuwilińskim:

— Kto tam? Zatrzymać się! Mamy wycelowane w was działa!

— Czego chcecie? — odpowiedziałem po angielsku. — śpieszy nam się.

— Sorry — odparł głos, mięknąc w tonie — myślałem, że to krajowcy. Płyńcie swoją drogą, tylko powiedzcie nam jedno: czy nie widzieliście gdzie dziewczyny w europejskim ubraniu, o kasztanowatych włosach, imieniem Mary McGuire. Zagubiła nam się i szukamy ją.

Więc był to statek brata naszej Marysi.

— Sorry — odkrzyknąłem — nie słyszeliśmy o takiej.

— O. K., thank you!

W tej chwili najniespodzianie odezwał się Kobra po angielsku. Nie wiedziałem, że zna ten język.

— Szukacie Mary McGuire? — zawołał. — Powiem wara, gdzie jest, tylko uwolnijcie mnie od tych tutaj rzezimieszków...

— Psiakrew! — zakląłem wbrew swym zwyczajom, lecz była to złość bezsilna. Było już dość

jasno, by widzieć skierowaną ku nam lufą 50 mm działka, a obok niej kilka luf karabinowych. Kini i ja mieliśmy pistolety promieniowe, ale nasza pozycja nie nadawała się do walki. Byliśmy w łodzi zupełnie wystawieni na kule przeciwnika. Kazano nam przybić do burty. Radzi nieradzi posłuchaliśmy. Weszliśmy na pokład. Odebrano nam broń i kazano podnieść ręce do góry.

Otaczało nas kilku krajowców, uzbrojonych w karabiny i długie noże, ubranych w krótkie czerwone popie. Dowodził nimi grubas w nienagannie białym, tropikalnym ubraniu. Jego tłuste blond włosy, zaczesane do góry, sterczały jak druty. Spod obwisłych policzków przyglądały się nam badawczo małe oczy — bardzo niebieskie. Miss Mary wiele opowiadała mi o swym bracie; dzięki temu od razu wiedziałem, że to nie on. Grubas zostawił nas pod strażą i zniknął pod pokładem.

Po paru minutach wrócił stamtąd z młodym człowiekiem smukłej postawy, niezwykle podobnym do naszej Bostonianki. Tylko w twarzy jego nie było wyrazu dobroci i naiwności, natomiast czaiło się niej coś niemiłego, co na razie trudno było określić. Robert McGuire był najwyraźniej

zaspany, przecierał oczy dłońmi i ziewał na potęgę.

— Opuśćcie ręce! — zwrócił się do nas. — Kto z was gotów jest udzielić mi potrzebnych informacji?

Kobra wysunął się naprzód.

— Ja — oświadczył. — Jestem wysokim urzędnikiem wenuzjańskim z Kamiru i ci bandyci — wskazał na nas — porwali mnie w celu wymuszenia pewnych tajemnic. Jestem panu wdzięczny za pomoc.

Robert nie odpowiedział. Przyglądał nam się z uwagą. Zaprotestowałem przeciw kłamstwu Kobry:

— Nie jesteśmy bandytami. To właśnie ten jegomość jest poszukiwany przez władze z Kamiru...

— A ty jesteś na ich usługach? — przerwał brat Mary. — Nie cierpię policji i jej agentów — stwierdził zimno. Wyciągnął rękę ku Kobre:

— Witam cię na pokładzie mego żaglowca!
— Uścisnęli wzajemnie dłonie.

Wpadliśmy. Co teraz robić?

Kobra wskazał więzienną obrączkę, widniejącą na jego ręce.

— Czy pozwolisz — zwrócił się do Roberta —

że te kajdanki przełożę na rękę tego młodego łajdaka?

McGuire patrzył zaciekawiony, jak Kobra podszedł do krajowca trzymającego moją torbę i wyjął z niej talukę.

Na tę manipulację nie mogłem pozwolić. Musiałbym się wtedy pożegnać z wszelką myślą wyrwania się z tej niemiłej sytuacji. Skoczyłem ku Kobre, wyrwałem mu przyrząd i cisnąłem w morze.

Kobra miał wyraźną ochotę rzucić się na mnie, lecz pohamował się; natomiast właściciel żaglowca zdarzał się być ubawiony moim wyczynem.

— Coś mi się wydaje — zwrócił się do Kobry — że jeszcze jakiś czas ponosisz tę wdzięczną bransoletkę. Powiedz mi teraz, gdzie jest moja siostra.

Kiedy Kobra usłużnie podał ujście Ubli jako miejsce pobytu Mary, Robert popatrzył na zwi-sające bezsilnie żagle, potem na swoich jeńców.

— Widzę, że jesteś pełen werwy — zwrócił się do mnie — a twoi ludzie wyglądają wypoczęci i silni. Poholujecie statek. Zawsze to lepsze, niż stanie w miejscu.

Powiedziawszy to skinął na Kobrę i zniknął

z nim pod pokładem. Grubas wydał natychmiast rozkazy do holowania statku. Spuszczono wielką łódź. (Nasza pozostała na łasce morza). Wsiedliśmy ja, Kini, sześciu Mzaurich, oraz olbrzymi krajowiec z załogi żaglowca z nahajem w łapie i nożem za pasem. On nadawał tempo naszemu wiosłowaniu.

Rozpoczęła się ciężka praca. Godzina za godziną uderzaliśmy wiosłami w gładką toń morską. Słońce paliło niemiłosiernie. Załoga żaglowca nie była pozbawiona ludzkich uczuć. Od czasu do czasu rzucano nam soczyste owoce, gaszące pragnienie i dodające sił. Nahaj rzadko dotykał naszych spoconych ciał; wiosłowaliśmy zresztą solidnie. Grubas siedział na dziobie statku na wygodnym foteliku z daszkiem, chroniącym od słońca. Pilnował nas i wskazywał kierunek jazdy. Na kolanach trzymał jeden z naszych pistoletów promieniowych. Robert i Kobra nie pokazywali się na pokładzie. Innych członków załogi także nie było widać.

Mimo zmęczenia wiosłowaniem myśl moja pracowała gorączkowo nad sposobem ucieczki. Zbliżyliśmy się znacznie do brzegu, ale gdybyśmy się rzucili ku niemu wpław, szanse dotarcia byłyby znikome. Promieniówka dosięgnęłaby

nas momentalnie, a strata przytomności w wodzie równałaby się śmierci. Kim i ja siedzieliśmy najbliżej krajowca z batem. Mój druh szepnął mi, że w razie czego podejmuje się go unieszkodliwić, lecz na cóż by się to zdało?

Koło południa miejsce piaszczystych plaż zajęły czerwonawe skały. Kierowaliśmy się ku wąskiej cieśninie między wybrzeżem, a skalną wysepką, idącą ostrym klinem daleko w morze. Siedzący poza mną Ngbdul, jedyny z naszych. Mzaurich, który znał język kuwiliński, szepnął:

— Jak wjedziemy w Czerwoną Bramę, skaczymy w wodę. Zdołamy umknąć.

Pokręciłem głową. Ngbdul nie doceniał pistoletu promieniowego. Trzeba by wpieryw unieszkodliwić grubasa, lecz jak? Widziałem, że raz po raz przymyka oczy, walczy z sennością. Kiwnął się już kilkakrotnie, ale natychmiast otrząsał się i starał się śledzić trasę żeglugi. Oby tak zasnął na dobre! To była jedyna szansa.

Naszemu bezpośredniemu nadzorcy też się kleiły oczy. Jego monotonne liczenie: „raz, dwa-aa, raz, dwa-aa” chwilami stawało się prawie niedosłyszalne.

Znajdowaliśmy się już w cieśninie pomiędzy dwoma wielkimi skałami, tworzącymi Czerwoną

Bramę. Grubas spał. Jedna minuta, druga, trzecia. Kini spojrział na mnie pytająco. „Raz kozie śmierć” pomyślałem. Mrugnąłem prawym okiem. Kini z błyskawiczną szybkością uderzył rękojeścią, wiosła w czoło pilnującego krajowca. Ten bez jęku zsunął się na dno łodzi. Nie przezwaliśmy ani na chwilę wiosłowania. Z napięciem wpatrywałem się w grubasa. Spał dalej.

Z dziobu naszej łodzi zsunął się w wodę Mgrudl — najmłodszy i najzwinniejszy z Mzaurich. Przepłynął pod wiosłami. Uchwycił za nisko wiszącą kotwicę żaglowca. Podciągnął się. Podziwiałem wspaniałą grę jego mięśni. Złapał za zwisającą linę. Spróbował, czy mocno uwiązana. Zawisł na niej. Odepchnął się nogą od boku statku i przerzucił na następną reję.

W tej chwili grubas otworzył oczy. Od razu zorientował się, że na łódce coś się stało. Zerwał się z fotela.

— Nasz dozorca ma słabą głowę — odezwałem się z niefrasobliwą ironią, choć duszę miałem na ramieniu — zemdłał od upału.

— Niemożliwe... a gdzie tamten na dziobie łodzi?

— Skorzystał z okazji i czmychnął. I my zamierzaliśmy to zrobić po kolei, gdybyś się nie

obudził. Co za pech! Nie. mogłeś spać dłużej? — Wskazałem głową w prawo. — Już dopływa brzegu. Spróbuj, może go ustrzelisz.

— Gdzie? Gdzie? — grubas popatrzał we wskazanym kierunku.

Cała ta rozmowa, choć trwała ze dwadzieścia sekund, pozwoliła Mgrudłowi wdrapać się niepostrzeżenie na pokład. Jak pantera skoczył z tyłu na grubasa. Pchnął go za burtę i sam dał za nim nurka do wody.

Kini tymczasem wyrwał nóż z za pasa nieprzytomnemu dozorczy, odciął liny łączące łódź ze statkiem i przedziurawił szalupę. Poszła na dno.

Płynęliśmy co sił ku niedalekiemu brzegowi, lecz ktoś — najprawdopodobniej sternik — zauważył, co się dzieje. Usłyszeliśmy alarmujący krzyk, za którym na nasze szczęście nie prędko poszły strzały. Kanonada rozpętała się, gdy już wpływaliśmy do małego fiordu. Osłoniły nas głazy. Zgromadziliśmy się wszyscy za wielkim występem skalnym. Dzielny Mgrudł podał mi z tryumfalnym uśmiechem promieniówkę, odebraną grubasowi.

Ostrożnie wyjrzałem przez szczelinę między dwoma kamieniami. Strzelano nadal w naszym

kierunku. W wodzie koło statku kilku krajowców zbierało wiosła. Dopiero teraz przeczytałem nazwę żaglowca „Massachusetts”. Na pokładzie stał Robert w otoczeniu Kobry i ociekającego wodą grubasa. Wystrzeliłem ku nim serię promieni. Kobra i grubas padli, Robert uskoczył w bok i skrył się za burta. Dosięgnąłem jeszcze jednego marynarza-krajowca. Wtedy spostrzegłem, że lufa działka okrętowego skierowała się ku mnie. Kanoniera nie było widać, zasłaniała go tarcza ochronna, lecz był to z pewnością Robert, Przypadłem do ziemi. Pocisk gwizdnął i uderzył w skałę poniżej mojej pozycji. Potężny huk wstrząsnął spokojnym powietrzem upalnego południa. Nie czekałem na celniejsze strzały. Szybko wycofaliśmy się w głąb ładu.

Tam po krótkiej naradzie doszliśmy do wniosku, że nie zdążymy dotrzeć na czas do ujścia Ubli. Przedzieranie się przez dżunglę i góry zajęłoby najmniej dwa tygodnie czasu. Ngbdul uprzedził nas, że cisza morska lada moment się skończy i nie ma co liczyć na dłuższe unieruchomienie żaglowca. Ruszyliśmy więc ku wiosce Spaxów, by jak najszybciej znaleźć się na Takili.

Dotarliśmy tam dopiero po czterech dniach, śmiertelnie wyczerpani forsownym marszem.

Spaxowie przyjęli nas radośnie. Podczas naszej długiej nieobecności troskliwie opiekowali się Takilą.

Usiłowałem się przede wszystkim połączyć drogą radiową z Nara. Okazało się, że nie wrócił jeszcze z Księżyca, nie mogłem więc oczekiwać od niego pomocy. Ruszyliśmy natychmiast, gnani niepokojem. W półtora dnia byliśmy już u ujścia Ubli — o parę godzin za późno, by zapobiec nieszczęściu.

Szwalkowscy przywitali nas ponurą wieścią: Jerzy, Dorota, Mary, Ewa i Aba zniknęli jak kamień w wodę. Poszli wczesnym rankiem kąpać się w morzu i nie wrócili. Ślady na piasku wskazywały na napad i walkę. Abwangowie widzieli w godzinach rannych oddalający się od wyspy nieznany zagłowiec. Dopiero nasze przybycie wyjaśniło, kto był sprawcą porwania i jaka była jego przyczyna.

Ruszyłem z Kinim w natychmiastowy pościg, lecz po Robercie i jego statku nie pozostało ani śladu. Mimo szybkości Takili i radaru, nigdzie nie mogliśmy zbiega odnaleźć. Nie dziwiłem się temu. Była to przecież kraina tysięcy wysp i wysepek o brzegach poszarpanych — pełnych ukrytych zatok. Tylko szczęśliwym przypadkiem

można było odnaleźć kogoś, kto chciał się ukryć. A od nas szczęście odstąpiło.

Krajowcy, mieszkający nad morzem, znali Roberta McGuire. Zwali go po swojemu „Mgauri“. Zapisał się w ich pamięci napadami na wioski dla zdobycia niewolnika. Nikt wszakże nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie mogła się znajdować jego plantacja — jeśli w ogóle takową posiadał — czy też jego baza.

Błąkaliśmy się więc po morzach, na próżno starając się zdobyć jakąkolwiek informację. Były to smutne i ciężkie dni. Całą podporą był dla mnie Kini.

Muszę przyznać, że dotąd poświęciłem mu stosunkowo niewiele miejsca w tych wspomnieniach. Są bowiem ludzie, o których trudno pisać. Nie dlatego, żeby nie byli ciekawi, ale dlatego, że są tak bardzo prości. Kini był pełen prostoty w najlepszym tego słowa znaczeniu. Nie zauważyłem w nim pogmatwanych problemów, ścierających się dążeń, rozbieżności między myślą, słowem, a czynem. Gdy patrzyłem w jego dobre, mądre oczy, zdawało mi się, że spoglądam w czystą przezrocz leśnego strumienia;

Mówił mało, wolał pytać i słuchać. Zawsze chętny do pomocy, wyrozumiały, nie gniewał się

nigdy. Z niezwykłą intuicją wczuwał się w psychikę innych osób, dostosowywał się do niej. Ileż razy krótkim, mądrym i serdecznym słowem umiał rozwiać moje przygnębienie, dodać otuchy, dopomóc w powzięciu decyzji.

Był młodszy ode mnie o kilka lat, niewątpliwie niższy wykształceniem, a przecież panowała między nami równowaga, która jest podstawą prawdziwej przyjaźni. To nie był stosunek Robinsona i Piętaszka. Przewyższałem go wiedzą, lecz on górował nade mną mocą charakteru, bezpośredniością podejścia do życia i dziwnym osobistym czarem, którego źródło kryło się gdzieś w tajemniczych głębinach jego duszy.

Po paru tygodniach bezowocnych poszukiwań Kini wpadł na pomysł szukania pomocy u amgów. Jako jasnowidze na pewno wiedzą, gdzie się podzieli nasi przyjaciele, że też nam to wcześniej nie przyszło do głowy. Natychmiast skierowaliśmy Takilę ku Ava-Divu.

Amga-amga Xudri przyjął nas po ojcowsku. Wiedział skądś dokładnie o wszystkich wydarzeniach.

Siedzieliśmy z nim na tym samym tarasie, co niegdyś, z widokiem na błękitne jezioro. Orzeźwiający złoty płyn z delikatnych czarek gasił

pragnienie, uspakajał nerwy. Milcześliśmy. Nie wiem dlaczego, lecz jakoś nie miałem odwagi zapytać starca o losy porwanych. Na pewno sam wie, że po to przybyłem. On jednak wcale nie spieszył się z informacjami.

— Mam nadzieję, że zabawicie u nas dłużej — odezwał się cichym głosem. — Po tylu przyrodach należy wam się odpoczynek. I dusze wasze potrzebują spokoju, wejścia w siebie... Wir wrażeń i wydarzeń, ta zmienna powierzchnia rzeczy, zbyt oszalała człowieka, nie pozwala mu zanurzyć się głębiej w istotę własnego bytu...

Aż podskoczyłem na stołeczku.

— Jak to? Ja mam tu odpoczywać, zabawiać się w kontemplację mego wnętrza, gdy moi przyjaciele potrzebują ratunku... Nie zaznam wytchnienia, póki ich nie odnajdę!

— To bardzo źle, bardzo źle — odpowiedział smutno Xudri. — My ludzie stale żyjemy przyszłością, wpatrujemy się w jutro, czekamy niecierpliwie na pojutrze i popojutrze, umieszczamy złudne nadzieje w dniach, co nadejdą. A tymczasem chwila obecna, jedyna rzeczywistość, która naprawdę jest, przesypuje się nam przez palce jak piasek.

Milczałem zawstydzony łagodną naganą i niezbyt ją rozumiejący.

Amga-amga po chwili ciągnął dalej:

— Chciałbyś biec, ratować. Twoja niespokojna fantazja podsuwa ci coraz to inne obrazy tego, co się może dziać z twoimi przyjaciółmi. Siedzisz jak na rozżarzonych węglach. Po co to? A gdybyś tak zamiast tego zbliżył się bardziej ku Temu, który wszystkie losy trzyma w swych wszechmocnych rękach? Spokojnie, spokojnie... odetchnij głęboko, raz, dwa — o tak. Rozpręż nerwy, rozmarszcz czoło, uśmiechnij się...

— Nie, nie! protestowałem. — Ja tak nie potrafię. Może to doskonałe i mądre, ale ja nie jestem doskonały i mądry. Nie dręcz mnie. Błagam cię, powiedz, gdzie oni są!

Xudri pokręcił odmownie głową.

— Wiem, gdzie są — odpowiedział poważnie — ale ci nie powiem. Nie wkraczajmy w plany Opatrzności. Ona ułożyła bieg wypadków najlepszy dla was wszystkich. Nie psujmy go. Musicie dojrzeć wewnątrz, a na to trzeba czasu i wielu przeciwności i znowu czasu...

Przebiegło mi przez myśl:

— Stary zawraca głowę. Nic nie widzi, a udaje, że nie chce powiedzieć.

Amga-amga uśmiechnął się wyrozumiale:

— Mylisz się. Stary nie zawraca głowy. Lecz żebyś wiedział, iż cię nie oszukuję, odsłonię ci rąbek przyszłości. Pierwszą zobaczysz małą Ewę. Nie ma jej już z innymi. Dzielne stworzenie. A spotkasz ją — tu zaśmiał się bezgłośnie — jadącą na delfinie w otoczeniu morskich ptaków, nie z naszej planety. Uważaj na te ptaki! — pogroził mi palcem. — Już ci nic więcej nie powiem. Bądź dobrej myśli!

Byłem zawiedziony. Zamiast pożytecznej informacji nakarmiono mnie niedorzeczną przepowiednią. Delfiny były na Wenus, bo je niegdyś sprowadzono z Ziemi i rozmnożyły się bardzo. Ale nigdzie nie widziałem, by na nich jeżdżono.

Co mieliśmy robić? Może jednak warto zatrzymać się tu na dłużej i odsapnąć trochę. Prawdą też jest, że w tym wirze wydarzeń dusza wyjałowiała. Modliłem się co prawda często ostatnimi czasy, ale to były owe krótkie rozpaczliwe wołania do Boga o pomoc w poszukiwaniach. Interesowność, a nie szukanie Boga i Jego woli.

Zostaliśmy. Amgowie otaczali nas dyskretną opieką. W tym przybytku ciszy i skupienia zdawało mi się, że odnajduję Boga i siebie. Uspokoi-

łem się znacznie. Zdałem się bardziej na Boską Opatrzność. Patrzyłem w przyszłość ufnie, bez niepokoju i rozgorączkowania.

Poza czasem modlitwy i odpoczynku liczyłem się sporo. Wtajemniczano mnie w sztukę hipnozy, leczenia ruchami rąk. Dowiedziałem się, jak można odkrywać wodę lub skryte przedmioty za pomocą wahnięd ciężarka zawieszzonego na nitce. Na Ziemi zwie się to różdżkarstwem lub bardziej uroczyście radiestezją. Amgowie twierdzili, że nasza podświadomość „porusza się“ duże łatwiej w przestrzeni i w czasie, niż nasza świadomość, która ogarnia tylko niewielki wycinek rzeczywistości. Podświadomość „wie“, gdzie się np. znajduje zagubiony przedmiot. Cała sztuka to wydobyć z niej tę wiadomość. Odruchove drgania ręki, nadającej wahania wieszadłku, to właśnie „mowa“ podświadomości, którą należy odcyfrować. Była to interesująca zabawa. Chowaliśmy sobie wzajem różne przedmioty i staraliśmy się je odnaleźć. Raz się udawało, raz nie. Kini miał w tym większe powodzenie. Może dlatego, że był bliższy natury?

Uprosiłem amgę-amgę, by nas zaprowadził do podziemnej biblioteki. Zawierała podobno mnóstwo tajemnic. Gdyśmy weszli do ogromnej

groty, stwierdziłem ze zdziwieniem, że nie było tam książek w naszym rozumieniu tego słowa. Na półkach stały kryształowe kule równej wielkości.

— Pytałeś mnie kiedyś o Anaguaszi, żyjących na planecie, która się rozpadła — powiedział Xudri — oto znajdziesz tu wszystko, co o nich wiemy.

Podał mi jedną, z kul. Patrzyłem niepewnie to na nią, to na niego:

— Co mam z tym zrobić?

— Siadaj w tym fotelu. Usuń z głowy wszelką myśl i wpatruj się uważnie w środek kuli.

Posłuchałem. Przez chwilę nie widziałem nic tylko kryształ. Po minucie wszakże kula zdała się rosnać, wypełniała sobą pole mego widzenia. Jej powłoka pomarszczyła się niby powierzchnia wody tknięta podmuchem wiatru. Gdzieś z głębi napłynęły uskrzydłone postacie niebywale piękne. Coraz ich więcej, coraz więcej. Wirują w szalonym pędzie, a z nimi razem jakieś budowle, wieże, łuki, piramidy, czerwone i zielone kule, błysk piorunów, huk straszliwy tak głośny, że uszy i głowa zdawały mi się pękać od niego... - Cisnąłem kulę na ziemię, zerwałem się z fotela, chwyciłem rękami za skronie.

— Nie mogę, nie mogę — powtarzałem pół-przytomnie.

Xudri dotknął dłonią mego czoła. Spłynęło nań odprężenie. Otworzyłem oczy. Wszystko wróciło do normalnego stanu.

— Nie możesz — przyświadczył amga-amga — za słaby jesteś. Trzeba na to wiele miesięcy ćwiczeń... Zostań z nami, a nauczymy cię.

— Nie zostanę, nie.

— A może ty? — Xudri zwrócił się do Kinniego.

— Moje miejsce przy Andrze — odparł stanowczo wierny Oremang.



Gdzieś z głębi napłynęły uskrzydłone postacie niebywale piękne. Coraz ich więcej, coraz więcej.

Zapytałem starca, co to są te kule i na jakiej

zasadzie działają.

— Gdy kto z was chce pisać książkę, musi mozolnie stawiać tysiące i tysiące literek, zmuszając się do wiązania swojej myśli w zdaniach. Nasz sposób łatwiejszy. Po prostu „naświetlamy” taką kulę naszą myślą, koncentrujemy w niej całą swoją wiedzę o danym przedmiocie. Po milionach lat można ją odczytać świeżą i przejrzystą. Przemawia, jakby w niej był zaklęty żywy duch autora.

W parę dni po tej rozmowie oświadczyłem amdze-amdze:

— Postanowiliśmy; jutro odjeżdżamy.

— Szkoda — westchnął, po czym zastanowił się głęboko i rzekł:

— Nie mogłem ci wskazać tego, o co prosiłeś, ale w zamian pragnę cię obdarzyć czymś innym. Mówiłeś mi, że tęsknisz za swoimi bliskimi na Ziemi. Niepokoisz się o nich. Pozwolę ci ich odwiedzić. Chodź ze mną!

Popatrzyłem na starca z niedowierzaniem. Oszalał? Niemniej udałem się za nim.

Wprowadził mnie do niewielkiej komnaty, wykutej w skale. Pośrodku stało proste łóżko, kryte skórą. Kazał mi się położyć na nim, a sam podszedł do ściany, gdzie w kamiennej niszy stał wielki dzban o czerwonej polewie z wyma-

lowanym na niej białym uskrzydłonym wężem. Z wnętrza dzbanu amga-amga zaczerpnął na wskazujący palec kilka grudek jakiejś żółtawej masy.

— Gdy wyjdiesz z siebie — powiedział — leć prosto do swej matki, ale pamiętaj — pogroził mi — nigdzie indziej!

Posmarował mi czubek głowy, czoło. Złożył małą grudkę na moim języku i kazał przełknąć. Następnie uchwycił obiema dłońmi moje skronie. Zrobiło mi się przyjemnie i lekko. Uczułem, że wznoszę się ku sklepieniu komnaty. Tak na pewno uniosłem się. Spojrzałem w dół. Na łożu leżało nadal moje ciało. Umarłem? Przestraszyłem się i chciałem wracać do swej doczesnej powłoki, lecz Xudri nie pozwolił. Zdawał się mnie widzieć.

— Leć! — rozkazał. Słyszałem jego głos, choć nie poruszył ustami.

Gdzie mam lecieć? Ach tak, do matki.

W jednej sekundzie zniknęła komnata, Xudri... Znalazłem się w niewielkim pokoiku, podzielonym na dwoje półkami pełnymi książek. Na małej kanapce siedziała moja matka. Te same co dawniej kochane, dobre oczy, ta sama pogodna twarz. Tylko zmarszczek przybyło i tak

bardzo posiwiały włosy. Pisała list. Patrzyłem na nią ze wzruszeniem.

— Mamo! — szepnąłem, ale z moich ust nie wyszedł żaden dźwięk. Chciałem dotknąć jej głowy, lecz nie miałem rąk. Spojrzałem po sobie... Prawda, moje ciało zostało tam.

Rozejrzałem się po pokoju. Był obcy. Nasze mieszkanie spaliło się w czasie powstania. Tylko parę rzeczy ocalało. Rozpoznałem znajome fotografie na ścianach. Na nocnym stoliku stało moje ostatnie zdjęcie, nadesłane z Ameryki.

Przefrunąłem, czy jak to nazwać, do drugiej części pokoju. Na polowym łóżku spał brat. Gdy go po raz ostatni widziałem, miał lat jedenaście. Teraz to już młodzieniec. Jak ten czas leci! Siostry nie było; pewnie w pracy.

Wzrok mój powędrował z powrotem do matki. Kochane matczysko, jak się pewnie niepokoi brakiem wiadomości ode mnie. Gdybyż mogła wiedzieć, że tu jestem i patrzę na nią. Gdybym mógł zamienić z nią choć kilka słów.

Zamiast radości odczułem w duszy ostry ból. Być tak blisko, a zarazem tak daleko. Jeśli nasi zmarli widzą nas bez możliwości nawiązania żadnego kontaktu, jak ja w tej chwili, jakżeż bardzomuszą cierpieć. To istny czyściec!

Nie. Nie wytrzymam dłużej. Wracam.

Zniknął pokój. Leciałem w jakąś przestrzeń nie dającą się określić, lecz czułem, że mój ruch jest powolny. Uciekałem, ale z wahaniem. Może powrócić i popatrzeć raz jeszcze? Nagle przyszła inna myśl: skorzystać z okazji i zobaczyć, gdzie jest Dorti. Od razu porwał mnie zawrotny pęd. Zawisłem nad uroczą zatoką morską, wrzynającą się głęboko w ląd. Okalały ją wiotkie palmy. Na tle nieba rysowały się ostro dwie niezwykle skały — ze szkła czy z lodu? świeciły w blasku niby rżnięte kryształy. A co najdziwniejsze, wbite były w ziemię pod kątem mniejwięcej 60°. Mityczne pioruny gromowładnego Jowisza! Na widnokregu błyszczał cały łańcuch podobnych szklanych gór. Nie widziałem dotąd nic podobnego.

W cieniu jednej z palm spała Dorota w tej samej zielonkawej zeli, w której widziałem ją po raz ostatni. W pobliżu spoczywali nieznani mi krajowcy, półnaczy, uzbrojeni w łuki, dzidy, a nawet karabiny.

Unosiłem się tuż nad dziewczyną. Poruszyła się niespokojnie. Krzyknęła coś przez sen. Usiadła. Patrzyła wprost na mnie, lecz od razu zdałem sobie sprawę, że mnie nie widzi. Czyżby

odczuła moją obecność we śnie? Z głębokim westchnieniem przetarła oczy rękami.

W tejże chwili jakaś nieodparta siła porwała mnie w swe szpony. Zamgliło się wszystko. Znikło. Leżałem znowu na łożu w komnacie podziemnej. Nade mną z surowym wyrazem twarzy stał Xudri.

— Nie posłuchałeś mnie. Będzie cię to drogo kosztować. Nieposłuszeństwo nigdy nie popłaca.

Był zagniewany. Przepraszałem go, lecz w głębi serca byłem uradowany. Szklane góry! Muszę szukać szklanych gór! Chyba nie trudno będzie je znaleźć. Ludzie na pewno o nich słyszeli. Taka oryginalna formacja geologiczna.

Zapytałem się amgi-amgi, czy to moja dusza wywędrowała z ciała. Zaprzeczył.

— Ciało twoje było cały czas giętkie i ciepłe. Dusza go nie opuściła. To raczej sama świadomość wędrowała. Istota zjawiska jest nam nieznaną. Żółtawa substancja pochodzi z pewnego gatunku grzybów. Powoduje rodzaj snu, w czasie którego człowiek może oglądać miejsca i ludzi według swej woli.

— Rzecz szalenie niebezpieczna w rękach złych ludzi — stwierdziłem. — Rządy na Ziemi dałyby nie wiem co za posiadanie tej tajemnicy.

Toż to fantastyczny środek szpiegowski.

Odjechaliśmy nazajutrz. Xudri nie gniewał się więcej. Pożegnał nas serdecznie.

— Jeszcze raz bym cię prosił — powiedział przy rozstaniu — byś nam przywiózł ojca Piotra ale ty gdzie indziej się kierujesz. Wyślę po niego Boldu. Tyś nam sporo opowiedział o nowej wierze, ale nie masz władzy, jak Nada Piri, nad światem ducha.

Zawstydziłem się. Na śmierć zapomniałem o mojej obietnicy. Lecz i tak nie mogłem jej teraz spełnić. Jedziemy przecież szukać szklanych gór.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ

SPIS ROZDZIAŁÓW

1. Przed świętem Akaleli
2. Bumerang. Strzała i Dorota
3. Święto Akaleli
4. Tajemnicze zniknięcie
5. Wyspa Amgów
6. Góra Strachów
7. Słońcu w ofierze
8. Oko w oko z Kobrą
9. Niewidzialny most
10. Szklane góry